

„JAN 45 EKS”



WYDAWNICTWO
KRAG
WARSZAWA
1987

kwartalnik polityczny

MARCIN KRÓL
Punkty niedopieciwa

PIERRE HASSNER
Totalitaryzm: ewolucja systemu i jego percepcja

PIERRE MANENT
Sytuacja liberalizmu

JAN T. GROSS

Wydawnictwo OŚRODKA KARTA

"ANEKS"

kwartalnik polityczny

45/1987



WYDAWNICTWO
KRAG
WARSZAWA
1987

spis treści

Marcin Król: Polskie niedopełnienie	3
--	----------

Pierre Hassner: Totalitaryzm. Ewolucja systemu i jego percepcji	20
--	-----------

GRANICE LIBERALIZMU	
Pierre Manent: Sytuacja liberalizmu	53
Państwo w nowoczesnej gospodarce. Rozmowa z Simonem Nora	78

OSTOJA WŁADZY	
Paweł Kuczyński: Prawie chałwa. Fikcja, pozór i milczenie w propagandzie państwa komunistycznego ..	92
Maciej Trzebiński: Jak zrozumieć komunistę. Szkic etnologiczny	107

Z HISTORII NAJNOWSZEJ	
Jan T. Gross: Wybory	129

POLSKA GOSPODARKA

Waldemar Kuczyński: O długach od kuchni 161

O autorach 172

NAKŁADEM

ANEKSU

Teresa Torańska

ONI

Rozmowy z czołowymi funkcjonariuszami komunistycznymi:
J. Bermanem, L. Chajnem, W. Kłosiewiczem, J. Mincową,
E. Ochabem, S. Staszewskim i R. Werflem.

Str. 368

Cena: £ 7,00; \$ 14,00

Adam Zagajewski

JECHAĆ DO LWOWA

Wiersze z ilustracjami

JÓZEFA CZAPSKIEGO

Str. 80

Cena: £ 3,00; \$ 7,50

POLSKA 5 LAT PO SIERPNIU

Wstęp Lecha Wałęsy

RAPORT sporządzony przez liczny zespół naukowców
i działaczy społecznych. DZIAŁY: Prawo i praworządność –
Gospodarka w kryzysie – System polityczny i impas reformy
– Warunki życia i pracy – Oświata – Nauka – Kultura –
Z perspektywy Sierpnia.

Str. 366

Cena: £ 6,00; \$12,00

Marcin Król

POLSKIE NIEDOPEŁNIENIE

Historia Polski porobiorowej, aż po dziś dzień, jest – zależnie od tego, kto i jak patrzy – wyjątkowo nudna lub wyjątkowo ciekawa. Przede wszystkim zależy to od temperamentu obserwatora. Temperament epicki, temperament krzyżowca, konkwistadora, tego, kto zdobywa nowe ziemie, tego wreszcie, kto cieszy się ilością i perfekcją rozmaitych materialnych dóbr, nie znajdzie tu żadnej pożywki. Natomiast temperament liryczny, temperament romantyka, człowieka teatru i wyobraźni, tego, kto cieszy się nadrzeczywistością, słowem raczej niż faktem, emocją raczej niż czynem, urodą gestu raczej niż skutkiem, czystością serca niż radykalną konsekwencją myślenia, w nowszych dziejach Polski bez trudu się zadomowi.

Kiepsko więc mają ci spośród samych Polaków, których natura obdarzyła temperamentem czynnym, a jeszcze gorzej ci, których odruchy serca natychmiast okiełznane są przez sceptycyzm oraz ironię. Należy zaś sądzić, że natura obdziela po równo wszystkie nacje, a zatem wśród Polaków także w podobnych do innych narodów proporcjach występowały wszystkie odmiany temperamentu. Aby lepiej zrozumieć logikę polskiej sytuacji wyboru i logikę polskiego myślenia, przyjrzymy się najpierw kilku dawniejszym i współczesnym przypadkom.



Usiłowania historyków, którzy w latach pięćdziesiątych próbowali znaleźć w nowszych dziejach Polski zgodne z doktryną marksistowską przykłady walki klasowej, doprowadziły do zaiste skromnych wyników. Nie dlatego, by w Polsce stosunki między poszczególnymi klasami bądź warstwami społecznymi układały się tak sielankowo, ani nie dlatego, by nie było bezsensownego wyzysku (zwłaszcza na wsi), lecz dlatego, że przez cały wiek dziewiętnasty w Polsce nie powstała ideologia rewolucyjna, która trafiałaby do społeczności prześladowanych i wyzyskiwanych.

Oto pierwszy charakterystyczny przypadek polskiego zawikłania sytuacji i myśli, zawikłania, które uniemożliwiało wszelki radykalizm, a równocześnie utrudniało, a często także czyniło niemożliwym, wszelki czyn. Przecież w dziewiętnastowiecznej Polsce pojawiły się – i to zarówno na emigracji, jak i w kraju – ideologie rewolucyjne i radykalne. Na emigracji – prawda, że nieliczni – radykalni presocjaliści wzywali do wycięcia szlachty w pień, w kraju ideologowie „Proletariatu” głosili radykalne postulaty społeczne, co zresztą doprowadziło ich do męczeńskiej śmierci. Jednak ani jedni, ani drudzy, ani też nieliczni ich poprzednicy i następcy, nie uzyskali praktycznie żadnego poparcia społecznego ani żadnego wpływu umysłowego. Kiedy w Rosji lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ledwie kilku młodych ludzi w ciągu dwóch-trzech lat od ludomanii ręczo przechodziło do czynnego terroryzmu, w Polsce terror polityczny właściwie nigdy nie pojawił się w praktyce, a nawet w teorii był rzadkością.

Wprawdzie to polski autor, Zygmunt Krasiński, napisał dramat, w którym znakomicie przedstawiona jest klęska zarówno kontrrewolucji, jak i rewolucji, ale *Nie-boska komedia* nie jest o Polsce, bo w Polsce nie było ani jednej, ani drugiej. Radykalni rewolucjoniści, socjaliści, a potem marksiści mieli więc jakies szanse tylko za granicą i nic dziwnego, że najpierw (Gurowski, Królikowski, Gminy Ludu Polskiego) próbowali eksportować rewolucję poza kontynent europejski, a potem logika polskiej sytuacji wyboru spychała ich na pozycje zaprzeczające niepodległościowym dążeniom olbrzymiej większości narodu. To był fatalny przypadek Róży Luksemburg, postaci do dzisiaj w Pols-

ce nie lubianej i dlatego nie docenianej. A przecież Róża Luksemburg była ściśle związana z polskością, z tym językiem i obyczajem. Równocześnie była zapewne najciekawszym i najwybitniejszym umysłem pośród europejskich marksistów tego pokolenia i sama konsekwencja myślenia rewolucyjnego, które – jak dobrze wiedziała – nie miało żadnych szans w polskim państwie narodowym, spychała ją na pozycje internacjonalistyczne, więc antyniepodległościowe.

Ciężar, absolutna przewaga intelektualna problemu narodowego sprawiała więc, że w Polsce nie można było być konsekwentnym, a więc wybitnym i nieutopijnym myślicielem socjalistyczno-marksistowskim. Dla radykalnego socjalisty były więc dwie drogi do wyboru: Różę Luksemburg lub Stanisława Brzozowskiego. Jedna prowadziła wprawdzie do socjalizmu, lecz od polskości, druga – od socjalizmu do polskości w jej religijno-romantycznej (a więc jedynej) wersji. Dla socjalistów poślednich możliwe były – jak zawsze dla umysłów raczej praktycznych niż skłonnych do konsekwencji i spekulacji – rozwiązania pośrednie. Ponad tymi ograniczeniami stanął jeden człowiek, który z właściwą wielkim politykom demagogią, ale i właściwym im instynktem oraz odwagą niekonsekwencji, powiedział: bez socjalizmu nie będzie niepodległości, bez niepodległości nie będzie socjalizmu. Piłsudski myślał tę, czy raczej tę nie-myśl (bo przecież nie bardzo wiadomo, jak ją logicznie rozumieć), powtarzał w wielu wersjach, ale jej trafności dowieść mogły i dowiodły jedyne w nowszych dziejach Polski udane akty zbrojne.

Identycznie jak z radykalną lewicą rzeczy się miały z radykalną prawicą. Możliwe były tylko dwa wyjścia: kto, z natury swego temperamentu, musiał myśleć konsekwentnie według kierunku wskazanego przez doktrynę, ten stawał wobec wyboru – doktryna konserwatywna albo polskość. I w tym przypadku radykalnie konsekwentni byli nieliczni (jak Henryk Rzewuski), większość konserwatywistów trawiła czas i siłę poszukiwaniem dróg bardziej pokrętnych, ale umożliwiających pogodzenie niektórych nakazów doktryny z odrzuceniem *status quo*, z dopuszczeniem choćby idei insurekcji narodowej.

Konsekwencja w myśleniu politycznym jest wprawdzie cnotą, ale tylko do pewnego stopnia. Rzeczywistość – nie tylko w Pol-

sce – zmusza do znajdowania rozwiązań zawsze konkretnych i zawsze nie w pełni zgodnych z doktryną. Nie wiadomo zresztą, czy istnieje doktryna socjalistyczna lub konserwatywna, a gdyby nawet uznać, że istnieje, to kto byłby jej twórcą, a kto sędzią prawowistości. Tak rozumiane doktryny istnieją jedynie w obrębie ideologii totalitarnych. Z drugiej jednak strony, myśl polityczną, tak jak wszelkie myślenie, obowiązuja reguły logiki oraz nakaz myślenia do końca, wyciągania wszystkich wniosków konsekwentnie wynikających z przesłanek. Czym innym więc byłaby pewna swoboda stosowania myśli politycznej do konkretnych sytuacji istniejąca w wolnych krajach dziewiętnastowiecznej Europy, czym innym zaś już u progu refleksji politycznej obecny w Polsce hamulec, który skazywał ją na to, by raczej uwzględniała sytuację narodu, niż dbała o własną energię i wewnętrzność spójność.

Nieuchronnie powodowało to na europejskim tle, a innego przecież nie ma, intelektualną drugorzędność tej myśli. Jej zadanie bowiem nie polegało na eksplorowaniu rozumowym nowych ewentualności, na poszukiwaniu nowych racji dla nowych form życia społecznego, lecz na dochodzeniu, jak myślenie europejskie dostosować do specyficzniej polskiej sytuacji wyboru. Powstały co pewien czas złudzenia, że ta specyficzna sytuacja doprowadzi do narodzin „polskiej” myśli politycznej, która miałaby stanowić jeszcze jeden kierunek równorzędny głównym nurtom europejskim: socjalizmowi, konserwatyzmowi czy liberalizmowi. Takiej możliwości naturalnie nie było, pojawiać się mogły tylko formy bękarcie, co nie dla wszystkich było do przyjęcia.

Łatwo przecież pojmujemy, że człowiek myślący poważnie i żywiący dla samej idei myślenia należny szacunek, musiał salwować się ucieczką. Bywała to więc ucieczka polegająca na całkowitej rezygnacji z teorii politycznej i umieszczeniu zdolności oraz zainteresowań w badaniach historycznych lub w pracy artystycznej – sąd stosunkowo wybitne osiągnięcia Polaków w tych dwu dziedzinach. Bywała to także ucieczka w przeciwnym kierunku, a więc „czytanie” bywizm nie wsparty żadnym ideologicznym uzasadnieniem – sąd te nie kończące się kółka, spiski, drobne konspiracje. W nielicznych i wyłącznie indywidualnych przypadkach bękart przemieniał się w hybrydę i nieoczekiwanie

myślenie pobudzone przez sytuację, która intelektualnie była nie do przyjęcia, znajdowało tajemnym zbiegiem okoliczności własną drogę i powodowało skutki intelektualnie wybitne. I tak zresztą były to raczej skutki w postaci notatek, inspiracji, pierwszych pomysłów niż gotowych, wyczerpujących dzieł. Mowa tu o twórczości Maurycego Mochnackiego i Stanisława Brzozowskiego. Cała niemal pozostała myśl polityczna była w Polsce raczej formą ekspresji uczuć narodowych niż spekulacji nad – nie istniejącymi przecież – sposobami wyjścia; było to więc zawsze myślenie nie dokończony, bo końca nie było widać, nie dopełnione, bo do pełni niezbędna jest swoboda, nie w pełni same siebie świadome, bowiem świadomy siebie może być tylko rozum niezależny. Rozum polityczny w Polsce był zaś zawsze zależny i nim miał czas na pracę własną, był zmuszany do stosowania niegotowych formuł do niemożliwych do rozwiązania sytuacji.



Na logikę polskiej myśli politycznej niewątpliwym wpływ wywarły nie tylko ograniczenia narzucone na rozum polityczny jako taki, ale także wnioski płynące z doświadczeń historycznych. Historyk niewiele potrafi powiedzieć na temat tego, jak przebiegał proces wyciągania wniosków, większa tu była rola intuicji i instynktu niż krytycznego rozumowania, większe znaczenie miały zbiorowe emocje niż ze swej natury samotnicza refleksja polityczna. Więcej niż jakakolwiek analiza wyjaśni może poniższy przykład.

W 1813 roku książę Józef Poniatowski po odwrocie spod Moskwy znalazł się w Krakowie ze sporą i dobrze wyszkoloną polską armią. Car Aleksander I przez pośredników proponował polskiej armii przejście na rosyjską stronę. Napoleon wprawdzie jeszcze nie przegrał, ale niewątpliwie przegrywał. Jeden i drugi zapowiadali w różnych momentach, że w sprzyjających okolicznościach i w dowód uznania za współpracę Polaków będą zmierzali do reaktywowania państwa polskiego. Obietnice były równie mgliste, co niepewne, ale książę Józef był z polską armią na polskiej ziemi i gdyby ta armia nie poszła za Napoleonem do Francji, lecz została, zapewne odegrałaby rolę w dyplomatycznych kalkulacjach Kongresu Wiedeńskiego. Byłaby to zdrada w stosunku do Napoleona, ale ileż takich zdrad popełniono, a po-

nadto lojalność prawdziwa obowiązywała tylko w stosunku do ojczyzny, nie zaś wobec Cesarza, który przecież dla Polski nic niemal nie zrobił. O księciu Poniatowskim można mówić dobrze lub źle, ale myślicielem politycznym to on na pewno nie był. Wbrew zatem, lub raczej nie bacząc na argumenty polityczne, poprowadził wojsko za Napoleonem, a sam w stosownym momencie zginął.

Jest to pierwszy w porzbiworowych dziejach Polski przykład zachowania politycznego, które potem będzie się powtarzało w zmienionych okolicznościach z nie zmienioną logiką, od powstania listopadowego przez powstanie warszawskie po „Solidarność” i wydarzenia lat 1982-1986. Ludzie, którzy podejmowali decyzje, poszukiwali naturalnie argumentów racjonalnych, a nie wiemy, jak minimalną rolę u zarania i w przebiegu tych wydarzeń odgrywało chłodne myślenie polityczne i to niezależnie od jego kierunku; niezależnie od tego, czy zmierzało ku decyzji aktywistycznej czy raczej ku powstrzymaniu się od podejmowania działań. Wydarzenia te odbywały się niedmiennie o b o k myślenia politycznego. Dlatego też Polacy nie zbuntowali się akurat wtedy, kiedy chłodne myślenie wskazywałoby na istnienie nikłej szansy wynikającej z europejskiej koniunktury, czyli w okresie wojny krymskiej. Instynktownie i intuicyjnie zbadane doświadczenia nauczyły bowiem Polaków, że w takiej i tak nastawionej Europie dla nich szansy nie ma, szansy politycznej. Postawa księcia Józefa pomnego raczej na wartości, na gest, na znaczenie symbolu i szacunek dla emocji niż na racje rozumu politycznego, stała się więc słusznym wzorem postawy obywatelskiej. Dlatego w Polsce nie było nigdy prawdziwej kolaboracji ani Quislingów i dlatego także w okresie „Solidarności” o wiele węższej miejsca i uwagi zajmowała sprawa Katynia niż sprawa niezbędnych strukturalnych reform w gospodarce. Polacy bowiem do wszystkich wielkich przedsięwzięć narodowych odnosili się – znów nie świadomie, lecz raczej intuicyjnie i odruchowo – od początku jak do sprawy politycznie przegranej. Jedyne wyjątkiem stanowi tu zadziwiająca historia politycznych działań Józefa Piłsudskiego, ale – nie wątpiąc w jego talent polityczny – przyznajmy, że w tym jedynym przypadku europejska koniunktura polityczna była po polskiej stronie.

Co w takiej sytuacji mieli robić ludzie, którzy ze względu na temperament nie mogli się wyrzec myślenia w kategoriach politycznych, sceptycyzmu wobec emocji, chcieli patrzeć raczej nie na symbole, lecz poza nie? Było przed nimi kilka wyjść, wszystkie nie całkiem dobre, chociaż jedne kiepskie, a drugie jeszcze gorsze. Najgorsze było uznanie tej logiki narodowych przedsięwzięć za z gruntu błędną, tej rzeczywistości gestu i symbolu za nierzeczywistość. Pół biedy, kiedy kończyło się to wcale nierzadką – wbrew upowszechnionym w Polsce poglądom – ucieczką od polskości, Polski i całej tej sytuacji niedokończonych, niekonsekwentnej, niemożliwej. Ludzie ci wchodzili w normalne życie krajów (także Rosji), w których osiedli i o Polsce bez przykrości zapominali. Najgorzej bywało, kiedy chłodny polityczny temperament łączył się z odwagą cywilną i wolą działania, jak w przypadku Aleksandra Wielopolskiego czy – *toutes proportions gardées* – Bolesława Piaseckiego. Za postępowaniem politycznym pierwszego przemawiały przecież liczne rozumowe racje, za postępowaniem drugiego w bezpośrednim powojennym okresie – co dzisiaj niechętnie się przyznaje – też przemawiały racje nieblahe, jednak porażki były okrutne i nieuniknione. Bywają bowiem takie okresy w dziejach – a w Polsce okres ten trwa z niewielkimi przerwami od lat dwustu – kiedy jakakolwiek gra polityczna jest niemożliwa. Nie dlatego, iżby była moralnie naganna lub praktycznie źle prowadzona, lecz dlatego, że jest z góry skazana na porażkę, a ponadto głupio jest siadać do gry, mając zawsze za mało pieniędzy.

Dysponujemy na szczęście przykładem temperamentu pokrewnego, przykładem pisarstwa i politycznej aktywności Stefana Kisielewskiego. Skąd ta zasadnicza różnica? Tajemnic talentu, jak zresztą żadnej tajemnicy, odgadnąć się nie da, ale można wskazać na jedną różnicę, która zadecydowała o niemal wszystkim. Dla Kisielewskiego logika narodowego myślenia, mimo że, jak sam wielokrotnie mówił, irtująca symbolami, które go śmieszyły, emocjami, których nie dzielił, moralizatorską ciasnotą, poza którą nieustannie wykraczał, była i jest częścią rzeczywistości, z którą trzeba się liczyć, dla Wielopolskiego i Piaseckiego, była częścią rzeczywistości, którą trzeba od-

rzucić. Rzeczywistości jednak odrzucić się nie da. Nie to zresztą nas interesuje, lecz to, jak Kisielewski w tej sytuacji wyboru daje sobie radę?

Odpowiadał często sam: „jak na garbatego, to nie najgorzej”. Garb to właśnie ów nieustający rozdźwięk między logiką sytuacji narodowych a pragnieniem swobodnego myślenia. Dopóki starcza energii duchowej, by stan taki uznać chociaż za ciekawy, by dostrzec w nim pobudki dla własnego myślenia, dopóty nie jest całkiem złe. Mimo to dzieło Kisielewskiego, niewątpliwie najwybitniejszego i najbardziej wolnego człowieka epoki powojennej, jest dziełem niepełnym, ulomnym, dotkniętym efektami bicia głową o ściany.

Jeszcze inne wyjście z tej sytuacji znalazł Adam Michnik, przecież także pragnący myśleć politycznie, więc rzeczowo i krytycznie, kiedy zadeklarował „wierność sprawom przegranym”. Wyjście to polega na ustąpieniu wobec potęgi i dostojeństwa logiki narodowej, na rezygnacji z niezależności wobec kanonów moralności publicznej, na uznaniu drugorzędnego charakteru myślenia politycznego w stosunku do lojalności i dawania świadectwa, na tym, że w każdej konfliktowej lub nawet ewentualnie konfliktowej sytuacji między etyką a polityką staje się po stronie etyki, etyki historycznej polskiego życia zbiorowego, nie zaś moralności absolutnej, bowiem opowiadanie się za wartościami absolutnymi jest oczywistością, a nie kwestią wyboru.

Sprawa historycznie ukształtowanej etyki polskiego życia zbiorowego prowadzi do następnego elementu opisywanej tu sytuacji wyboru, do jeszcze jednej granicy, której istnienie określa ów specyficzny kształt polskiego niedopełnienia w myśli, mowie i uczynkach.



Nie jest to etyka bez kodeksu, chociaż kodeks taki nigdy nie został spisany. Dwa podstawowe przykazania to: „bądź wierny” oraz „bądź lojalny wobec współtowarzyszy walki”. Pierwsze, co wiadomo, może mieć charakter absolutny; drugie ze swej natury jest zawsze relatywne. Odniesienia absolutne pierwszego przykazania mogą dotyczyć sfery wiary religijnej, co w porozbior-

wych dziejach Polski często miało miejsce, ale nigdy nie było wystarczające, a czasem prowadziło do konfliktu z postawą patriotyczną; mogą także dotyczyć poczucia honoru czy też wierności własnemu sumieniu. Honor – znana to rzecz – jest i nie jest pojęciem chrześcijańskim, natomiast wierność własnemu sumieniu jest przywilejem jednostek, przywilejem z trudem uzyskiwanym i najzupełniej nie nadającym się na wzór dla postaw powszechnych. W trudnych czasach najtrudniej właśnie o arbitraż sumienia, udawało się to nielicznym, ale tylko im. Dlatego też tego rodzaju wierność wymaga wzorów osobowych i to nie w rodzaju „Gilgamesza, Hektora, Rolanda”, lecz księcia Józefa, Waleriana Łukasińskiego, Szymona Konarskiego czy Romualda Traugutta.

„Bądź wierny” znaczy także: nie zmieniaj zdania w kwestii tego, czemu, jakim wartościom bezwzględny jesteś wierny. Tę część przykazania często trudno było w pełni respektować, bowiem o ile wartości były obowiązującymi jednostkę wartościami nie z tego świata, istniała możliwość stałej weryfikacji wierności, kiedy jednak były to raczej cele zbiorowe, cele narodowe, wówczas wierność i taktyka polityczna wchodziły czasami w konflikt. Dobrym przykładem jest postępowanie Rządu Polskiego w Londynie w roku 1944. Historycy i myśliciele polityczni do dzisiaj toczą dyskusje na temat tego, co mógł i co powinien uczynić ten rząd – na tym przecież polega ich zawód. Lecz spoglądając z naszej perspektywy możemy powiedzieć, że znalazłszy się w sytuacji niemożliwej, to znaczy w takiej sytuacji, kiedy względy taktyki w oczywisty sposób były w konflikcie z nakazem wierności, Rząd Polski zachował się zgodnie z logiką narodową, więc apolitycznie. Zdecydował nie brak zaufania do Związku Radzieckiego i do aliantów, nie kwestia Kairynia oraz granic wschodnich, lecz porzucenie kategorii politycznych na rzecz kategorii etycznych. Rezultaty z politycznego punktu widzenia były takie, jak wiadomo, jakie musiały być, skoro się z gry politycznej wycofało. Mało mam jednak przekonania do poglądu, że należało podjąć ową grę, intuicja oraz instynkt podsunęły tym ludziom jedyne wobec przegranej sytuacji rozwiązanie – wycofać się, wznieść się na jedyny poziom, na którym przegrana może kiedyś zaowocować.

Równie wszelako zrozumiałe jest, że ludzie o temperamentie istotnie politycznym i czynnym z najwyższym trudem mogli pogodzić się z takim wyjściem. Musieli próbować, co zresztą w pierwszym okresie powojennym można było – zdawało się – czynić, zachowując wierność podstawowym wartościom. Wkrótce jednak okazało się to całkowicie niemożliwe i raz jeszcze polska sytuacja wyboru stała się sytuacją bez wyboru. Potem następne generacje miały do nich pretensję, że nie szykowali się do ewentualnego kolejnego przesilenia, że ich wkład w myśl polityczną przygotowującą się na wszystkie możliwości był minimalny. Ale jedną właśnie z przyczyn specyficznego polskiego niedopełnienia jest to, że w sytuacjach bez wyboru bardzo trudno o racjonalną, z rozumem formułowaną i nastawioną na przyszłość myśl polityczną.

Pojawiło się także inne, silne bardzo ograniczenie. Między nakazem „bądź wierny” a nakazem „bądź lojalny wobec współtowarzyszy walki” tylko pozornie istnieje ścisły i bezpieczny związek. Wierność może być równoznaczna z lojalnością, ale może również być z nią nietożsama lub wręcz sprzeczna. Jest to znane ze wszystkich sytuacji kombatanckich, kiedy przed jednymi prześladowania i piętno nieprawowierności zamykają drogę do przyszłej działalności, inni zaś, którzy owych prześladowań uniknęli często przypadkiem, pragną taką działalność kontynuować. Tak na przykład było ze stańczykami w końcu lat sześćdziesiątych w Galicji. Interesujący spór, który wywiązał się i w ramach samego ugrupowania konserwatystów i oczywiście z ich przeciwnikami, tylko w niewielkiej części dotyczył samej ideowej i politycznej treści poglądów krakowskich konserwatystów. Znacznie ważniejsze, w każdym razie na początku, było oburzenie na ich krytykę powstania styczniowego, w którym większość z nich brała przecież udział. Podobny charakter miał ledwie rozpoczęty w okresie powojennym (przede wszystkim na łamach *Tygodnika Powszechnego*) spór o powstanie warszawskie, rozpoczęty i szybko zakończony nie tylko ze względu na sytuację polityczną i cenzurę, bo przecież spór ten nie był kontynuowany na emigracji, gdzie możliwości wyrażenia poglądów były niczym nie ograniczone. Antypowstaniowa ironia stańczyków czy choćby kwestionowanie sensu ofiary z 1944 roku przez Stefana Ki-

sielewskiego okazało się naganne w odbiorze społecznym, ponieważ było sprzeczne z przykazaniem lojalności, a przecież nie odmawiano stańczykom ani Kisielewskiemu wierności wobec podstawowych ideałów.

Przestrzegać wierności można prowadząc rozrachunki z samym sobą, przestrzegać lojalności można tylko respektując aktualnie obowiązujące nakazy grupowe. Dodajmy, że nakazy te ulegają zmianie, a życie publiczne wszystkich grup poddanych zniewalającej presji w znacznej mierze skupia się na nieustannym podtrzymywaniu, weryfikowaniu i odnawianiu tych nakazów, tych formuł lojalności. Tym bardziej, że dla życia publicznego zbiorowości – inaczej niż dla życia wewnętrznego jednostki – nie da się stworzyć przykazań obowiązujących raz na zawsze, bowiem sytuacja zmienia się nieustannie, a w dodatku nie ma niczego takiego, jak obiektywne fakty, wszystko podlega przecież interpretacji. Dlatego do niedawna o dwóch najwybitniejszych zapewne polskich myślicielach XIX wieku, Mochnackim i Brzozowskim, mówiło się raczej z okazji ich niejasnych biografii politycznych niż z okazji ich dzieł intelektualnych, a nawet można było dostrzec w wielu pracach publicystycznych jakby satysfakcję, że ich biografie dowodziły tezy, iż nadmierne mędrkowanie narodowi jest niepotrzebne i często prowadzi na manowce kolaboracji.

O lojalności naturalnie najwięcej mówili zawsze przegrani. Spory emigracyjne po powstaniu listopadowym i po 1945 roku toczyły się niemal wyłącznie wokół kwestii lojalności, a nawet spory rzekomo merytoryczne, to znaczy spory o politykę zagraniczną i o politykę społeczną były tylko figurą sporów o lojalność. Lojalni więc, mimo sporów, zostawali razem. Wierni natomiast zostawali sami, sami zwłaszcza wtedy, kiedy wierni celom i wartościom dostrzegali potrzebę zmiany taktyki. To był casus raz jeszcze Mochnackiego po powstaniu listopadowym, to był przez pewien czas po 1945 roku casus *Kultury* i Jerzego Giedroycia. Naturalnie nie zawsze rodził się konflikt między wiernością a lojalnością, jednak niemal zawsze rodził się wtedy, kiedy przykazanie wierności usiłowano podporządkować przykazaniu lojalności. Można bowiem być wiernym wartościom i ideałom, a wobec tego lojalnym w stosunku do własnej grupy, o ile ta zmie-

rza do tych wartości, nie można jednak być najpierw lojalnym i z tego poczucia czerpać wiedzę o pierwszych wartościach. To znaczy można, lecz taka kolejność powoduje albo usługowe traktowanie wartości, albo – co gorsza – ich całkowitą relatywizację do *esprit du corps*.

W życiu moralnym i intelektualnym sytuacje konfliktowe zdarzały się jednak rzadziej, niż można by sądzić. Jak na to wskazuje lektura polskich pamiętników z XIX i XX wieku, od sytuacji konfliktowych uciekano, próbując żyć i postępować na tym terenie, na którym pola znaczeniowe wierności i lojalności nakładały się na siebie i to bez względu na to, jak ograniczony był to teren. Oceany patriotycznego banału, w jakie opływają te pamiętniki, niekoniecznie świadczą o tym, że wszyscy ich autorzy mieli rozum wielkości śliwki. Często patriotycznemu banałowi towarzyszy dobry, ostry opis obyczajów, polityki międzynarodowej lub emigracyjnego losu. Patriotyczny banał czy – aby unikać terminów pejoratywnych – akces do patriotycznego minimum wynikał z chęci uwolnienia się od sytuacji konfliktowych, których nikt przecież nie lubi. Ludzi, którzy byli przeciw powstaniu listopadowemu, styczniowemu, warszawskiemu, nie brakowało, ale swoją nadzwyczaj przenikliwą opinię Józef Kalasanty Szaniawski zostawił w rękopisie i w porę oddał się do Wiednia, książdz Hieronim Kajsiwicz naraził się na bezczelną manipulację jego sławnym „Listem do braci...” przez carskie władze, Paweł Popiel odczytał się późno i niemal nikt go nie słuchał, zaś przeciwny, jak się zdaje, powstaniu warszawskiemu Kazimierz Sosnkowski w krytycznym momencie wyjechał z Londynu do Włoch.

Dzieje Polski interpretowane w duchu przykazania lojalności aż nadto wyraźnie wskazują, że protest był z reguły bezowocny, a dla protestujących często kończył się niesławą. O ileż więc bezpieczniej, a i z punktu widzenia skuteczności działania sensowniej, było zgłosić akces do patriotycznego minimum. Jednakże powtarzające się zwycięstwa lojalności nad wiernością w sytuacjach konfliktowych lub znacznie powszechniejsze ograniczanie się do patriotycznego minimum miało swoje konsekwencje. Patriotyczne minimum było niezbędne w ciężkich czasach jako najlepsza forma obrony, ale okazywało się banalne oraz przygnębiająco nieskuteczne w czasach trudnych i być może decydu-

jących. Natomiast praktycznie wykluczone z życia społecznego zostały postawy nonkonformistyczne. Miejsce nonkonformizmu jednostek zajął bowiem nonkonformizm grupowy, społeczny, nie wymagający już od jednostki odwagi poglądów, chociaż często wymagający odwagi osobistej. Przede wszystkim jednak zginął, lub niemal zginął, z kultury polskiej problem sumienia, czyli problem jednostka a Bóg, lub szerzej – jednostka a absolut. Dlatego też nigdy nie było w Polsce poważnej filozofii, a nieliczne i nie w pełni udane próby – jak choćby usiłowania Stanisława Ignacego Witkiewicza – do dzisiaj są uważane za oryginalne, dziwaczne, śmieszne, ewentualnie prorocze.

Na tym tle zdumiewa zjawisko całkowicie niezgodne z tym, co powiedziano poprzednio, a mianowicie wielka polska poezja romantyczna i jej współczesne znakomite kontynuacje. Dlaczego właśnie tylko poeci (o muzyce i malarstwie trudno tu mówić) wymknęli się spod tych ograniczających presji?

Na pytania tego rodzaju nie można nigdy dać pełnej odpowiedzi. Jeżeli jednak kultura polska (a pośrednio i myśl polityczna) wypełniła się w jakimkolwiek zakresie, uzyskała wymiar i oddech swobodny, nieograniczony, to właśnie w poezji. Jak to się więc stało, że poezja umknęła ograniczeniom zniewolonego życia zbiorowego?

Po pierwsze, dzięki dwoistej naturze samej poezji, dzięki temu, że każda dobra poezja nadaje się do lektury łatwej, zadowalającej się rytmem, melodią i melancholią, a taka lektura była w Polsce bądź to lekturą wprost patriotyczną, bądź to jako forma obrony języka patriotyczną pośrednio. Poezja dobra ma jednak mniej lub bardziej ukryty drugi poziom, na którym poeta jest już całkowicie wolny od społecznej lektury, na którym przebywa sam ze sobą, a potem z nielicznymi czytelnikami. W prozie taka dwoistość już nie istnieje.

Po drugie, dzięki zbiegowi okoliczności. Wielka polska poezja romantyczna trafiła w narodową koniunkturę, wieszcz stał się pełnoprawnym, ba, niezbędnym elementem patriotycznego minimum. Wieszczowi zaś, jako wieszczowi właśnie, trzeba było przyznać pewne szczególne prawa: do samotności, do bycia niekonwencjonalnym, do unikania zaangażowań społecznych i politycznych, do wątpliwego nawet od strony moralnej życia osobi-

stego. Wieszczy automatycznie był lojalny, bo inaczej nie byłby wieszczem, tego zaś, co nazbyt daleko poza wieszczczy charakter twórczości wykraczało, po prostu się nie czytało się lub też z czasem ulegało to odmiennej, bardziej narodowej interpretacji.

Po trzecie wreszcie, ze wspomnianych powyżej powodów ludzie utalentowani, czy – jak kto woli – kultura dostrzegająca to wyjście dla działalności swobodnej, więc twórczej, i niepomiernie dużo dobrych było do niej kandydatów, którzy zapewne w innych okolicznościach nie natrafiliby na swoje poetyckie powołanie. Zresztą w poezji najlepiej udawało się oddać myśli i wrażenia mało zgodne z porządkiem rozumu, ale zgodne z porządkiem ducha i wrażliwości. Poezja więc była w Polsce najbardziej możliwa zarówno z przyczyn społecznych, jak i duchowych, a jednak i poezja, i to ta najwybitniejsza, została wprowadzona trwale i silnie do patriotycznego minimum.

**

Oto moment właściwy, by wspomnieć o jeszcze jednym intrygującym, a zarazem jakby nie w pełni wydarzonym elemencie polskiej kultury politycznej, jeszcze jednym wędzidle nakładanym na temperamenty niezdolne do zaakceptowania polskiej niespokojnej ślamazarności.

Nacjonalizm polski nigdy nie był zjawiskiem groźnym, a równocześnie bywał i jest nieznośny. Dwustuletnia egzystencja poza rzeczywistością oraz przykazanie lojalności doprowadziły do wytworzenia w Polsce szczególnych form i poglądów patriotycznych, szczególnych zarówno siłą zniewalającą dosłownie wszystkich, jak i brakiem jakichkolwiek wątpliwości. To jest jasne i zrozumiałe. Niezrozumiałe na tym tle jest fenomen nacjonalizmu. Po co w Polsce nacjonalizm? Od stu co najmniej lat ani przez moment nie było okazji do usprawiedliwionej obawy o poczucie świadomości czy tożsamości narodowej. Nieustannie pojawiały się, jak w filmie, sytuacje, które musiały sprzyjać defensywno-patriotycznym postawom. Zagrożeń społecznych, gospodarczych i kulturalnych było wiele, zagrożeń dla świadomości narodowej – żadnych. A jednak najbardziej dynamicznym i wciąż odnawiającym się nurtem polskiego myślenia politycznego jest nacjonalizm. O ile Weimar lat dwudziestych i Berlin począt-

ku lat trzydziestych pozwalają zrozumieć poniekąd (choć oczywiście nie usprawiedliwić) zjawisko niemieckiego nacjonalizmu, to w Polsce odpowiednie postawy były w mniejszości lub nie było ich wcale.

Polski nacjonalizm nie był więc potrzebny ani jako rzekoma reakcja obronna na wewnątrz – bo nie było zagrożenia, ani na zewnątrz – bo powszechny patriotyzm stanowił reakcję wystarczającą. Polski nacjonalizm był i jest najprostszym i najpewniejszym w Polsce surogatem politycznego myślenia. Nie dlatego, iżby tak łatwo zyskiwał powodzenie społeczne jako ideologia, chociaż i to racja, lecz dlatego, że nie był i nie jest prawdziwą ideologią ani prawdziwą myślą polityczną. Jest formułą nazywającą to, co i tak jest, jest sposobem na uniknięcie wspomnianych poprzednio sprzeczności. Nacjonalizm za jednym zamachem rozwiązuje wszystkie polskie paradoksy. Nacjonalista żyje bez owego stałego nieznośnego kłopotu, jak pogodzić samotność jednostki z solidarnością tłumu, jak pogodzić narodowe z uniwersalnym, jak pogodzić chłodne myślenie z rzeczywistością patriotycznej emocji, jak pogodzić lewicę z prawicą, jak wreszcie pogodzić rewolucję z ewolucją. Triumf nacjonalizmu był triumfem prostych (by nie rzec prostackich) rozwiązań nad znużoną własnymi sprzecznościami i meandrami logiką narodowego myślenia. Ideologia nacjonalistyczna była właśnie w Polsce (jak zresztą w całej Europie) tą formą nie-myślenia, które jednak w Polsce trafiało na szczególnie sprzyjający grunt. Dla życia politycznego zjawisko takie okazywało się czasem przydatne, dla życia umysłowego było zawsze zębne.

Polskie niedopełnienie ujawniło swoje dobre i złe strony i to ze zdumiewającą siłą w okresie „Solidarności” i w latach stanu wojennego. Ludzie o temperamentach chłodnych musieli z pewnym poczuciem bezradności przyglądać się wielkiemu wznowieniu polskiego spektaklu. Wznowienie zaś było zaiste wielkie, bo nigdy przedtem w żadnym polskim przedstawieniu nie brały udziału dosłownie miliony. Wydaje się, że dopiero „Solidarność” doprowadziła do pełnego uobywatelnienia Polaków (choć jeszcze niecałej polskiej wsi), do takiego jednak uobywatelnienia, jakie było i jest możliwe właśnie w Polsce, czyli do uobywatelnienia także paradoksalnego.

Stefan Kisielewski, jeden z tych, którzy z racji temperamentu w okresie „Solidarności” pisali na jej temat i na temat życia politycznego bardzo mało, stanowi doskonały przykład odczuwania trudności i skrępowania, z jakim ten, kto myślał politycznie, musiał spoglądać na przebieg wydarzeń. Nie dlatego, iżby tak wielu przewidywało, co się stanie, lecz dlatego, że „Solidarność”, chociaż była ruchem politycznym, bo w polskiej rzeczywistości musiała być takim ruchem, za nic na świecie nie chciała przyjąć tego do wiadomości, nie chciała dać się zepchnąć na polityczne pozycje. I nie chciała słusznie, bo ze swej natury ruchem politycznym nie była. Pełniła polityczne funkcje, ale całkowicie wbrew intencjom i samej zasadzie więzów łączących rzesze działaczy. Kiedy więc Kisielewski pisał, że swojego punktu widzenia trafnie, o negatywnych skutkach niezdawania sobie przez „Solidarność” sprawy z tego, że jest ruchem czysto politycznym, trafiał w próżnię, bo gdyby „Solidarność” zdala sobie z tego sprawę, cały ruch utraciłby swój sens, sens obywatelski. „Solidarność” bowiem nie walczyła o władzę, lecz walczyła o uobywatelnienie i – bez względu na ocenę poszczególnych posunięć i poszczególnych przywódców – w znacznej mierze cel ten osiągnęła. Jak się zdaje, ten fundamentalnie niepolityczny charakter „Solidarności” był i jest często źle rozumiany przez wyłącznie politycznie myślących publicystów. Tylko to tłumaczy publicystów zachodnich wciąż sądzących, że „Solidarność” posunęła się za daleko oraz publicystów *Kultury* sądzących, że „Solidarność” posunęła się nie dość daleko.

Jeżeli jednak pamięta się dobrze o owym niepolitycznym charakterze „Solidarności”, to jednak i tak nie jest się w stanie nagle zrezygnować z osądzania zjawisk społecznych w politycznych kategoriach, nie można poprzestać na moralistyczno-społeczni-kowskich eksklamacjach i westchnieniach. I znowu widać, jak polskie niedopelnienie, jak paradoksalny kształt życia społecznego w Polsce stawia umysł przed zadaniami niemożliwymi, oburzającymi z racjonalnego punktu widzenia. Raz jeszcze okazało się, że albo trzeba oddać umysł na usługi społecznym emocjom, albo emocje odsunawszy brnąć w niebezpieczne i odległe od rzeczywistości zaułki spekulacji. Jedno i drugie niedobre, a formuły pośrednie niemożliwe. Tym bardziej kusząca stała

się pozycja obserwatora, ale przecież nie można, nie chce się być tylko obserwatorem. Kiedy Adam Zagajewski przeciwstawił solidarność – samotności, był nazbyt chyba ostrożny. Tak naprawdę temperament i talenty osobiste w sposób bezwzględny wyznaczają nam kierunek zaangażowania. Być solidarnym naprawdę i samotnym naprawdę naraz się nie da, a i na zmianę, w różnych okresach życia, też jest niemożliwe. Ale w Polsce się musi. Logika ducha narodowego przelamuje podziały na wiarę i rozum, rozsądek i emocje, moralność i politykę, wierność i lojalność. Przelamuje i doprowadza do tego, że nic nie jest pełne, z niczego konsekwencje nie są do końca wyciągnięte, polityka nie jest odpowiednio polityczna, a moralność nie jest rozpatrywana w odniesieniu do jednostki, że życie społeczne w Polsce wciąż jest podobne do teatru. Wprowadzie kostiumy się zmieniają, coraz więcej publiczności na sali, ale na scenie dzieją się stale te same rzeczy. Nie wiem tylko, czy to dobrze, czy źle.

Marcin Król

NAKŁADEM

ANEKSU

Stanisław Nowicki

PÓŁ WIEKU CZYŚĆCA

ROZMOWY Z TADEUSZEM KONWICKIM

ROZDZIAŁY: Dolina – Wileńska wojna – Nowe życie – Narkotyk filmu – Świat zdegradowany – Kobieta i mężczyzna – Gry i determinacje – Buchalteria niezależności – Pasja i męka.
Str. 248 + zdjęcia

Cena: £6,00; \$13,50

Winicjusz Narojek

PERSPEKTYWY PLURALIZMU W UPAŃSTWOWIONYM SPOŁECZEŃSTWIE

OCENA SYTUACJI

NA PODSTAWIE POLSKICH KRZYŚÓW

ROZDZIAŁY: Błąd polityczny i kryzys społeczny – Mechanizm rządzenia w trybie bezalternatywnym – Podstawy społeczne polityki w społeczeństwie wykonawców planów – Odbudowa pluralizmu na nowych podstawach społecznych.

Str. 128

Cena: £3,50; \$8,00

Pierre Hassner

TOTALITARYZM *

Ewolucja systemu i jego percepcji

Ludzie mego pokroju lepiej od rzekomych ekspertów rozumieją sytuację nie dlatego, by mieli dar przewidywania przyszłości, lecz dlatego, że wiedzą, w jakim świecie żyjemy.

Orwell (1968, II, s. 345)

Niespodzianki podróży

Totalitaryzm widziany z Zachodu to także Zachód widziany z perspektywy doświadczenia totalitarnego, a dla autora niniejszego tekstu oznacza to konieczność przemyślenia własnego doświadczenia i jednego, i drugiego, i skonfrontowania go z innego rodzaju podejściem – konceptualnym i życiowym. Powiedz mi, co mówisz (jeśli już nawet nie to, co myślisz) o totalitaryzmie, a powiem ci – jeśli już nie, czym jest totalitaryzm, to kim ty jesteś.

Kwestia „jak pisać o totalitaryzmie” leży dla mnie u zbiegu dwu dróg, które sam przeszedłem: jednej, geograficznej, wiodącej ze Wschodu na Zachód (a w ramach Zachodu od atmosfery

* Artykuł zamieszczony w pracy zbiorowej *Totalitarismes* pod redakcją G. Hermeta, P. Hassnera i J. Rupnika, *Economica*, Paryż 1984.

kulturalnej Francji do atmosfery kulturalnej Stanów Zjednoczonych) oraz drugiej, pojęciowej, wiodącej od studiowania filozofii politycznej i ideologii do badania współczesnych stosunków międzynarodowych.

Może więc to przypadkowość biografii sprawia, że historyczne pytania: czy to prawda, że coś zupełnie fundamentalnego zbliża do siebie reżym nazistowski i komunistyczny, przeciwstawiając je reżymom konstytucyjnym i pluralistycznym? czy to coś jest nieredukowalne i trwałe, czy też cząstkowe i przejściowe? dlaczego jedni ludzie wydają się w ogóle tego nie dostrzegać, a inni widzą wyłącznie to? – łączą się dla mnie z pytaniem teoretycznym: czy można zrozumieć to, co jest nam obce? Czy nie-ideolog musi stać się ideologiem, tak jak platoński sędzia musi stać się zbrodniarzem? Czy w obliczu totalitaryzmu jest się zmuszonym banalizować go – odmawiając mu oryginalności, bądź gubiąc ją w rozmaitości jego źródeł, wcieleń, faz i śladów – czy też przeciwnie, absolutyzować totalitaryzm zastępując złożoną rzeczywistość logiką abstrakcyjnej idei i naśladując w ten sposób postępowanie jego wyznawców? Czy manicheizm jest nieuchronnym produktem istoty zjawiska totalitaryzmu? A jeśli zrozumieć totalitaryzm da się tylko wtedy, gdy samemu jest się antytotalitarnym, to czy można być autytotalitarnym, nie tworząc na nowo ideologii antyideologii, totalitaryzmu antytotalitaryzmu?

Koestler i Orwell, Bernanos i Simone Weil, Camus i Silone, Aron i Loewenthal już w latach trzydziestych zdali sobie sprawę z tych problemów i pozostali im wierni tak w płaszczyźnie intelektualnej, jak moralnej. Podobnie niektóre wielkie interpretacje porównawcze i historyczne – *The Origins of Totalitarianism* (Arendt, 1951), *Der Faschismus in seiner Epoche* (Nolte, 1963), *The Social Origins of Dictatorship and Autocracy* (Moore, 1966) – mimo iż z racji swjej odwagi intelektualnej wpadały czasem w pułapkę nadmiernej systematyzacji, wniosły przecież niezmiernie wiele, bogactwem swym wyrastając ponad ideologiczne mody i polityczne manipulacje. Obok tych dzieł powstawały przez cały czas i z dala od mody inne prace, które dotarły do szerokiej publiczności dopiero wtedy, gdy moda się zmieniła (mam na myśli we Francji publikacje Leforta, Castoriadis, Papaioannou i Dumonta). Jeśli jednak przyrzeć się uważnie te-

mu, jak w ciągu ostatnich 35 lat kwestia totalitaryzmu pojawiała się i znikala w zależności od ideologicznych i politycznych, indywidualnych i zbiorowych nastrojów, to wrażeniem dominującym jest zdumienie połączone z irytacją.

W Paryżu ta właśnie kwestia była cichym przedmiotem sporów politycznych wokół sprawy Krawczenki, a jeszcze bardziej Rousseta i zerwania Camusa z Sartrem. Ale tylko nieliczni podjęli przedwojenne intuicje dotyczące schmittowskiej trójcy – *Totaler Feind, totaler Krieg, totaler Staat* (Schmitt, 1937) – i rozwijali je badając związki totalitaryzmu z sacrum, pseudonaukowym i pseudoreligijnym zarazem wymiarem metapolitycznym oraz fascynacją, jaką budziły szczególnie w intelektualistach totalitarne „religie świeckie” (Aron, 1945; Monnerot, 1948, 1949, Maulnier, 1951; Camus, 1951), bądź też skupiając się na problemie relacji między wojnami i rewolucjami totalitarnymi (Aron, 1952). Dyskusja wokół dwu zjawisk, jakie Hannah Arendt postawiła w samym centrum swojej teorii totalitaryzmu, mianowicie obozów koncentracyjnych i procesów, nie doprowadziła jednak we Francji i ogólniej w Europie do jakiegoś teoretycznego pogłębienia, wyjąwszy fundamentalne powieści Orwella i Koestlera oraz znakomite prace komisji Rousseta.

W Stanach Zjednoczonych pojęciem i problematyką totalitaryzmu zajęli się już w latach trzydziestych emigranci niemieccy, którzy doświadczyli nazizmu na własnej skórze. Ich prace, przejściowo zepchnięte w cień wskutek sojuszu Stanów Zjednoczonych z ZSRR, na początku lat pięćdziesiątych odniosły ogromny sukces, który odbił się szerokim echem w Republice Federalnej Niemiec, a w mniejszym stopniu w Wielkiej Brytanii. We Francji ta amerykańska fala przykuła uwagę wyłącznie tych, którzy ją wyprzedzili. Jedyna recenzja książki Hanny Arendt pióra Raymonda Arona (1954) nie przebiła muru milczenia, o którym wymownie świadczy fakt, że trzeba było czekać lat siedemdziesiątych na przetłumaczenie *The Origins of Totalitarianism* (Arendt, 1972) i to w skandalicznie okrojonej postaci. Sąd pierwsze zdumienie wobec kontrastujących ze sobą nieomal jedynomyślności – w Stanach Zjednoczonych i we Francji.

Od roku 1956 zmienia się atmosfera po obu stronach Atlantyku. Intelektualiści francuscy zaczynają się odwracać od dykta-

tur totalitarnych z chwilą, gdy stają się one odrobinę mniej krwawe i bardziej otwarte na społeczeństwo i rzeczywistość. To samo powtarza się później w związku z Chinami. Niektórzy odkrywają przy okazji amerykańską szkołę nauk społecznych i Raymonda Arona, którego wykłady na Sorbonie w latach 1957-58 zapoznają ich z totalitaryzmem w ujęciu Friedricha-Brzezińskiego (1956). Dominują jednak inne sprawy i inne zaangażowania. Natomiast w Stanach Zjednoczonych śmierć Stalina, złagodzenie terroru w 1956 rok w Polsce i na Węgrzech powodują przewidzianą przez Arona (1954) rewizję klasycznych i maksymalistycznych modeli totalitaryzmu (zarówno Arendt jak Friedricha-Brzezińskiego), zaakceptowaną zresztą w różnym stopniu i w różnym czasie przez samych autorów. Spadek fascynacji totalitaryzmem skłania sowietologów amerykańskich nie tyle do odwrócenia się od ZSRR, ile do nowej, banalizującej go interpretacji. W USA tak samo jak w RFN dekada 1956-1966 to okres polemik wokół pojęcia totalitaryzmu, któremu zarzuca się, iż nie uwzględnia złożoności i zdolności adaptacyjnych społeczeństw, do których się odnosi, a nawet różnic między nimi i ich podobieństw do dyktatur innego typu. Pod koniec lat sześćdziesiątych zdaje się dobiegać końca dyskusja, w której zwycięstwo odnoszą – przez techniczny knock-out w USA i na punkty w RFN i Wielkiej Brytanii – przeciwnicy tego pojęcia, oskarżonego dodatkowo o zbrodnię zimnej wojny. W latach siedemdziesiątych dyskusja ciągnie się jeszcze w tych ostatnich dwu krajach, natomiast w Stanach Zjednoczonych jej miejsce zajmuje nieomal jednomyślne – równie imponujące co przeciwny wybór z lat pięćdziesiątych – opowiedzenie się na rzecz pojęć szerszych: klasycznych (autorytaryzm), nowych (reżymy „ruchu” czy „mobilizacji”) albo okcydentalizujących („pluralizm instytucjonalny”, model biurokratyczny bądź korporacyjny). W tym miejscu odczuwamy kolejny przyływ zdziwienia i niepokoju, gdyż spoza nowych szat wziętych z garderoby nauk społecznych nie widać już ani śladu dawnej władzy totalnej.

Na szczęście czy na nieszczęście przewrotność rozumu, ta stara przyjaciółka totalitaryzmu, nie spala. I przy pomocy czerwonej książeczki Mao, normalizacji Czechosłowacji, nowych form represji psychiatryczno-policyjnych w ZSRR, złowrogiego stali-

nizmu w wyzwolonym Wietnamie i zademonstrowania przez Kambodżę Pol Pota, że nie ma tak monstrualnego monstrum, które by nie mogło spłodzić jeszcze bardziej monstrualnej swojej karykatury, podstępny rozum ośmieszył uspokajające gadulstwo naukowej sowietologii i pokazał, że jeśli totalitaryzm umarł, to przecież zostawił po sobie niemal wszędzie dość osobliwe potomstwo. A przede wszystkim zgotował powrót w glorii i przy fanfarach pojęciu, które w końcu zyskało najwyższą konsekrację paryskiej sceny ideologicznej.

Wreszcie zjawił się Gułag! Cóż za dar niebios dla ponurej kohorty starzejących się emigrantów ze Wschodu i ich nielicznych przyjaciół rozproszonych między Kongresem Wolności Kultury, zmarłym ponieważ przedwcześnie narodzonym, byłym *Socialisme ou Barbarie* i *Esprit*: nareszcie zrozumiano! Drzwi uchylone przez Chruszczowa i Mao otworzyły się szeroko mocno pchnięte przez Solżenicyna, do którego dołączył Zinowiew. Po fazie nadąsanej obojętności lub pełnej zakłopotania, połowicznej solidarności, jaka nastąpiła po okresie pozytywnej fascynacji, przyszła – tym razem, jak się wydaje, w zgodzie z odczuciami szerokiej publiczności – faza fascynacji negatywnej. Istnieje zbieżność między specjalistami, którzy doprowadzili do ostatecznych konsekwencji Arendtowską ideę „nad-znaczenia” (Besançon, 1976) i Voegelinowską (1952) ideę gnozy (Besançon, 1977), byłymi goszystemi, którzy doszli do zastąpienia Imperializmu (przez duże I) Totalitaryzmem (przez duże T) jako wcielenia Zła i zwieńczenia błędzącej myśli zachodniej (Oświecenia i niemieckiego i kalizmu), do zastąpienia ludów kolonialnych dysydentami jako cierpiącym wcieleniem Dobra i do szukania substytutu prozaicznej polityki raczej w oporze moralnym wobec władzy czy państwa niż w rewolucji społecznej; zbieżność wreszcie z nurtem politycznym lewicy antytalitarnej, dla której solidarność z rewolucjami antytalitarными w Europie Wschodniej jest zarazem pożywką, okazją i konsekwencją zakwestionowania – w ramach lewicy – jej oficjalnych, czy tradycyjnych schematów (*Esprit*, 1976). Pojęcie totalitaryzmu i walka z totalitaryzmem stały się dla lewicy intelektualnym i moralnym bodźcem umożliwiającym odkrycie na nowo pluralizmu i prawa, zastąpienie ekonomii polityką, stosunku klasa-partia stosunkiem społeczeń-

stwo-państwo i Trzeciego Świata Europą jako bynajmniej nie wyłączną, lecz jednak centralną osią refleksji i działania.

Dlaczego zatem w obliczu tej w sumie pozytywnej zbieżności zręczliwego podróżnika bardziej cieszy trzecia składowa niż dwie pierwsze? Skąd nowe zwątpienie i nowy niepokój? Przede wszystkim ze względu na intelektualny i retoryczny styl. W roku 1984, tak jak w 1945, Francja nadal jest krajem, gdzie można mówić c o k o l w i e k, byle w sposób systematyczny albo romantyczny, apodyktyczny lub apokaliptyczny, szczególnie jeśli się potrafi łączyć oba tony i jeśli kilka lat lub kilka miesięcy wcześniej mówiło się coś wręcz odwrotnego, za to w tym samym stylu. Można głosić, że totalitaryzm sowiecki jest absolutnie nieprzewidywalny (Glucksmann na kolokwium *Esprit*, 1982), albo że jest systemem dającym się najlepiej przewidzieć (Besançon, 1978); że lekcja Solżenicyna świadczy o możliwości oddolnego oporu (Glucksmann, 1975), albo że błędem Orwella było niezrozumienie, że Winston Smith jest niemożliwością, gdyż totalitaryzm przez stworzenie *homo sovieticus* odgórnice tłumnie wszelkie próby oporu (Glucksmann, 1983). W tym sensie Raymond Aron był niemal równie osamotniony w czasach swego triumfu jak wtedy, gdy był poddany ostracyzmowi, a zdumienie, jakie całe życie żywił na widok intelektualisty, który z zewnątrz wyrokuje o skomplikowanej i pełnej sprzeczności rzeczywistości, było zawsze równie uzasadnione. Niezglebionej płytkości nauk społecznych „po amerykańsku” nadal przeciwstawiają się równie niezglebione wyżyny filozofii „po francusku”.

Idzie może nie tylko o krytykę, ile o różnicę temperamentów. Raymond Aron, który pojęciu totalitaryzmu przypisywał wartość bardziej opisową i instrumentalną niż teoretyczną (Aron, 1984), pierwszy przyznałby, że pokora wobec faktów oraz empiryczne i krytyczne pytania chronią nas, co prawda, od politycznego i ideologicznego błędzenia, lecz przecież nie zasępiują filozoficznej wyobraźni. Uznawał walory, a pod pewnymi względami wyższość, form umysłu innych niż jego własna, ale tym bardziej konieczna wydawała mu się konfrontacja ich intuicji i systemów z niejednoznacznym, lecz dającym się przecież odczytać świadectwem doświadczenia historycznego.

Otóż – i to jest drugie źródło naszego niepokoju – o ile w najbardziej przenikliwych francuskich teoriach totalitaryzmu (a raczej reżymu sowieckiego) występuje przymiotnik „totalitarny”, o tyle jedynie Lefort stawia to pojęcie w centrum swojej analizy; Besançon nie posuwa się wprawdzie, jak Annie Kriegel, aż do odrzucenia go w imię uznania specyfiki komunizmu, ale woli wprowadzone przez Miłosza pojęcie „logokracji” (Miłosz, 1953) i przyjęte przez Guriana pojęcie „ideokracji” (Gurian, 1954), natomiast Castoriadis od pojęcia „totalnego kapitalizmu biurokratycznego” (1978) przechodzi do pojęcia „stratokracji” (Castoriadis, 1982). Teorie te wydają mi się problematyczne z uwagi na ich systematyczną abstrakcyjność i aprioryczną postawę wobec ewolucji historycznej. To prawda, że wszyscy w taki czy inny sposób uznają, że totalitaryzm napotyka na sprzeczności: zdaniem Leforta nie jest on w stanie zlikwidować podziałów społecznych, dla Besançona nadrzeczywistość ideologii nie może się obejść bez rzeczywistości, którą neguje, wedle Castoriadisa wreszcie stratokracja to odpowiedź na rozkład ideologii. Słowem, każdy z nich ma w swoim języku określenie odpowiadające temu, co sowietologowie nazywają fazą post-mobilizacyjną lub post-rewolucyjną, a co Papaioannou nazywa fazą „ideologii zimnej” (Papaioannou, 1967). U Leforta znajdujemy nawet ideę historii totalitaryzmu i szansy, być może rosnącej, na zwycięstwo rewolucji antytotalitarnych (Lefort, 1981). Brak tej perspektywy historycznej odczuwa się najbardziej u Besançona, przy czym nie jest jasne, czy zasadniczy immobilizm systemu prowadzi do coraz bardziej dramatycznego paraliżu, do coraz bardziej zadowalającej syntezy, czy też do wiecznej oscylacji między dwoma stanami systemu (zob. Hassner, 1977). Jednak u wszystkich dwa światy: sekty-partii i społeczeństwa, ideologii i rzeczywistości, sektora wojskowego i cywilnego, są definiowane jako koherentne całości, wręcz monady, których wzajemne stosunki mogą ulec odwróceniu lub przeobrażeniu w wyniku rewolucji bądź zalamania, lecz nie wskutek wzajemnego przenikania lub zbliżenia. Wszyscy bliżsi są koncepcjom Brzezińskiego i Arendt sprzed trzydziestu lat, od dawna zarzuconym przez ich autorów, niż idei wspólnej sowietologom nie będącym filozofami a sformułowanej przez Raymonda Arona w jego przedmowie do *Démocra-*

tie et Totalitarisme: „Powrót do codzienności, *die Veralltäglic-
ung*, jak to określał Max Weber, rozwiewa zarówno złudzenia
idealistów, jak koszarne wizje czarnowldzących proroków”
(Aron, 1965) oraz w przedmowie do *Court Traité de Soviétolo-
gie* Besançon: „Cykle napięcia i odprężenia są ukierunkowane:
bolszewicy pozostają ideologami, ale idą na kompromis ze zbun-
towaną rzeczywistością” (Besançon, 1980). Zmiany po śmierci
Stalina: spadek terrorystycznego szaleństwa, wzrost konsumpcji,
rozwój gospodarki równoległej, podziały w świecie komunisty-
cznym, ekonomiczne otwarcie na zewnątrz, rosnąca rola margl-
nesowych czy regionalnych grup nomenklatury, wkroczenie ję-
zyka technicznego do oficjalnej ideologii... – są, owszem, odno-
towane, czasem z proroczą przenikliwością, jak na przykład w
znakomitej „Pochwale korupcji w Związku Radzieckim” (Be-
sançon, 1976). Żadne jednak z tych wydarzeń nie może ubiegać
się o zaszczyt zmodyfikowania istoty systemu, a więc i jego kon-
ceptualizacji czy ostatecznej diagnozy.

Czytelnikowi grozi w tym miejscu ostra schizofrenia. Kiedy
czyta u młodej gwiazdy sowietologii amerykańskiej, a przy tym
specjalisty od stalinowskiego terroru, że spośród pięciu modeli
sowieckiej przyszłości ten najbardziej prawdopodobny charakte-
ryzuje formuła autorytarne państwo opiekuńcze (*welfare-state
authoritarianism*) (Breslauer, 1978), ma chęć odpowiedzieć, że
w ZSRR wola potęgi i państwo wojownicze (*warfare state*) zaw-
sze brały górę nad zdegenerowaną strukturą cywilną oraz że w
ostatnim dziesięcioleciu psychiatria totalitarna poczyniła nieja-
kie postępy, słowem, sięga po argumenty Castoriadis i Be-
sançon. Lecz gdy u tego ostatniego czyta, że pojęcie ekonomii
nie pasuje do Związku Radzieckiego, a wie, że w dwóch ostat-
nich pięciolatkach inwestycje przemysłowe zostały ograniczone
na rzecz nie tylko wojska, ale konsumpcji i rolnictwa, że Chru-
szczow skarżył się na ciężar wydatków nieproduktywnych czyli
zbrojeniowych, a Breżniew i Andropow oświadcza, iż gospo-
darka nie może się rozwijać, jeśli konsument jest niezadowolony
– to powraca do specjalistów od sowieckiej ekonomii.

G. Breslauer może się oczywiście bronić, że pojęcie autoryta-
ryzmu obejmuje zjawiska neototalitarne i że termin *welfare* nie
powinien być rozumiany w sensie zachodnim. W końcu Zinowiew

i Besançon opisują pewien rodzaj socjalistycznego komfortu, opartego na leniństwie i korupcji. Natomiast Besançon może się bronić, że nawet gdy przywódcy sowieccy porzucają nowomowę, by przemówić językiem codziennych trosk konsumenta, to skrywają swoje prawdziwe wybory, wpisane przecież w budżet, a jeśli budżet ten zmienia się na korzyść konsumpcji, to po to tylko, by lepiej służyć ostatecznemu celowi reżymu, którym z definicji nie może być nic innego jak siła w służbie rewolucji bolszewickiej (Besançon, 1978, 1981). W pierwszym przypadku stoimy wobec metodologicznego problemu wyboru pojęć, które stają się bezużyteczne, bo znaczą coraz mniej w miarę jak rozszerza się ich zakres, zaś w drugim przypadku stoimy przed problemem filozoficznym, czy mianowicie należy sądzić reżym (jak tego chcą obrońcy socjalistycznego ZSRR i radykalni krytycy totalitarnego ZSRR) po celach wyznaczonych mu przez ideologię, czy podług jego rzeczywistości takiej, jaka jest. W obu przypadkach stajemy wobec epistemologicznego problemu teorii, które, jak ideologia, niczego nie tłumaczą, ponieważ zawsze mogą wytłumaczyć wszystko, przy czym nie można im zarzucić fałszu.

Jeśli jednak spróbujemy wyjść poza konceptualne ramy tych dwu podejść, by ocenić je przy pomocy innych sposobów widzenia, to okaże się, że podejście Besançona, pomimo swej wewnętrznej logiki, a może właśnie dzięki niej, nie nadaje się do badania mechanizmów i ewolucji gospodarki sowieckiej, ale za to Besançon ma absolutną rację, gdy twierdzi, że ci, co znają od wewnątrz rzeczywistość sowiecką, nie rozpoznają własnego doświadczenia w uczonych rozprawach zachodnich specjalistów (Besançon, 1981). Tę podwójną obserwację można nawet uogólnić. Z jednej strony, ewolucja sowietologii w kierunku wyjścia poza pojęcie totalitaryzmu odzwierciedla, często naiwnie i przesadnie, rzeczywistą ewolucję przedmiotu jej badań, która wymaga tego przekroczenia w taki czy inny sposób i którą francuscy neofici antytotalitaryzmu niesłusznie pogardzają. Ale z drugiej strony, Solżenicyn i Zinowiew nie bez powodu mieli tak wielki wpływ we Francji: ich głęboko ze sobą sprzeczne, a może i wewnętrznie sprzeczne wizje są bardziej zgodne z Besançonem i Lefortem niż z Breslauerem czy Bialerem (1980); dysydenci ze Wschodu, którzy samym swoim istnieniem zadają kłam triumfo-

wi totalitaryzmu, powtarzają jednakowoż jego najklasycyjsze opisy (Dumitresco, 1980) i przy lekturze 1984 odkrywają znajomy sobie kraj. Znaczący to, że istnieje jakieś twarde jądro, jakaś niezaprzeczalna prawda klasycyjskiej wizji totalitaryzmu: pytanie tylko, czy uda się ją pogodzić z badaniami empirycznymi. Z kolei okoliczności polityczne, które każdemu, od Günthera Grassa po Jeane Kirkpatrick, każą podpisywać się pod antytotalitaryzmem, w połączeniu z przypadkowością orwellowskiej rocznicy, sprawiają, że kwestia totalitaryzmu stoi na porządku dziennym we wszystkich krajach jednocześnie. Są to może okoliczności sprzyjające temu, byśmy w sposób mniej niż do tej pory subiektywny wrócili do problemu drogi, jaką to pojęcie przeszło, przypominając w wielkim skrócie uwarunkowania pozanaukowe i odnajdując w niej inspirujące źródło refleksji. W ten sposób przygotowujemy może grunt, na którym uda się spożytkować „gorzką wiedzę, jaką daje podróż” (Baudelaire).

Od polityki do nauk politycznych

Głównym przedmiotem tego eseju jest podwójny kontrast – w czasie i przestrzeni – między latami pięćdziesiątymi i siedemdziesiątymi oraz między Stanami Zjednoczonymi i Francją. Chodzi oczywiście przede wszystkim o okres powojenny i o używanie terminu totalitaryzm dla określenia reżymów typu sowieckiego. Ale pora już może lepiej sprecyzować, czego ów kontrast dotyczy i przedstawić w sposób bardziej zniuansowany dotychczasowe wrażenia.

Po pierwsze, poruszam się po zawsze dwuznacznym terenie módl intelektualnych czy „ducha czasu”, gdzie krzyżują się dyskusje specjalistów i polityczne starcia. Nie roszczę sobie pretensji do systematycznego i wyczerpującego zaprezentowania ewolucji sowietologii i sporów wokół pojęcia totalitaryzmu. Co się tyczy postaw rządów, partii politycznych i opinii publicznej w ogóle, pozwalam sobie odesłać czytelnika do mojej rozprawy „Western European Perceptions of the USSR” (Hassner, 1979). Trzeba też zaznaczyć, że w tej ostatniej sferze kontrast między Francją a Stanami Zjednoczonymi był znacznie mniejszy, niż jeśli chodzi o ogólną atmosferę intelektualną. W latach

powojennych, kiedy amerykańska opinia publiczna dość szybko zamieniła sympatię do rosyjskiego sojusznika na strach przed komunizmem, opinia francuska wcale nie podzielała fascynacji lewicowych intelektualistów. Niemniej miała ona bardziej przychylny obraz ZSRR niż inne społeczeństwa zachodnie. Obraz ten popsuł się mniej więcej w tym samym czasie, gdy zmienił się klimat intelektualny, to jest w połowie lat siedemdziesiątych. Pogarsza się on nadal, co nie znaczy, że ZSRR jest postrzegany przede wszystkim jako wcielenie totalitaryzmu, utożsamianego z kolei z Gulagiem. Pomijając grupy, które są niechętne samemu pojęciu totalitaryzmu, w szerokiej opinii zdaje się dominować dość prozaiczny obraz rozpadającego się, lecz potężnego imperium, które poniosło wewnętrzną klęskę, ale na zewnątrz stanowi militarne zagrożenie dla świata. W tym sensie obraz ten jest zbliżony z amerykańskim, w Stanach Zjednoczonych bowiem, mimo usiłowań większości specjalistów, którzy z niejakim zaangażowaniem próbują popularyzować obraz Związku Radzieckiego na drodze ku liberalizacji, oraz mimo usiłowań administracji Reagana, która próbuje bez specjalnego powodzenia ożywić klasyczny obraz totalitaryzmu jako „królestwa zła” i powszechnego zagrożenia, w opinii publicznej wydaje się on podlegać ewolucji określonej przez tytuł artykułu Brzezińskiego „Od przyszłości do przeszłości” (Brzeziński, 1976); widzi się imperium coraz bardziej klasyczne i coraz bardziej reakcyjne, a nie rewolucyjne. Jeśli sięgniemy po znakomity końcowy rozdział *Terroru i Postępu w ZSRR*, to stwierdzimy, że już w 1954 roku Barrington Moore wyróżniał trzy kluczowe elementy sowieckiej ewolucji (łączył je, jak się zdaje, z trzema typami legitymacji Maxa Webera): władza (która logicznie dążyć musi do totalitaryzmu), racjonalność (obejmująca wariant technokratyczny i wariant demokratyczny) i tradycja (która może doprowadzić do społeczeństwa neofeudalnego). W przeciwieństwie do przeważających wówczas poglądów, które przewidywały stale zaostrzanie się totalitaryzmu, jak sądzili na przykład Arendt i Brzeziński, bądź nieodwracalny marsz ZSRR ku demokracji w wyniku usprawniania gospodarki, jak utrzymywał Isaac Deutscher, Moore kładł nacisk na możliwe wzajemne ograniczanie się tych trzech czynników i na bagatelizowane przez innych lecz zapewne rosnące znaczenie trzeciego.

Niewielką przesadą będzie powiedzieć, że trzy przedstawione przez Moore'a wizje prawdopodobnej ewolucji ZSRR stały się modne na Zachodzie (przy czym w USA wyraźniej niż gdzie indziej), i to dokładnie w tej kolejności, w jakiej je zaprezentował. Pierwszy obraz dominował w latach pięćdziesiątych, drugi w sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, trzeci (wskutek rozczarowania odprężeniem i destalinizacją, jak też w obliczu coraz bardziej sztywnego od wewnątrz a militarnie ekspansjonistycznego na zewnątrz reżymu sowieckiego) – w ostatniej dekadzie. Dzisiaj większość zachodnich przywódców oraz ich społeczeństw uważa, że ZSRR jest w „coraz mniejszym stopniu Sprawą, a w coraz większym krajem” i że ten kraj zajęty jest głównie opóźnianiem nieodzownych reform wewnętrznych i kontynuowaniem imperialnej ekspansji we wszystkich kierunkach, jakie upatrzyła już sobie carska Rosja. Nurty dominujące u specjalistów amerykańskich (przywiązanych do drugiego obrazu w trosce o uniknięcie manicheizmu, który by mógł zaszkodzić politycznemu dialogowi, a nawet wszelkiego wartościowania, sprzecznego z naukową bezstronnością) i francuskich (przywiązanych do obrazu pierwszego, by podkreślić decydującą rolę ideologii i walczyć ze złudzeniami odprężenia) reprezentują dwie przeciwstawne sobie strony tego consensusu. Nie podpisują się pod nim jedynie niektóre odłamy niemieckiej opinii publicznej, dla której formuła: „mniej się boimy Rosjan niż broni nuklearnej”, w płaszczyźnie teoretycznej tłumaczy się na „Wielki Brat to nie tyle sowiecki totalitaryzm, ile zachodnia technologia” (Strasser, 1983; Meyer-Larsen, 1984), z czego można wnosić, że zacyfany ZSRR, podobnie jak okupowane Niemcy, jest potencjalnie ofiarą zrobotyzowanej Ameryki. Dodajmy czym prędzej, że gdybyśmy uprawiali historię sowietologii we właściwym słowa znaczeniu, to po obu stronach Atlantyki i na każdym etapie znaleźlibyśmy prace odosobnione⁷ autorów, które nie poddają się powyższym uogólnieniom. Omawiając relacje między totalitaryzmem a autorytaryzmem niektórzy z nich – na ogół Europejczycy, którzy zabrali głos w amerykańskiej dyskusji – proponowali syntezę biorące pod uwagę zarówno fundamentalną rolę ideologii, jak i ewolucję tej roli pod wpływem dynamiki totalitarnej oraz rozwoju przemysłowego (Loewenthal,

1971, 1982; Ludz, 1961; Schapiro, 1972; Bialer, 1980; Linz, 1975; Kerblay, 1977).

Dyskusja niemiecka, trwająca nieprzerwanie przez ostatnie trzydzieści lat i głębsza niż w innych krajach, była też znacznie bardziej wyważona i mniej spolaryzowana (poza wymienionymi autorami, zob. Dupeux, 1983; Jesse, 1983; Lang, 1984).

W Stanach Zjednoczonych autorzy wielkich studiów z lat pięćdziesiątych, którzy empirycznie podbudowali model totalitaryzmu, mówili od początku, podobnie jak Aron we Francji, że należy go łączyć z modelem społeczeństwa przemysłowego (Inkeles, Bauer, 1959). Od 1953 roku Karl Deutsch kładł nacisk na szczeliny w totalitarnym monolicie, nieuniknione, bo wynikające z właściwych każdej organizacji ograniczeń centralizacji, mobilizacji i kontroli (Deutsch, 1954). I na odwrót: przy każdej nowej fali ataków na model totalitarny wolni strzelcy odważnie kryli jego odwrót (Wiles, 1961; Hollander, 1967; Odom, 1976), przygotowując zapowiadającą się kontrofensywę (Knight, 1980; Linden, 1983; Jesse, 1983). Niemniej jednak istnieją nurty dominujące, a dla nas ważne są współzależności między ewolucją ZSRR i Europy Wschodniej, ewolucją stosunków Wschód-Zachód i ewolucją nauk społecznych. Tarshys (1977) u sowietologów szukających substytutów totalitaryzmu wyróżnia trzy elementy: poszukiwanie odprężenia, pragnienie włączenia się w nurt badań porównawczych, uznanie skomplikowanej rzeczywistości Wschodu i zachodzących w niej zmian. Ale elementy te obecne były również w fazie, która doprowadziła do triumfu totalitaryzmu, a i rozpoznać je można u jego dzisiejszych, zakłopotanych nieco krytyków.

Pojęcie totalitaryzmu nigdy nie było li tylko instrumentem zimnej wojny, ale też nigdy nie udało się go odpolitycznić i uczynić zeń „operacyjnego”, a tym bardziej nie wartościującego pojęcia nauk politycznych. Zrodziło się w walce politycznej i użyte zostało w sensie pejoratywnym w 1922 przez przeciwników Mussoliniego * (zob. Pouthier, 1981), po czym w 1925 przejęte zo-

* Przymiotnika totalitarny użyli po raz pierwszy Giovanni Amendola i Piero Gobetti. Odnotujmy za Pouthierem, że Sturzo w swojej książce wydanej w 1926 *Włochy i faszyzm* antycypuje definicję totalitaryzmu Leforta i Dumonta (afirmacja jed-

stało i wykorzystane przez tego ostatniego w sensie pozytywnym. Jednocześnie fundamentalna cecha tego pojęcia, ta mianowicie, że opisuje autentycznie nową rzeczywistość, która nie daje się ująć w definicję do zaakceptowania przez wszystkich (zob. Schapiro, 1972, na temat „*the vain search for a definition*”), objawia się już przed wojną wraz z dwuznacznością państwa i ruchu, której odpowiada dualizm przymiotników *totalny* i *totalitarny* (Jánicke, 1969). W każdym razie wszystkie istotne cechy totalitaryzmu, wokół których koncentruje się dyskusja powojenna, są sygnalizowane już w latach trzydziestych – od „organizowania entuzjazmu” Elie Halévy’ego (1936) do religii politycznych i świeckich Guriana (1931) i Voegelina (1938); od państwa mas Lederera po rewolucję permanentną Sigmunda Neumanna. Można powiedzieć, że w jakimś sensie Hannah Arendt tylko zebrała rozmaite elementy w genialnej syntezie – której akademickim odpowiednikiem był „syndrom totalitarny” Friedricha i Brzezińskiego (Friedrich, Brzeziński, 1956).

Jest oczywiste, że jeśli w latach pięćdziesiątych prace te odbiły się tak głośnym echem w USA i Niemczech, to było to skutkiem opozycji Wschód-Zachód: dla Zachodu antytotaryzm stał się wówczas hasłem zimnej wojny. Ale też jeśli blisko 15 lat przed symposium na temat „Państwa totalitarnego z punktu widzenia historii, nauk politycznych, ekonomii i socjologii” (American Philosophical Society, 1939) od następnego, zorganizowanego w marcu 1953 przez American Academy od Arts and Sciences, to dlatego, że w międzyczasie racje polityczne, te same, które na lewicy zrodziły tyle oporów wobec dzieł Koestlera i Orwella, mianowicie obawa przed narażaniem na szwank sojuszu z ZSRR, przesłoniły ideę głębokiego pokrewieństwa między stalinizmem i hitleryzmem. Tym bardziej że w oczach wielu uczciwych obserwatorów polityka Stalina zdawała się zapowiadać

ności społecznej i „zniesienie sprzeczności”) oraz listę kryteriów ustalonych 30 lat później przez Friedricha i Brzezińskiego. W rozdziale o „bolszewizmie rosyjskim i faszystwie włoskim” dochodzi do wniosku, że „bolszewizm i dyktatura komunistyczna to lewicowy faszizm, a faszizm albo dyktatura konserwatywna to prawicowy bolszewizm” (*op. cit.*, s. 221). Wbrew temu, co sugerują rewizjoniści amerykańscy (Adler i Paterson, 1970) i niedawna dyskusja we Francji, idea czerwonego faszystwu nie zrodziła się za oceanem, ani w czasie zimnej wojny, ani na prawicy.

zmiany budzące nadzieje analogiczne do tych, bardziej solidnych, jakie parę lat później rozbudziła destalinizacja. W każdym razie powojenne przebudzenie, związane szczególnie z ujarzmieniem przez ZSRR demokracji ludowych i procesami końca lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych, skłoniło teoretyków totalitaryzmu, a w pierwszym rzędzie Arendt i Brzezińskiego, do wysunięcia na plan pierwszy definicji najbardziej skrajnych form totalitaryzmu, które wkrótce miały się okazać (w ZSRR a później w Chinach) w poważnym stopniu związane z osobą tyra: władza jednostki, masowy terror początkowo związany z ideologią, lecz wyzwający się od niej, by kierować się coraz bardziej przeciwko wszystkim i nabierać coraz większego przyspieszenia (Arendt, 1951 i Friedrich, 1954), permanentna czystka (Brzeziński, 1956) itd. Choć niektóre ujęcia miały charakter bardziej statyczny (Witffogel, 1957), zdecydowana większość teorii powstałych w latach pięćdziesiątych oscylowała między totalitaryzmem jako strukturą i totalitaryzmem jako procesem (Jänicke, 1969), między ideą oryginalnego i spójnego systemu, odznaczającego się pewną ilością cech i posiadającego pewną ilość reguł funkcjonowania, a ideą jakiejś szalonej dynamiki w stałym paroksyźmie, która na początek zmierza do przeobrażenia rzeczywistości w imię ideologii, a na koniec staje się celem sama dla siebie. Te dwie idee dawało się pogodzić – aczkolwiek kosztem trudności sygnalizowanych w owym czasie przez Arona i innych – w wizji społeczeństwa wchłoniętego przez państwo i państwa wchłoniętego przez partię-ruch.

Trudności te ukazały się w pełnym świetle po śmierci Stalina. Teoretycy totalitaryzmu nie byli przygotowani na kolektywne kierownictwo, ani na stosunkowe złagodzenie terroru, ani na zastąpienie permanentnej czystki troską o bezpieczeństwo oligarchii z towarzyszącą temu redukcją roli tajnej policji i wzrostem znaczenia aparatu partyjnego. Hannah Arendt, której koncepcje wyrosły z doświadczeń okresu 1932-1952 i obozów koncentracyjnych, nawet nie próbowała naciągać swojej interpretacji: jasne było, że nie pasuje ona do następców Stalina, tak jak nie pasowała do jego poprzednika ani do Mao. W 1966 roku Arendt przeciwstawiała się ideologicznemu stosowaniu terminu totalitaryzmu w odniesieniu do jednopartyjnych reżymów ko-

munistycznych (Arendt, 1966). Natomiast Brzeziński w 1956 roku dał sygnał do zrewidowania tego pojęcia czy też do – jak to później nazwano – „odwrotu od totalitaryzmu” (Curtis, 1969). W *Totalitarianism and Rationality* (Brzeziński, 1956) proponował definicję totalitaryzmu, która kładła akcent nie tyle na terror, ile na „nieumiarkowane wykorzystywanie technologicznie zaawansowanych instrumentów władzy politycznej w celu przeprowadzenia totalnej rewolucji społecznej, włącznie z uzależnieniem człowieka od pewnych postulatów ideologicznych, arbitralnie narzuconych przez przywódców w atmosferze wymuszonej jednomyślności całej ludności”.

Manipulacja na rzecz totalnej rewolucji społecznej wydawała się racjonalną modernizacją w porównaniu z prostackimi i monstrualnymi formami stalinowskiego czy hitlerowskiego terroru, co kojarzy się nam z teoriami neokolonializmu lub ekonomicznego i kulturalnego imperializmu, przedstawiającymi podbój jako prymitywną i niedoskonałą formę kontroli.

Aż do początku lat sześćdziesiątych formuły w rodzaju „odgórnej rewolucji permanentnej” (Loewenthal, 1960), która kładła nacisk na proces, „społeczeństwa administrowanego, totalitaryzmu bez terroru”, (Kassof 1964), która kładła nacisk na system, rozwijały tę ideę totalitaryzmu odmienionego wskutek „racjonalizacji partyjnej kontroli” (Cocks w Johnson, 1970). Odpowiadała ona oczywiście okresowi Chruszczowowskiemu, z cechującą go wzmożoną dynamiką ideologiczną i utopijną oraz próbą wzięcia pod uwagę potrzeb społeczeństwa i zredukowania roli tajnej policji i terroru.

Ta nowa faza rozwoju pojęcia totalitaryzmu została zakwestionowana przez kombinację dwóch czynników, o których już była mowa: nowego etapu ewolucji krajów komunistycznych i pragnienia sowietologów, żeby wyjść z getta i wskoczyć w biegu do pociągu modernizacji i studiów porównawczych.

Co do pierwszego czynnika, to bardzo szybko okazało się, że dynamika Chruszczowska kuleje. Jak to powiedział Loewenthal, wraz z upadkiem Nikity Sergejewicza pogrzebany został nie tylko terror, ale i sama rewolucja, choć partia bynajmniej nie rezygnowała z władzy, woląc raczej trzymać w szachu dążenia ludności do społecznego zróżnicowania, niż próbując te aspira-

cje wykorzystaniu. Ideologia stała się raczej usprawiedliwieniem władzy niż dynamicznym motorem przeobrażenia społeczeństwa. Jak zaobserwował Ludz (1961, 1964) na przykładzie NRD, wyłoniła się kontrolita specjalistów kooptowanych bądź kontrolowanych przez elitę aparaczyków. Brzeziński wysunął hipotezę totalitaryzmu zachowującego pozycję instytucjonalną przy jednoczesnej utracie swojej rewolucyjnej dynamiki. Ale czy był to jeszcze totalitaryzm czy też autorytaryzm oparty na systemie jednopartyjnym? Loewenthal podkreślał, że nie etykieta jest ważna, lecz uznanie faktu, iż odgórna rewolucja permanentna wyczerpała swój potencjał (w Seidel, Jenker, 1968), ale podobnie jak Ludz czy Linz (1975), czy większość autorów amerykańskich, wolał nazwać fazę postrewolucyjną czy postmobilizacyjną autorytaryzmem posttotalitarnym (w Johnson, 1970; Howe, 1983).

W tym samym czasie inni wyciągnęli z tej ewolucji jeszcze bardziej radykalne wnioski i podważyli pojęcie totalitaryzmu nawet w odniesieniu do fazy rewolucyjnej mobilizacji, a przynajmniej podporządkowali je pojęciom bardziej ogólnym, które wysunęły się na plan pierwszy w naukach społecznych. Dla Loewenthala i Ludza dynamika totalitarna ścierną się z konkurencyjną dynamiką rozwoju ekonomicznego i z rosnącą złożonością społeczeństwa przemysłowego. Należy więc połączyć model totalitarny z modelem rozwoju oraz modelem społeczeństwa przemysłowego (Inkeles, 1966). Przy czym przyznanie pierwszeństwa któremuś z tych dwu ostatnich jest kuszące, ponieważ mają one nad totalitaryzmem tę przewagę, że otwierają drzwi do świata nauk społecznych.

Drzwi te zostały wyważone przez trzy nurty, reprezentowane przede wszystkim przez trzech autorów: Tucker i mobilizacja, Meyer i organizacja, Skilling i grupy interesów. Dla Roberta C. Tuckera pojęcie totalitaryzmu jest albo za szerokie, albo za wąskie. Z jednej strony kładzie on nacisk na osobistą rolę dyktatora (1965) w ostrej fazie, na której skoncentrowała się Hannah Arendt i którą nazwał ostatnio fazą „reżymów koszmaru” (w Howe, 1983), z drugiej zaś strony chciałby przede wszystkim umieścić partie-ruchy totalitarne w ramach porównawczych, w których mieściłyby się także partie-ruchy nacjonalistyczne w

krajach od niedawna niepodległych i rozwijających się (1961). Tucker przyczynił się tym samym w decydujący sposób do wyłansowania pojęcia reżymów mobilizacji (*mobilisation regimes*).

Alfred Meyer (1961), dość obojętny na specyfikę ideologii i polityki, a będący pod głębokim wpływem teorii konwergencji oraz analogii między ZSRR a wielką korporacją (*USRR incorporated*), na swój sposób upierał się przy starej Burnhamowskiej idei rewolucji menadżerskiej, nie rozróżniając wyraźnie, jak mi się wydaje, wariantu biurokratycznego od technokratycznego.

Wreszcie G. Skilling (1960, 1966) zarzuca modelowi totalitarnemu przede wszystkim to, że przesłania rosnącą złożoność społeczeństw komunistycznych i występujących w nich konfliktów interesów. W odróżnieniu od Jerry Hougha (1969) przypomina jednak precyzyjnie, że reżymów typu sowieckiego nie można nazwać pluralistycznymi. Niemniej jego prace (co dziwna sprzeczne z wyczerpującą i empatyczną znajomością społeczeństwa czechosłowackiego – Skilling, 1976) w warstwie teoretycznej zmierzają w kierunku banalizowania reżymów komunistycznych, przez co ściąga on na siebie krytyki Castlesa (1969) i Odoma (1976), którzy próbują zrehabilitować model totalitarny, wbudowując weń zjawisko artykulacji interesów i tworzenia się grup. Nie posuwają się wszakże tak daleko jak T. Lowit (1976), którzy usiłuje zredukować widoczne zróżnicowanie społeczne do ukrytej jedności partii polimorficznej.

Sprawa przedstawia się wyraźniej u innych zwolenników modelu pluralistycznego. Wyrażają oni z niejaką prostodusznością pragnienie zbanalizowania ZSRR po to, by zostać zaakceptowanymi przez nauki społeczne i – co równie ważne – uratować odprężenie. Susan Salomon (1983) stwierdza: „Budowa autentycznych mostów pojęciowych między politologią porównawczą a sowietologią miała spełniać dwa konkretne cele. Po pierwsze, wykazać z siłą większą niż jakiegokolwiek argument, że ZSRR nie jest osamotnionym pariasem w rodzinie narodów. Po drugie, zdejmując piętno z systemu sowieckiego pozwolić specjalistom od polityki sowieckiej włączyć się w dominujący nurt nauk politycznych”. Rezultat był jednak tylko częściowo zadowalający. „W pracach specjalistów od polityki porównawczej poświęconych tematyce pluralizmu i grup interesów stale napotykaamy

obecnie na odniesienia do badań prowadzonych przez sowietologów. Jednakże nie udało się osiągnąć celu, jakim miało być wyeliminowanie pojęcia totalitaryzmu (czy to w czystej, czy w zmodyfikowanej postaci), lub choćby zredukowanie jego wiarygodności”.

Jerry Hough (1983), najbardziej radykalny adwokat modelu pluralistycznego, broni go przed nową modą na korporacyjność w przekonaniu, że jest on bardziej skuteczny w nie wygranej wciąż bitwie przeciwko wspólnemu wrogowi, mianowicie modelowi totalitarncmu: „Niezależnie od ewolucji percepcji Związku Radzieckiego w naukach politycznych, dawne dogmatyczne poglądy nadal kształtują opinię znacznych i wpływowych grup amerykańskiej ludności. Piętnaście lat pracy nad polityką sowiecką, od strony procesu jej formowania, miało zbyt mały wpływ na tradycyjny obraz wszechpotężnego państwa, które rządzi społeczeństwem i prowadzi politykę według z dawną ustalonego planu. Wydaje mi się, że powinniśmy pamiętać nie tylko o specjalistach, ale i o tej szerokiej publiczności, kiedy decydujemy, co należy badać i rozumieć” (s. 58).

Od politologii do filozofii polityki?

Skąd się wziął ten ton skargi i to wyznanie połączone z nagłym apelem o większą polityczną świadomość? Znowu wchodzi w grę trzy odrębne sprawy.

Przede wszystkim nauki społeczne, których triumfalny pochód tak wielkie zrobił wrażenie na sowietologach, straciły wiele ze swego splendoru. Szczególnie teorie modernizacji i rozwoju politycznego stały się coraz bardziej wątpliwe (zob. Huntington, 1971, a co do sowietologii W. Taubman, 1974). Z biegiem lat pojęcie rozwoju politycznego zdyskredytowało się ostatecznie, a stosowało go w odniesieniu do Europy Wschodniej zakrawało coraz bardziej na czarny humor. W 1982 dwaj autorzy, będący skądinąd zdecydowanymi zwolennikami modeli komparatystycznych i ograniczonego pluralizmu, Gordon Skilling i Archie Brown, wygłosili mowę pogrzebową nad jego trumną w *Studies in Comparative Communism* (1982).

Ale pojęcie pluralizmu w odniesieniu do krajów komunistycznych miało się niewiele lepiej. W 1979 r. w tychże *Studies in*

Comparative Communism jego krytycy przeszli do ataku. Na dodatek, jak odnotowała Susan Gross Salomon (1983), sowietolodzy uczepili się pojęcia pluralizmu w momencie, gdy ich koledzy, specjaliści od społeczeństw zachodnich, zaczęli się od niego oddalać. Nie posuwając się, co prawda, aż tak daleko jak nowa lewica Mrcusowska w Stanach Zjednoczonych pod koniec lat sześćdziesiątych i w dzisiejszych Niemczech, posługująca się pojęciem totalitaryzmu w odniesieniu do „represywnej tolerancji” zachodniej, podkreślali oni dominującą rolę wielkich organizacji, ich konszachty i solidarność na zewnątrz, dopatrując się w tym jednej z cech faszyzmu, mianowicie ducha korporatyizmu. Stąd też wynikła nęcąca sowietologów moda na neokorporatyzm. Zachowali jednak ostrożność w obawie – i taki jest sens ostrzeżenia Hougha – że znów popadną w model totalitarny, który może zostać wskrzeszony przez „nową zimną wojnę”.

Jest jasne, że ten drugi czynnik, mianowicie zły stan stosunków Wschód-Zachód, jest najbardziej widoczny, bardziej nawet niż w poprzednich okresach. Jeśli jedni wskrzeszają pojęcie totalitaryzmu, a drudzy je odrzucają, to dzieje się tak nie ze względu na jego nagle ponownie odkryte analityczne zalety, ani nie z powodu ewolucji nauk społecznych czy Związku Radzieckiego, lecz dlatego, że ZSRR jawi się znowu jako przeciwnik i że pojęcie totalitaryzmu, podobnie jak pojęcie Gulagu, jest najwygodniejsze, żeby „nazwać wroga”, jak by powiedział Besançon. Nie ujmuje to niczego samodzielności intelektualnej i jednych, i drugich. Tak samo nie musimy przecież podzielać motywacji ani konkluzji pani Kirkpatrick (1982), która, wskrzeszając rozróżnienie między reżymami autorytarnymi i totalitarnymi, dochodzi do wniosku, że trzeba popierać dyktatury prawicowe przeciwko reżymom komunistycznym, żeby uznać, iż porusza ona ważką kwestię stopnia nieodwracalności jednego i drugiego typu reżymu, niezależnie od stosowanego przez nie terroru.

Podobnie jak w czasach odprężenia, zmienił się nie komunizm, lecz postawy wobec komunizmu. A raczej tym, co się zmieniło i co uzasadnia zakwestionowanie skutków odprężenia, jest nie tyle natura ZSRR, ile jego rola zewnętrzna i jego potęga. Osiągnięcie przez ZSRR parytetu strategicznego i interwencyjny charakter jego polityki militarnej (szczególnie w Afgani-

stanie) – w równym stopniu co opóźnione i częściowo retrospektywne uświadomienie sobie rzeczywistości Gułagu – rozbudziły nowe obawy i nową wrogość pod jego adresem.

Ta zmiana postawy jest częściowo nieuzasadniona. Nie jest bowiem samo w sobie oczywiste, że zagrożenie militarne, jakie przedstawia jakiś reżym, czy też nagła konieczność lub niemożność negocjowania z nim są z konieczności związane z jego wewnętrzną naturą. Kraj może być totalitarny, ale jego dynamika zwracać się może w stronę ucisku wewnętrznego, a nie na zewnątrz (tak było ze Stalinem w okresie wielkich czystek, z Mao w czasie rewolucji kulturalnej i tak jest siłą rzeczy w przypadku małych krajów, często najbardziej totalitarnych, jak Albania czy w pewnym stopniu Kambodża Pol Pota). I na odwrót: ekspansjonistyczne i imperialistyczne może być klasyczne mocarstwo. Można mieć podstawy do negocjacji i wspólne choć tymczasowe interesy z państwem najbardziej totalitarnym. Jest jednak faktem, że trwale kompromisy, jakich oczekiwał Zachód w okresie odprężenia, są nie do pogodzenia z naturą reżymu totalitarnego, z jego zasadniczo konfliktową koncepcją świata, z charakterem jego stosunków z własnymi obywatelami. Tak samo faktem jest, że nawet na krótką metę demokracje zachodnie nie są w stanie widzieć swoich sojuszników czy interlokutorów takimi, jakimi są. To, co się zdarzyło w czasach sojuszu przeciwko Hitlerowi, powtórzyło się częściowo w czasach odprężenia. Podobnie, w złagodzonej formie, rozwianie się złudzeń na współpracę spowodowało uświadomienie sobie na nowo odmienności ZSRR. Skoro Związek Radziecki nie stał się demokratyczny i przyjazny to znaczy, że nie przestał być totalitarny. I na odwrót: ci, co chcą uratować odprężenie, czują się w obowiązku wykazać, że nie mylili się twierdząc, iż Moskwa się zmieniła.

Nawet jeśli nie czujemy się powołani do rozstrzygnięcia sprawy, nie możemy unikać pytania, w jakim stopniu zmienił się Związek Radziecki i inne reżymy komunistyczne. Na wyższym poziomie chodzi nam o możliwość pogodzenia modelu totalitarnego z elementami ewolucji i zróżnicowania, jakie ujawniły się w świecie komunistycznym w omawianym okresie oraz o zgodność modeli alternatywnych z elementami trwałymi w samym Związku Radzieckim i reprodukowanymi gdzie indziej, poczynając od

marksistowsko-ieninowskiej „nowomowy”, pleniącej się od Indochin po Karaiby *.

Tym, co każe nam zadać sobie pytanie, czy porzucając pojęcie totalitaryzmu specjaliści nie wylali aby dziecka z kąpielą, jest coś, co można by nazwać zaklinowaniem dyktatur komunistycznych. Teorię totalitaryzmu zdyskredytowała destalinizacja. Ale teorie, które ją zastąpiły, oparte były na wizji i koncepcjach idących w kierunku liberalizacji i demokratyzacji, a przynajmniej racjonalizacji i kontraktualizacji. Kryzys w państwach komunistycznych, wewnętrzny immobilizm ZSRR, porażka Praskiej Wiosny, narodziny „Solidarności” i wprowadzenie „stanu wojennego” w Polsce każą nam się zastanowić, czy nie istnieje jakiś totalitarny rdzeń blokujący ewolucje znane nam z historii autorytaryzmów prawicowych.

Jest oczywiste, że model przedstawiony przez H. Arendt i opracowany przez Friedricha i Brzezińskiego nie da się w obecnej fazie utrzymać i że jego zwolennicy zmuszeni zostali zrezygnować po kolei z jego atrybutów: wpięrcz z terroru, następnie z rewolucji. Ale jest też jasne, że tego teoretycznego strip-tease'u nie da się doprowadzić do końca i że zwolennicy modernizacji, technokracji i pluralizmu również zmuszeni byli się wycofać.

Czy mamy zgodzić się z Michaëlem Walzerem (w Howe, 1983), że każdy realnie istniejący totalitaryzm jest totalitaryzmem nieudanym (*failed totalitarianism*), dodając wszakże od siebie, że wszystkie demokratyzacje i liberalizacje post-totalitarne również są nieudane? Czy mamy wnosić, iż między systemem a społeczeństwem toczy się cykliczna i nigdy nie rozstrzygnięta walka? Może to i prawda, ale żeby to głosić, trzeba wpięrcz empirycznie zbadać rozmaite formy tej walki i jednocześnie przyjąć filozoficzny i moralny zakład co do jej ostatecznego znaczenia. Być może zresztą to badanie i ten zakład winny dotyczyć nie tyle systemu, ile społeczeństw.

Trzy rozdziały niniejszej książki **, poświęcone reżymom komunistycznym, sugerują nam, iż byliśmy dotychczas nadto zajęci

* Branko Lazitch słusznie zauważył w związku z Grenadą (*Est-Ouest*, styczeń 1984), że jedną z najbardziej uderzających cech nowomowy jest jej uniwersalność.

** Artykuł Aleksandra Smolara poświęcony jest ewolucji w bloku sowieckim, Jean Luc Domenacha sytuacji w Chinach, Jacques Rupnika opisowi systemu totalitarnego przez autorów niezależnych w środkowo-wschodniej Europie.

totalitaryzmem i w zbyt małym stopniu zainteresowani przeciwnym mu biegunem-społeczeństwem cywilnym i kulturą narodową. Reżym komunistyczny stara się je przekształcić, ale stawiają mu one opór, odradzają się mimo prób zniszczenia. Czyżby owo odrodzenie, ów opór były tylko złudzeniem? Czyżby owe społeczeństwa umiały odsyłać jedynie lustrzane odbicie władzy totalitarnej, władzy jak one odmienionej, ale zwycięskiej; czyż wytwarzają one teraz swój własny „oddolny totalitaryzm”?

Wszyscy zdają się podzielać pogląd Aleksandra Smołara, że dynamika „odgórnej rewolucji” zanikła, ale też że instytucje systemu totalitarnego niezmiennie trwają. Czy należy z tego wyciągać wniosek, który dla Chin formuluje Jean Luc Domenach, że odradzające się społeczeństwo cywilne spycha system w defensywę, czy też przeciwnie: że dynamizm nie jest mu już potrzebny, że nie musi już od góry narzucać przemian rewolucyjnych, bowiem zdołał już zabić czy rozłożyć społeczeństwo cywilne i że mamy dzisiaj do czynienia (wszędzie – zdaniem Besançona – z wyjątkiem Polski) z nowym typem człowieka, z *homo sovieticus* opisanym przez Zinowiewa (1983). Jacques Rupnik przypomina nam, że odpowiedzi, które dawane są w Europie środkowej, głęboko się różnią od oceny Zinowiewa. Należy sądzić zapewne, że jeżeli system jest ciągle ten sam, to sposoby jego przeżywania, przystosowywania się doń, przeciwstawiania mu się, różnią się zależnie od kultury i doświadczenia historycznego.

Czy da się wyodrębnić cechy ogólne i zarazem specyficzne obecnej fazy totalitaryzmu? Wymaga to przedsięwzięcia pewnych metodologicznych środków ostrożności, co we Francji, u badaczy poczuwających się do filozofii krytycznej czy indywidualizmu metodologicznego, jest czymś nowym w porównaniu z pokusą dogmatyczną, o której pisałem na początku tego eseju.

Najrozsądniej i najbezpieczniej będzie – z jednej strony – odwołać się do pojęcia typu idealnego, by móc stwierdzić, że totalitaryzm i demokracja są konstrukcjami wyrosłymi na gruncie rzeczywistości empirycznej i pozwalającymi rzeczywistość tę zrozumieć, ale że z definicji nie może być ona z nimi utożsamiana *.

* Szczegółowe omówienie różnicy między typem idealnym, modelem i teorią w odniesieniu do totalitaryzmu znajduje czytelnik w artykule Flerona „Soviet area studies

z drugiej zaś strony – używać słowa „totalitarny” jedynie jako przymiotnika, tak jak to sugeruje Maurice Cranston (1977), w przekonaniu, że nie istnieje totalitaryzm sam w sobie, lecz tylko totalitarne zachowania, tendencje, logiki, cele i treści.

Jakkolwiek godna pochwały, ostrożność ta niesie jednak z sobą pewne niebezpieczeństwa. Jest zbawienna, jeśli idzie o to, by przypomnieć, że żaden reżym totalitarny nigdy nie zrealizował w pełni swoich ambicji, by zmierzyć dystans dzielący aktualne totalitaryzmy od skrajnych przypadków stalinizmu czy hitlerizmu, wreszcie by zasygnalizować, że te ostatnie mieszczą w sobie i doprowadzają do ostatecznych granic praktyki, jakie można odnaleźć w innych epokach i kulturach. Ostrożność ta jest niebezpieczna, jeśli prowadzi do pominięcia kwestii rzeczywistości historycznej współczesnego totalitaryzmu; do zapomnienia, że jego logika nie jest dziełem patrzącego wstecz socjologa, lecz wynika z celów założonych przez jego twórców; do wymazania specyfiki charakterystycznej dla totalitaryzmu kombinacji elementów nowoczesnych z archaicznymi; słowem do negowania, że wskrzeszenie dawnych praktyk w nowym kontekście może mieć nieoczekiwane skutki w postaci nowych, jeśli już nie systemowo spójnych całości, to przynajmniej historycznie oryginalnych konfiguracji.

Dlatego pozwolę sobie na zakończenie powiedzieć, co myślę o aktualnym statusie reżymów komunistycznych w odniesieniu do kwestii totalitarnej oraz o charakterze celów i rdzenia totalitarnego, o których była mowa.

Zaakceptowanie pojęcia autorytaryzmu post-totalitarnego wydaje mi się rozsądne pod warunkiem, że nadamy mu sens nie odbiegający zbyt od totalitaryzmu post-rewolucyjnego. Bo choć prawdą jest, że reżym totalitarny, tracąc częściowo swoją dynamikę i zdolność kontroli nad społeczeństwem bardziej skomplikowanym czy bardziej opornym, zaczyna hamować swoje ambicje, dostosowując je do swych możliwości i zbliża się do władzy autorytarnej (co w odniesieniu do Europy Wschodniej z pewnością, a w odniesieniu do Związku

and the social sciences: some methodological problems in communist studies" (Fle-ron, 1969). We Francji Luc Ferry przyznaje pojęciu „typu idealnego” miejsce centralne (Ferry, 1983).

Radzieckiego prawdopodobnie wydaje mi się prawdziwsze niż wizja Zinowiewa, jakkolwiek by była sugestywna), to przecież nie jest to władza autorytarna jak każda inna. Post-totalitarne władze autorytarne reprezentują w jakimś sensie schyłkową fazę totalitaryzmu, a w każdym razie są głęboko naznaczone swoim rodowodem.

Trudno chyba zaprzeczyć, że nastąpił „rozpad totalitaryzmu leninowskiego”, jak to powiedział Džilas (1983). Ale też, jak sam zaznaczył, jest to bardziej rozpad treści niż organizacyjnych i ideologicznych ram totalitaryzmu. Wydaje się on bowiem zaw sze obecny w tle, trochę jako punkt odniesienia pozwalający lepiej znosić terażniejszość, trochę jako grzech pierworodny wzbraniający władzy poddać się werdyktowi tłumu, a trochę jako coraz mniej może realne zagrożenie, które jednak rzuca cień na życie.

Masowy terror niewątpliwie znacznie zmalał, trwa jednak na tyle, że nie można absolutnie wykluczyć jego powrotu. Groźbę Gułagu zastąpiła obecnie przede wszystkim groźba wypadnięcia poza system gospodarczy i społeczny. „Instytucjonalizacja lęku” (Inkeles, 1968) istnieje nadal, aczkolwiek kłóci się z panującą na szczycie gerontokracji potrzebą bezpieczeństwa.

Władza jest rozproszona, ale to rozproszenie nie przybiera formy równowagi między różnymi grupami interesów: mamy raczej do czynienia z odnową elit i wzajemnym przenikaniem w łonie klasy kierowniczej (KaGeBizacja, militaryzacja i technicyzacja przez kooptację w aparacie partyjnym), a równocześnie z większą tolerancją wobec gospodarki równoległej, a nawet z pewną odpowiadającą jej w płaszczyźnie społecznej dezintegracją (choć po przekroczeniu pewnej granicy władza usiłuje odzyskać kontrolę). Jak podkreśla W. Odom (1983) w ważnym artykule, konflikt – jeśli konflikt istnieje – zachodzi nie tyle między instytucjami i grupami, ile między centrum i peryferiami, między mniej lub bardziej wysokimi szczeblami hierarchicznego systemu. Struktury są takie same, ale osłabła centralna kontrola i zaniknęły ożywiające system mechanizmy, jakimi były czystki i terror.

Analogiczne napięcia i sprzeczności znajdujemy na poziomie ideologii. Tak jak w płaszczyźnie organizacji próbuje się wpro-

wadzić komputeryzację, co służyć ma raczej wzmocnieniu centralnej kontroli niż demokratyzacji, tak w płaszczyźnie ideologii sięga się coraz częściej po ideologie zastępcze, tradycyjne (nacjonalizm, i to od niedawna nawet w NRD, gdzie wydawał się wykluczony) i modernizacyjne („rewolucja naukowo-techniczna” – Hoffman, Laird, 1982). Współczesna literatura sowiecka wydaje się nastawiona raczej na prywatność niż na mobilizację, a w każdym razie bardziej popiera nacjonalizm, pracowitość, poczucie łączności z przyrodą i przeszłością niż oddanie sprawie socjalizmu (Friedberg, w Byrnes, 1983). Otworzyły się okna na rzeczywistość. Aie nowomowa przetrwała, pozostając symbolem i kodem władzy i jej prawomocności, która nie może jednak obejść się bez pod-historii i nad-historii (Papaioannou, 1967): piekielnych spisków i radosnej przyszłości.

Wreszcie w płaszczyźnie polityki zagranicznej sądzić można, że rewolucja światowa przestała być operacyjnym celem polityki sowieckiej – jeśli nim kiedykolwiek była. Ożywia ją raczej duch *Realpolitik* niżli przemożna dynamika ideologii. Jednocześnie brak prawomocności tradycyjnej czy demokratycznej utrzymuje reżym w stanie permanentnej niepewności: żeby zachować władzę, kierownictwo musi utrzymać kontrolę nad swoim imperium i społeczeństwem, a w tym celu uzbroić je przeciwko wpływom zewnętrznym, do czego potrzebuje ideologii podsycającej wrogość wobec świata zewnętrznego i siły, która pozwala mu kontrolować, choćby potencjalnie, wszelkie pochodzące stamtąd zagrożenia. Wszystkie te defensywne i zachowawcze racje mogą pchnąć władze sowieckie do ekspansji i konfliktu równie niezawodnie co zdobywczy mesjanizm.

Tych parę banalnych i ogólnikowych uwag ma zasygnalizować czytelnikowi, że jeśli nastąpiła zmiana i rzeczywistość dzisiejsza jest bardziej skomplikowana niż niegdyś, to przecież nie wyzwoliła się ze stalinowskiego dziedzictwa, i że brakuje nam dziś bardziej niż kiedykolwiek narzędzi pozwalających określić rolę tego dziedzictwa w rozmaitych istniejących odmianach schyłkowego i bękarciego totalitaryzmu.

Nie wydaje się w każdym razie, by narzędzi tych należało szukać głównie w naukach społecznych. Czyż nie jest uderzające, że to wielkie dzieła literackie (Orwell, Solżenicyn, Zinowiew,

Grossman) i filozoficzne pytania narzucają nam co jakiś czas pewność, że jednak c o ś wymyka się konceptualizacjom i empirycznym badaniom nauk społecznych zastosowanych do sowie-tologii i że to coś ma związek z totalitaryzmem? Czy tego czegoś należy szukać w Arendtowskim „nad-znaczeniu” Besançonowskiej „nadrzeczywistości”, orwellowskich „dwojmyśleniu” i „no-womowie”, Jaspersowskim „kłamstwie zinstytucjonalizowa-nym”, w „zimnej ideologii” Papaioannou czy „wielkim kłamst-wie”, do którego odwołuje się Kolakowski (1983), słowem – co podkreśla wielu autorów z Europy Środkowej – w sferze styku języka z władzą?

Jeśli tak, to trzeba by wyciągnąć dwa wnioski, które sprowa-dzają nas do punktu wyjścia.

Po pierwsze, zrozumiałe byłoby dłączenie Francja, ziemia Mo-wy, szczególnie nadaje się do zrozumienia zjawiska totalitaryz-mu. Doceniłibyśmy znaczenie pracy J. P. Faye’a (1972) – nie podzielał jego rozumowania ani wniosków – o językach totali-tarnych i zainteresowanie Francuzów analizą ideologii i języka (Bourmeyster, 1983), co zaniedbywała sowietologia amerykańska, powodowana behawiorystyczną bądź wulgarno-marksistow-ską troską o solidną i dającą się zweryfikować bazę badawczą.

Po drugie, błąd teorii totalitaryzmu leżałby w przejściu od Arendt do Friedricha i Brzezińskiego i polegał na tłumaczeniu czegoś, co ogarnąć może jedynie scalająca wizja nieodłączna od filozofii politycznej, na szereg kryteriów empirycznych.

Trzeba by odrzucić klasyfikację Barbera (1969), który rozróż-nia definicje esencjalistyczne (Arendt) i fenomenologiczne (Friedrich i Brzeziński). Jak słusznie zauważył Luc Ferry (w Pisier-Kouchner, 1983), podejście Arendt jest fenomenologicz-ne w husserlowskim sensie słowa i oczywiście nie tożsame z kla-sycznym esencjalizmem czy empiryzmem.

W czasach, gdy chciano jeszcze pogodzić egzystencjalizm z marksizmem, Jean Beaufret (1945) rzucił myśl, że teoria warto-ści u Marksa wynikała z redukcji ejdetycznej: ekonomista empi-ryk znał i mógł kwantyfikować jedynie płace, ceny i zyski, a Marks, za sprawą pojęcia wyzysku, odsłonił immanentny sens systemu kapitalistycznego. Sens ten wyznacza jednak pewna fi-lozofia, z którą jest nierozłącznie związany, mianowicie filozofia

zakładająca możliwość stosunków produkcji nie opartych na wyzysku. Tak samo politolog może rozpoznać jedynie rozmaite formy autorytaryzmu, a pojęcie totalitaryzmu nabiera sensu, jak wskazuje Lefort (1981), tylko w świetle teorii demokracji i praw człowieka, a także – należałoby dorzucić – teorii relacji między językiem a społeczeństwem, czy między filozofią a polityką.

Wreszcie, jeśli mamy przekonywująco mówić o totalitaryzmie, to nie możemy się obejść bez filozoficzno-politycznego zaangażowania i bez historycznego zakładu.

Wynika stąd wniosek dla nas paradoksalny. Wyszliśmy od idei wprowadzenia perspektywy nauk politycznych do francuskiego ujęcia totalitaryzmu, które wydawało nam się – i nadal się wydaje – zbyt ideologiczne. Doszliśmy zaś do wniosku, że pojęcie totalitaryzmu nie jest pojęciem z dziedziny nauk politycznych.

Nie znaczy to jednak, by nie było dla niej interesujące. Przeciwnie, z dyscypliną nauk politycznych jest tak jak z teorią totalitaryzmu: mogą się one rozwijać, jeśli nauczą się rozpoznawać własne granice. Jak by powiedział Pascal – nic bardziej zgodnego z nauką polityczną niż to zakwestionowanie nauki politycznej.

Przełożyła M. L.

Pierre Hassner

BIBLIOGRAFIA

ADLER (K.), PATERSON (T.G.), 1970. „Red Fascism: the merger of Nazi Germany and Soviet Russia in the American image of totalitarianism”, *American Historical Review*, april.

AMERICAN PHILOSOPHICAL SOCIETY (1940), *Symposium on the Totalitarian State*, Proceedings, 82. 1, Philadelphia.

ARENDRT (H.), 1951. *The Origins of Totalitarianism*, New York.

1966, *The Origins...*, Nowe wydanie, wprowadzenie.

1972, *Le système totalitaire*, Paris, le Seuil.

ARON (R.), 1945. „L'avenir des religions séculières” in *L'Age des Empires et l'Avenir de la France*.

ARON (R.), 1948, *Le Grand Schisme*, Paris, Gallimard.

ARON (R.), 1952, *Les guerres en chaîne*, Paris, Gallimard.

ARON (R.), 1954, „L'essence du totalitarisme”, *Critique*, X, janvier.

ARON (R.), 1955, *L'optimum des intellectuels*, Paris, Calman-Lévy.

ARON (R.), 1957, „Une révolution anti-totalitaire” in *La révolution hongroise*, Plon.

- ARON (R.), 1965, *Démocratie et totalitarisme*, Paris, Gallimard.
- ARON (R.), 1978, „Pour le progrès. Après la chute des idoles”. *Commentaire*, I, 3, automne.
- ARON (R.), 1984, *Les dernières années du siècle*, Paris, Julliard.
- AZRAEL (J.), 1966, *Managerial Power in Soviet Politics*, Cambridge, Harvard University Press.
- 1968, „The Party and Society” in KASSOF (A.), ed., *Prospects for Soviet Society*, New York, Praeger.
- 1970, „Varieties of de-stalinization”, in Johnson, ed., *Change in Communist systems*.
- BARBER (B.), 1969, „Conceptual Foundations of Totalitarianism” in-FRIEDRICH (C.), CURTIS (M.), BARBER (B.), *Totalitarianism in Perspective. Three Views*, New York, Praeger.
- BEAUFRET (J.), 1945, „A propos de l'existentialisme”, *Confluence*, 5, juin-juillet.
- BESANÇON (A.), 1976, *Court traité de soviétologie à l'usage des autorités civiles, militaires et religieuses*, Paris, Hachette.
- BESANÇON (A.), 1977, *Les origines intellectuelles du léninisme*, Paris, Calmann-Lévy.
- BESANÇON (A.), 1978, „Conservateur de quoi?”, *Commentaire*, automne.
- BESANÇON (A.), 1980, *Présent soviétique et passé russe*, Paris, Pluriel.
- BESANÇON (A.), 1981, *Anatomie d'un spectre. L'économie politique du socialisme réel*, Paris, Calmann-Lévy.
- BIALER (S.), 1980, *Stalin's successors*, Cambridge, Cambridge University Press.
- BOURMEYSTER (A.), ed., 1983, *Essais sur le discours soviétique*, Université de Grenoble III.
- BRESLAUER (G.), 1978, *Five Images of the Soviet Future: a critical review and synthesis*, Berkely.
- BROWN (A.), 1982, „Political Development and the Study of Communist Politics”, *Studies in Comparative Communism*, 1 et 2.
- BRZEZIŃSKI (Z.), 1956, „Totalitarianism and Rationality”, *American Political Science Review*, 50.
- BRZEZIŃSKI (Z.), 1976, „Soviet Politics: from the Future to the Past”, in COCKS (P.), DANIELS (R.V.) et WHITTIER HEER (N.), ed., *The Dynamics of Soviet Politics*, Cambridge, Harvard University Press; traduction polska *Aneks*, nr 9.
- CAMUS (A.), 1951, *L'homme révolte*, Paris, Gallimard.
- CASTORIADIS (C.), 1978, „Le régime social de la Russie”, *Esprit*, juillet-août.
- CASTORIADIS (C.), 1981, *Devant la guerre*, t. *Les Révoltés*, Paris, Fayard; W *obliczu wojny*, Wyd. „Aneks”, 1985.
- CASTELS (F.), 1969, „Interest articulation: a Totalitarian Paradox”. *Survey*, automne.
- COULIGNON (J.G.), 1976, „De l'isolationnisme au comparatisme: méthodes et approches anglo-saxonnes pour l'analyse du système politique soviétique”, *Revue française de science politique*, 26, 3, juin.
- COULIGNON (J.G.), 1980, „L'idéologie soviétique devant la soviétologie scientifique française”, in *Centre d'Etude de la Pensée politique, Analyse de l'idéologie*, T.I.
- CRANSTON (M.), 1977-78, „Should we cease to speak of Totalitarianism?”, *Survey*, 23, 3.

CURTIS (M.), 1969, „Retreat from Totalitarianism” in FRIEDRICH (C.), CURTIS (M.), BARBER (B.), *Totalitarianism in Perspective. Three Views*, New York, Praeger.

DEUTSCH (K.), „Cracks in the Monolith: Possibilities and Patterns of Disintegration in Totalitarian Systems”, in FRIEDRICH (C.), ed., *Totalitarianism*, Cambridge, Harvard Univ. Press.

DJILAS (M.), 1983, „The Disintegration of Communist Totalitarianism” in HOWE, ed., *1984 Revisited: Totalitarianism in our Century*, New York, Harper.

DUMITRESCO (C.), 1980, *La cité totale*, Paris, Le Seuil.

DUPEUX (L.), 1983, „Le débat sur le totalitarisme en Allemagne”, in Centre d'Etude de la pensée politique, *Analyse de l'idéologie* no 2, *Thématique*.

ESPRIT, 1976 A, „Retour du politique”, juillet-août.

ESPRIT, 1976 B, „Révolution et totalitarisme”, septembre.

ESPRIT, 1978, „Dans les fissures du totalitarisme... la démocratie en germe”.

FAYE (J.P.), 1972, *Langages totalitaires, Critique de la raison. L'économie narrative*, Paris, Herman.

FERRY (L.), 1983, „Stalinisme et historicisme. La critique du totalitarisme stalinien chez Hannah Arendt et Raymond Aron”, in PISIER-KOUCHNER, *Les interprétations du stalinisme*, Paris, Puf.

FLERON (F.), 1969, *Communist Studies and the Social Sciences*, Chicago, Rand Mc Nally.

FRIEDBERG (M.), 1983, „Cultural and Intellectual Life”, in ROBERT (S.), BYRNES ed., *After Brezhnev. Sources of Soviet Conduct in the 1980s*, Bloomington, Indiana Univ. Press.

FRIEDRICH (C.), ed. 1954, *Totalitarianism*, Cambridge, Harvard Univ. Press.

FRIEDRICH (C.), BRZEZIŃSKI (Z.), 1956, *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*, New York, Harper.

FRIEDRICH (C.), CURTIS (M.), BARBER (B.), 1969, *Totalitarianism in Perspective: three views*, New York, Praeger.

GLUCKSMANN (A.), 1975, *La cuisinière et le mangeur d'hommes*, Paris, Le Seuil.

GLUCKSMANN (A.), 1983, „Comarade Big Brother”, *Le Magazine littéraire*, 202, décembre.

GRANSOW (V.), 1980, *Konzeptionelle Wanderungen der Kommunismus. Forschung vom Totalitarismus zur Immanenz*, Campus, Frankfurt.

GURIAN (W.), 1931, *Der Bolschewismus*, Freiburg.

GURIAN (W.), 1954, „Totalitarianism as a Political Religion”, in FRIEDRICH ed.

HALEVY (E.), 1938, *L'ère des tyrannies*, Paris, Gallimard. (Wykład z 1936).

HASSNER (P.), 1977, Soviet Foreign Policy: Ideology and Realpolitik”, *Problems of Communism*, sept.-oct.

HASSNER (P.), 1979, „Western European Perceptions of the USSR”, *Deadalus*, Winter.

HASSNER (P.), 1979-1980, „Prosaique et puissante. L'URSS vue d'Europe occidentale”, *Commentaire* 8, Hiver.

- HASSNER (P.), 1982, „American Foxes and French Hedgehogs? A French Perspective”, *Studies in Comparative Communism*, XV, 4, Winter.
- HOFFMANN (E.), LAIRD (R.), 1982, *The Politics of Economic Modernization in the Soviet Union*, Ithaca, Cornell Univ. Press.
- HOLLANDER (P.), 1967, „Observations on Bureaucracy, Totalitarianism and the Comparative Study of Communism”, *Slavic Review*, XXVI, 2, June.
- HOUGH (J.), 1969, „The Soviet System: Petrification or Pluralism?”, in BRZEZIŃSKI, *Dilemmas of Soviet Politics*; przekład polski *Aneks*, nr 5.
- HOUGH (J.), 1983, „Pluralism, Corporatism and the Soviet Union”, in SOLOMON, *Pluralism in the Soviet Union*.
- HOWE (I.), ed., 1983, *1984-Revisited: Totalitarianism in our Century*, New York, Harper.
- HUNTINGTON (S.), 1971, „The Change to Change. Modernization, Development and Politics”, *Comparative Politics*, III, 3 april.
- INKELES (A.), BAUER (R.), 1959, *The Soviet Citizen, daily life in a totalitarian society*, Cambridge, Harvard Univ. Press.
- INKELES (A.), 1968, *Social Change in Soviet Russia*, Cambridge, Harvard Univ. Press.
- L'INSTITUTION CONCENTRATIONNAIRE EN RUSSIE, 1959, (Rapport de Paul BARTON précédé par David ROUSSET, *Le sens de notre combat*), Paris, Plon.
- JANICKE (M.), 1969, *Untersuchungen zum Begriff Totalitärer Herrschaft*, Universität libre de Berlin.
- JESSE (E.), 1983, „Renaissance der Totalitarismus Konzeption? Zur Kontroverse um einen streitigen Begriff”, *Neue Politische Literatur*, 4.
- JOHNSON (C.) ed., 1970, *Change in Communist Systems*, Stanford, Stanford Univ. Press.
- KASSOF (A.), 1964, „The Administered Society”, *World Politics*, XVI, july.
- KERBLAY (B.), 1977, *La société soviétique*, Paris, Colin.
- KIRKPATRICK (J.), 1982, *Dictatorship and Double Standards*, American Enterprise Institute.
- KNIGHT (A.), 1980, „The Powers of Soviet KGB”, *Survey*, 25, 3.
- KOŁAKOWSKI (L.), 1983, „Totalitarianism and the Lie”, in HOWE, *1984-Revisited: Totalitarianism in our Century*, New York, Harper; wersja polska *Aneks* nr 36.
- LEFORT (C.), 1975, *Un homme en trop. Essai sur „L'archipel du Goulag”*, Paris, Le Seuil.
- LEFORT (C.), 1981, *L'Invention démocratique. Les limites de la domination totalitaire*, Paris, Fayard.
- LINDEN (C.), 1983, „The Soviet Union: Authoritarian or Totalitarian?”, *Addendum*, 2, USIA, september.
- LINZ (J.), 1975, „Totalitarian and Authoritarian Regimes”, in GREENSTEIN (F.), POLSBY (N.), ed., *Macro-political Theory, Handbook of Political Science*, vol. 3, Rending.
- LOWENTHAL (R.), 1960, „Totalitäre und demokratische Revolution” in SEIDEL (B.), JENKNER (S.), 1968, *Wege der Totalitarismus-Forschung*, Darmstadt.
- LOWENTHAL (R.), 1970, „Development versus Utopia in Communist Policy”.
- LOWENTHAL (R.), 1983, „Beyond Totalitarianism?”, in HOWE, ed. *1984-Revisited: Totalitarianism in our Century*, New York, Harper.

- LOWIT (T.), 1979, „Le parti polymorphe en Europe de l'Est”, *Revue française de science politique*, XXIV, 4-5, août-octobre.
- LUDZ (P.), 1961, „Offene Fragen in der Totalitarismus-Forschung”, in *Politische Vierteljahresschrift* 2, 4.
- LUDZ (P.), 1964, „Entwurf einer soziologischen Theorie totalitär verfasster Gesellschaften” in *Soziologie der DDR*, Kölner Zeitschrift für soziologie und Sozialpsychologie, 8.
- MAULNIER (T.), 1951, *La face de méduse du communisme*, Paris, Gallimard.
- MEYER (A.), 1965, *The Soviet Political System*, New York.
- MEYER (A.), 1967, „The comparative study of communist systems”, *Slavic Review*, XXVI, 1, March.
- MEYER-LARSEN (ed.), 1984, *Der Orwell-Staat 1984*, Spiegel Buch.
- MILÓSZ (Cz.), 1953, *La Pensée Captive. Essai sur les logocraties populaires*, Paris, Gallimard; *Zniewolony umysł, Paryż*, Instytut Literacki, 1953.
- MONNEROT (J.), 1949, *Sociologie du communisme*, Paris, Oallimard.
- MONNEROT (J.), 1948, „Le totalitarisme: la droite et la gauche”, *La Nef*, avril.
- MOORE (Barrington), 1966, *Social Origins of Dictatorship and Democracy*, Boston, Beacon Press.
- MOORE (Barrington), 1954, *Terror and Progress USSR: Some Sources of Change and Stability in the Soviet Dictatorship*, Cambridge, Harvard Univ. Press.
- NOLTE (E.), 1963, *Der Faschismus in seiner Epoche*, Munich, Piper.
- ODOM (W.), 1976, „A dissenting view on the group approach to Soviet Politics”, *World Politics*, July.
- ODOM (W.), 1983, „Choice and Change In Soviet Politics”, *Problems of Communism*, May-June.
- ORWELL (O.), 1968, *The collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell*, London, vol. II.
- PAPAIIOANNOU (K.), 1967, *L'idéologie froide*, Paris, Pauvert.
- PAPAIIOANNOU (K.), 1983, *De Marx et du marxisme*, Paris, Oallimard.
- POLIN (C.), 1977, *L'Esprit totalitaire*, Paris, Sirey.
- PISIER-KOUCHNER (E.), ed., 1983, *Les interprétations du stalinisme*, Paris, PUF.
- POUTHIER (J.L.), 1981, *Les catholiques sociaux et les démocrates-chrétiens français devant l'Italie fasciste (1932-1935)*. Thèse pour le doctorat du IIIe cycle, IEP Paris, ch. III.
- SCHAPIRO (L.), 1972, *Totalitarianism*, London, Pall Mall Press.
- SCHMITT (Carl), 1940, „Totaler Feind, Totaler Krieg, Totaler Staat”, (1937 in: *Positionen und Befriche in Kampf mit Weimar, Genf-Versacher, 1923-1939*, Hamburg.
- SEIDEL (B.), et JENKNER (S.), 1968 *Wege der Totalitarismus-Forschung*, Darmstadt.
- SKILLINO (G.), 1960, „Soviet and Communist politics: a comparative approach”, *Journal of Politics*, XXII, 2, May.
- SKILLING (G.), 1966, „Interest groups and Communist Politics”, *World Politics*, 18, 3.
- SKILLINO (G.), 1976, *Czechoslovakia's Interrupted Revolution*, Princeton University Press.
- SKILLING (G.), 1982, „Development or Retrogression?”, *Studies in Comparative Communism*, 1 et 2.

- SOLOMON (S. Gross), ed., 1983, *Pluralism in the Soviet Union*, Essays in the honor of H. Gordon Skilling, London, Macmillan.
- SPIRO (H.), 1968, „Totalitarianism”, *International Encyclopaedia of the Social Sciences*, vol. 16, New York, Crowell, Collier and Macmillan.
- STRASSER (J.), 1983, „1984-Decade of the Experts?”, in HOWE ed. *Studies In Comparative Communism*, 1979, XII, 1, spring. Pluralism in Communist societies: is the Emperor naked?
- Studies in Comparative Communism*, 1982, XV, 1 et 2, spring-summer. *Development*.
- TARSCHYS (D.), 1977, „The Soviet political system: Three Models”, *European Journal of Political Research*, 5.
- TAUBMAN (W.), 1974, „The Change to Change in Communist Systems: Modernization, Postmodernization and Soviet Politics” in MORTON (H.) and TOKES (R.) ed., *Soviet Politics and Society in the 1970s*, New York, Free Press.
- TUCKER (R.), 1961, „Towards a comparative politics of Movement-Regimes”, *American Political Science Review*, 55, juin.
- TUCKER (R.), 1965, „The Dictator and Totalitarianism”, *World Politics*, 17.
- TUCKER (R.), 1983, „Does Big Brother really exist?”, in HOWE ed.
- VOEGELIN (E.), 1938, *Politische Religionen*, Vienne.
- VOEGELIN (E.), 1952, *The New Science of Politics*, Chicago, Univ. of Chicago Press.
- WILES (P.), 1961, „Comment on Tucker's Movement-Regimes”, *American Political Science Review*, 55.
- ZINOVIEV (A.), 1983, *Homo Sovieticus*, Paris, Julliard; wydanie polskie *Homo Sovieticus*, Polonia Book Fund, Londyn 1984.

NAKŁADEM

ANEKSU

Jan Kott

KAMIENNY POTOK

ESEJE poświęcone są literaturze i teatrowi,
wyrażając doświadczenie artystyczne i polityczne autora.

Str. 232

Cena: £ 4,00; \$ 10,00

Barbara N. Łopieńska i Ewa Szymańska

STARE NUMERY**PO PROSTU 1953-1957**

Historia tygodnika oczyma członków zespołu redakcyjnego –
od mało znaczącego pisma studentów Politechniki Warszawskiej
do wpływowej platformy zwolenników radykalnych reform
w okresie Października i likwidacji *Po prostu* w 1957 r.

Str. 130 + zdjęcia

Cena: £3,50; \$8,00

granice liberalizmu

Pierre Manent

SYTUACJA LIBERALIZMU *

Znaczenie odnowy liberalnej, bez względu na jej zasięg i trwa-
nie, wykracza poza inspirowane przez nią działania polityczne i
ekonomiczne. Liberalizm dostarcza kategorii, w jakich Europej-
czycy i Amerykanie formułują dziś problemy swego życia społe-
cznego. Jest to, przynajmniej w Europie kontynentalnej, zupełnie
nowa sytuacja. Przez dwieście lat istnienie polityczne i ideologicz-
ne liberalizmu na kontynencie było wciąż niepewne. Liberalizm
tkwił w kleszczach z jednej strony *Ancien Régime'u*, o sukcesję po
którym się ubiegał, a z drugiej radykalizmu rewolucyjnego czy
socjalistycznego, rywalizującego z nim o ów spadek.

Dzisiaj, we wszystkich krajach Europy zachodniej, siły odwo-
lujące się do przedliberalnej prawomocności ograniczone są do
grupek bez społecznego znaczenia. Natomiast rozmaite partie
socjalistyczne, często o wielkiej sile wyborczej, utrzymują, że dą-
żą jedynie do lepszego, czyli bardziej „ludzkiego” zarządzania
naszymi społeczeństwami, aniżeli czynią to liberalowie. Symbo-
lem tej nowej sytuacji jest z pewnością Hiszpania, gdzie partia
socjalistyczna uczy instytucji liberalnych i praw rynku światowe-
go naród europejski, najdotkliwiej rozdarty przez konflikt mię-
dzy *Ancien Régimem* a rewolucją.

* Jest to skrócony nieco wstęp do antologii *Les libéraux*, Hachette, Paris 1986.

Wielką nieostrożnością byłoby oczywiście zarówno rzutowanie w przyszłość obecnych tendencji, nawet jeśli wydają się one bardzo silne, jak i lekceważenie sił im przeciwnych. Pomijając partie komunistyczne, ogólnie biorąc bardzo osłabione, lecz we Włoszech i, odmiennie, w Grecji zachowujące znaczne pozycje, widoczne jest, że niektóre odłamy angielskiej partii pracy czy niemieckiej partii socjaldemokratycznej zajmują postawy i głoszą doktryny bardzo wrogie porządkowi liberalnemu. Dotyczy to zresztą znacznie bardziej sfery polityki zagranicznej niż organizacji wewnętrznej. Przy tych zastrzeżeniach niewątpliwie jest, że w chwili bieżącej zgoda na zasady liberalne jest bardziej zdecydowana i powszechna niż kiedykolwiek.

Liberalizm swą odzyskaną energię przeznaczają na krytykę państwa opiekuńczego, czy też wszechkierującego, nie tyle zresztą ze względu na wyniki, co z powodów finansowych, a zwłaszcza społecznych kosztów jego funkcjonowania. Niepodważalne dobrodziejstwa, jakie państwo to niesie, przede wszystkim znaczny wzrost poczucia bezpieczeństwa, osiągnięte zostały za cenę nieustannego osłabiania odpowiedzialności indywidualnej. Administracja państwowa decyduje o przeznaczeniu coraz większej części dochodów realnych, czy odtąd raczej potencjalnych, każdego obywatela. Dobra wytwarzane przez społeczeństwo w coraz większym stopniu dzielone są przez państwo i przestają stanowić wynagrodzenie za inicjatywę i roztropność. Słabnie coraz bardziej więź łącząca aktywność indywidualną z jej rezultatem. Człowiek występujący w roli pracownika, przedsiębiorcy i obywatela coraz bardziej ustępuje miejsca człowiekowi administrowanemu.

Warto zwrócić uwagę, że chociaż krytyka ta rozpowszechniła się i zaostriżyła w ostatnim okresie, to jej motywy i argumenty liczą sobie ponad sto lat. Od czasu Restauracji, wspomnijmy Royer-Collarda, a jeszcze bardziej za monarchii lipcowej, wystarczy wymienić Tocqueville'a – a więc w epokach, gdy państwo opiekuńcze było nieobecne – podkreślano degradację człowieka „administrowanego”. Tradycja ta nigdy nie uległa zerwaniu, pomimo momentów zaniku, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej. Kierowany dziś często pod adresem neoliberalizmu zarzut „ideologicznego usztywnienia” doktryny, która u wielkich pre-

kursorów była „mniej dogmatyczna”, nie jest, pod tym przynajmniej względem, uzasadniony. Surowa krytyka zarządzania życiem społecznym przez państwo oznacza ponowne pojawienie się tematu nierozzerwalnie związanego z liberalizmem. Nowością jest jedynie fakt, że krytyka ta zdobyła dziś pewną popularność.

Właśnie jednak w owej ciągłości, czy stałej obecności krytyki liberalnej objawia się prawdziwy problem: czy zasady liberalne, mimo że kwestionowane i hamowane, nie stanowiły zasadniczego punktu orientacyjnego dla naszych społeczeństw? Jak zatem wyjaśnić, iż umocnieniu się i rozszerzeniu tych zasad, wbrew wszystkim przestrogom znakomitych autorów, towarzyszył rozwój wszechobecnego państwa? Jest w tym coś więcej niż przypadkowa zbieżność; to z pewnością zasadniczy fakt historyczny, który liberalowie winni poważnie rozpatrzyć, jeśli pragną zrozumieć sami siebie oraz społeczeństwo, w jakim działają.

Źródła: krytyka Ancien Régime'u

Wielokrotnie posłużyłem się wyrażeniem „krytyka liberalna”. Istotnie, liberalizm wkroczył w świat jako krytyka, krytyka pewnego sposobu organizacji władz politycznych i religijnych, krytyka *Ancien Régime'u*. Organizacja, jaką w ten sposób retrospektywnie określamy, niełatwo daje się zdefiniować; jest ona silnie zróżnicowana. Należy tu wyróżnić zwłaszcza dwa sprzeczne, a zarazem wzajemnie uzależnione czynniki: królewski absolutyzm i na wespół polityczną władzę wyłącznego lub dominującego Kościoła. Są one sprzeczne, bowiem jednym z impulsów rozwoju absolutyzmu była potrzeba zażegnania konfliktów religijnych, a zatem konieczność „suwerennego” wzniesienia się władcy ponad te konflikty; innymi słowy potrzeba zapanowania systemu politycznego nad religią. Jednakże absolutyzm nie wypełnił tego powołania, wpisanego w jego genetyczne dziedzictwo. Zatrzymał się w pół drogi, poprzestając na poparci panującego Kościoła i w zamian wymagając tego samego. Bez względu na udział władcy w określaniu uprawnionej postawy religijnej – był on znaczący w Anglii za Henryka VIII, a zwłaszcza za Elżbiety, natomiast żaden we Francji – wymyka mu się jej istota, a więc i wewnętrzna dynamika. Zamiast zneutralizować religię, kompro-

mituje ją i sam jest przez nią kompromitowany. W końcu władza narzuca swym poddanym poglądy, które nie są właściwie jej własnymi, a panujący Kościół narzuca posłuch swoim wiernym za pomocą władzy nie będącej w ścisłym tego słowa znaczeniu jego własną. Im bardziej motyw posłuszeństwa staje się niepewny i traci swą spójność, tym bardziej system nabiera cech przymusowych. Coraz pilniejszy staje się zatem wymóg przywrócenia bądź wreszcie wytworzenia prawomocnego posłuszeństwa. W celu stworzenia go od nowa trzeba całkowicie rozdzielić władzę i poglądy. Takie było pierwotne powołanie liberalizmu, które wpłynęło na jego historyczny kształt. Liberalizm zaatakował *Ancien Régime* w dwojaki sposób. Z jednej strony starał się wykazać, że poglądy religijne członków społeczeństwa – one przede wszystkim były ważne – nie obchodzą władzy politycznej, bowiem działania ludzi na tym świecie są niezależne od ich poglądów na tamten świat. Można wierzyć lub nie wierzyć w Rzeczywistą Obecność, w zbawienie przez wiarę, a nawet w samo istnienie Boga, i być zarazem dobrym obywatelem. Należy zatem tolerować wszystkie poglądy tak długo, dopóki członkowie społeczeństwa nie zaczną czerpać z nich uzasadnień dla gwałcenia praw swych współobywateli.

Z drugiej strony, liberalizm na nowo interpretuje sens politycznego bytu ludzi. Ujęcie tradycyjne ściśle wiązało ustrój polityczny z wyższymi celami ludzkiego istnienia: prawo organizmu politycznego było wyrazem bądź odstępstwem od owego podstawowego Prawa, którego przestrzeganie definiuje ludzkość, mamy tu powiązane za sobą „prawo ludzkie” i „prawo Boże”. Liberalizm odrzuca owo uwznioślenie prawa i świadomie obniża jego rangę. Właśnie dlatego, że wśród ludzi brak jest zgodności co do treści wyższego prawa i że zarazem muszą oni żyć wspólnie, czyli według reguł, punktu oparcia dla nich należy szukać nie w niebie, lecz na ziemi. Wcześniejsza od wszelkiego prawa, od wszelkiego poglądu na siebie samego i na Jedyne, jest chęć przetrwania słabego i będącego w potrzebie zwierzęcia. Ta naturalna potrzeba stanowi jego *prawo naturalne*: któż ośmieliłby się powiedzieć, że nie ma on prawa do tego, czego bezwzględnie potrzebuje? Na tym niskim, lecz pewnym fundamencie zwierzęcej potrzeby liberalizm wzniesie swe przemysłne budowle, na

fundamencie prawa naturalnego jednostki zbuduje swą interpretację prawa politycznego.

Naturalne prawo jednostki do życia ma trzy nierozłączne, a zarazem odrębne aspekty: prawo do *bezpieczeństwa*, czyli do nienaruszalności ciała, prawo do *własności*, czyli do środków pozwalających żyć, prawo do *wolności*, czyli do swobodnego określenia środków zaspokajania swoich potrzeb, a każdy jest tu dla siebie najlepszym sędzią. Racją bytu instytucji politycznej jest zagwarantowanie tych trzech praw, które bez niej byłyby zawsze zagrożone. Jest ona wytworem, narzędziem niezbędnym, ale jej prawomocność zależy od spełniania tych zadań. Spełnia je zaś wtedy, gdy prawa, które ogłasza i które regulują wzajemne stosunki obywateli, wyrażają dążenie właścicieli do przetrwania. Każdy najlepiej wie, co jest dlań dobre i dlatego prawa wyrażają wiernie to dążenie tylko wówczas, gdy każdy sam lub przez swych przedstawicieli godzi się być im posłuszny. Ze względu na niepodobieństwo jednomyślności i na nierealność głosowania całego narodu w wielkich państwach nowoczesnych, słusznymi są w praktyce te prawa, które zostały przegłosowane przez większość przedstawicieli narodu.

Zarys tego długiego i złożonego rozwoju, mimo swej schematyczności, wystarcza dla scharakteryzowania liberalnej formuły politycznej. Skoro społeczeństwo definiuje się przez agregację praw jednostek, praw, które przynależą jednakowo każdemu człowiekowi jako takiemu, niezależnie od jego poglądów, to poglądy te nie mają lub nie powinny mieć żadnej władzy: są wolne. Instytucja polityczna, której racja bytu polega na gwarantowaniu owych praw, jest neutralna wobec poglądów.

Prawomocna władza nie ma opinii, jest „neutralna i agnostyczna”. Opinie bez władzy, władza bez opinii: związek, jaki istniał w *Ancien Régime* między władzą a przekonaniami, zostaje całkowicie zerwany.

Ta nowa możliwość polityczna pojawiła się w ostatniej, ściśle „absolutystycznej” fazie *Ancien Régime*'u. Krytyka absolutyzmu opierała się na rozwoju społecznym i politycznym otaczanym przezeń opieką, a nawet chronionym.

Odczucie rosnącej niezależności od władzy absolutnej własności i poglądów podsunęło pierwszym „liberałom” ideę *spole-*

czeństwa w swej istocie odrębnego od władzy czy państwa. Tradycyjny porządek europejski, „feudalizm”, wspierał się, jak wiadomo, na długim łańcuchu zależności. W miarę wzrostu władzy księcia słabną siły wewnętrzne: nakazy dotyczące każdego płyną z coraz wyższych i bardziej odległych szczebli, stają się coraz bardziej „ogólne”. Każda jednostka jest w coraz mniejszym stopniu kierowana bezpośrednio. Sama może i powinna znajdować wokół siebie motywy własnego działania. Nasuwają się dwie zasady: własne „interesy” i własne „poglądy”. Poprzez nie wchodzi ona w relacje z interesami i poglądami innych członków społeczeństwa. Nawiązują się i rozszerzają stosunki handlowe w znacznym stopniu niezależne od władcy. Pojęcie *commerce* – „handel” miało w XVIII wieku szersze znaczenie niż obecnie. Słowo to obejmowało nasz dzisiejszy handel, a ponadto znaczną część tego, co dziś nazywamy „cywilizacją” lub „kulturą”, krótko mówiąc wszystkie czynniki nadające trwałość więzi społecznej niezależnie od kierowania. Społeczeństwo nie tylko czuje się niezależne od władcy, nie tylko doświadcza swej samodzielności, lecz zmierza do narzucenia mu swego prawa.

Społeczeństwu wydaje się, że władza „absolutna” zajmuje się nim tylko po to, by je krzywdzić i czuje się od niej silniejsza. Wymyśla więc nowy typ władzy, ograniczającej się jedynie do zadań, których spełnienie społeczeństwo uznaje za niemożliwe we własnym zakresie, a mianowicie do bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego. I tylko dla pewności, że władza nie wykroczy poza wyznaczone jej zadanie, społeczeństwo pragnie, aby miała ona charakter *przedstawicielski*. Społeczeństwo, podobnie jak jednostka, nie mogłoby chcieć własnej krzywdy, a zatem władza, która je „reprezentuje” nie będzie mogła go uciskać. Oto pierwotna liberalna idea politycznej reprezentacji.

Społeczeństwo odczuwa więc, że może istnieć nie będąc kierowane oraz że jego nowa wolność wcale nie jest synonimem zamętu. Każdy znajduje w niej motywy i informacje, które pozwalają mu działać w sposób niezależny, zgodnie ze swym „interesem”, żyjąc zarazem w harmonii ze współobywatelami, również zabiegającymi o własne dobro. Społeczeństwo nie potrzebuje prawa władcy, bowiem samo w sobie posiada swe prawo

lub prawa. Prawa te nie są nakazami wydawanymi przez jednych ludzi innym, lecz nienaruszalnymi zasadami funkcjonowania, porównywalnymi w pewnym sensie z „prawami natury”: są to „prawa rynku”. „Rząd przedstawicielski”, mający gwarantować nienaruszalność autonomii społeczeństwa przez państwo i nie dopuścić do narzucenia poglądu na „prawdziwą religię”, czy na „dobre społeczeństwo”, oraz społeczeństwo, którym rządzi „niewidzialna ręka” rynku: oto klasyczny liberalizm.

Autonomia społeczna a walka klas

Wraz ze zniesieniem absolutyzmu, uwolnieniem działań ludzkich od nakazów, niektóre grupy społeczeństwa zmierzać będą do przywłaszczenia sobie idei autonomii, jakiej domagali się liberalowie w imieniu całego społeczeństwa. Są to zwłaszcza te grupy, które rozwinęły się wraz z nową formułą polityczną. Jeśli życie społeczne polega na swobodnym działaniu zbiorowym, nie podlegającym żadnej regule zewnętrznej, to czyż nie jest rzeczą nieuchronną, iż „prawa rynku” wydawać się będą nową formą „despotyzmu” w oczach tych, co mają powody, by uważać się za ich ofiary? Grupa społeczna, która jest wytworem nowego społeczeństwa, autonomii społecznej, i dla której ta nowa wolność jest nieznanym dotąd niewolnictwem, a mianowicie proletariatem, uważać się będzie za nosiciela i wcielenie jeszcze radykalniejszej autonomii, mającej znieść uciskające ją prawa rynku i państwo przedstawicielskie: państwo to jawi się jako strażnik tychże praw i samo za takiego się uważa. Walka klas w postaci, jaką przybiera w XIX wieku, a której najgłębsze sformułowanie dał Marks, nie jest przede wszystkim walką o interesy ekonomiczne czy o władzę społeczną; jest to walka o zawładnięcie autonomią społeczną zrodzoną przez nową formułą polityczną. U początków socjalizm nie jest przychylny państwu, lecz wrogi i to bardziej niż klasyczny liberalizm. Co najwyżej pragnie się państwem posłużyć jako prowizorycznym instrumentem w celu zniszczenia jego samego jako trwałego narzędzia w rękach „burżujów” i „kapitalistów”.

Liberalowie nie mogą uchylić się od przyznania, że istnieje coś takiego jak klasa robotnicza, jak ludzie pracy. Jest to bo-

wiem część *ich* społeczeństwa obywatelskiego. Nie mogą się jednak zgodzić, aby klasa robotnicza jako taka miała potencjalnie stanowić nowe, niezależne lub samowystarczalne społeczeństwo obywatelskie. Jak uznać istnienie klasy robotniczej, nie przyjmując socjalistycznego punktu widzenia? Przyznając, że będąc częścią społeczeństwa obywatelskiego, „ludzie pracy” mają prawo do reprezentacji w instytucjach społecznych a nawet politycznych, prawo do uwzględnienia ich specyficznych interesów przez państwo przedstawicielskie, liberalizm poważnie narusza swoje własne credo. Normalnie bowiem struktura i harmonia interesów powinna wytwarzać się spontanicznie na rynku pracy. Godząc się na reprezentację interesów w płaszczyźnie politycznej, liberalne społeczeństwa europejskie, począwszy od drugiej połowy XIX wieku, przyznały, że rynek sam w sobie nie wystarcza. Lecz zarazem to poważne ustępstwo liberałów stanowiło porażkę socjalistów. Dzięki politycznej reprezentacji swych interesów klasa robotnicza włącza się w istniejące społeczeństwo obywatelskie, „burżuazyjne”, z którym zamierzała zerwać.

Udział w przedstawicielskiej procedurze politycznej pozwala jej zaakceptować swą rzeczywistą sytuację. Uczestnicząc chcąc nie chcąc w grze politycznej przedstawicielskiego państwa, klasa robotnicza uczyniła pustą formułą swe roszczenie do bycia zaczątkiem bądź awangardą nowej autonomii społecznej. Dlatego to zresztą socjaliści tak długo odrzucali perspektywę udziału w „burżuazyjnej grze politycznej”. A jednak, jeśli zowali do niej wciągnięci, to właśnie w następstwie logiki swych przekonań: będąc potencjalnie nową „całością” klasa robotnicza powinna przybrać odrębny wyraz, uzyskać własną świadomość, Otóż to właśnie w porządku politycznym rzeczywistość społeczna nabiera najpełniejszej świadomości siebie samej.

W każdym razie taka była logika „socjaldemokratyczna”, która dogłębnie zmodyfikowała funkcjonowanie, a być może i sens ustroju liberalnego. Logika ta funkcjonowała znacznie wcześniej niż partie socjaldemokratyczne doszły do władzy. Była już obecna w przedsięwzięciach społecznych podjętych przez rządy liberalne bądź konserwatywne w celu osłabienia efektów działań partii socjalistycznych. Klasycznym przykładem są zaczątki państwa opiekuńczego zbudowanego przez Bismarcka.

Liberalowie i socjaliści

Wypada zastanowić się przez chwilę nad liberalno-socjalistycznym sporem. Co zarzucają socjaliści liberalom? To mianowicie, że realizują przeciwieństwo wolności, jaką obiecują, wydając ludzi „ślepych siłom” rynku. Tej „alienacji” przeciwstawiają socjaliści zapanowanie człowieka „społecznego” nad swymi warunkami bytowania, bądź to przez „samorząd zrzeszonych producentów”, bądź przez „racjonalne planowanie” państwowe, bądź też, częściej, przez połączenie obydwu. W praktyce odwołują się przede wszystkim do państwa, lecz zawsze z myślą, iż chodzi tu o „fazę przejściową”, która przygotowuje jego mniej lub bardziej całkowite „obumarcie”.

Co zarzucają liberalowie socjalistom? Z jednej strony, że nie doceniają znaczenia rynku: jest on jedynym sposobem zastąpienia systemu opartego na nakazach systemem spontanicznej współpracy między ludźmi. A zatem, z drugiej strony, że zmierzają do przywrócenia przedliberalnego systemu kierowania. I dodają, że ów „powrót do *Ancien Régime'u*” prowadzi do despotyzmu nieporównanie sroższego niż dawny, bowiem odtąd istnieć będzie jedno tylko źródło nakazów skupione w rękach kilku osób na szczycie państwa. Osoby te nie muszą już liczyć się z „autorytetami społecznymi”, z którymi liczył się absolutyzm, a ich nakazy dotyczyć będą bezpośrednio gospodarki, czyli podstawowego źródła wszelkiej społecznej spontaniczności: indywidualnych reakcji na impulsy instynktu samozachowawczego.

Co odpowiadają jedni na zarzuty drugich? Liberalowie odpowiadają, że nie wierzą ślepo rynkowi. Wierzą natomiast w jednostkę kierującą się własnym *interesem*. Rynek to tylko zbiór tych jednostek, a jego „surowość” jest korzystna, bowiem uniemożliwia komukolwiek dłuższe oszukiwanie innych co do ich interesu, bądź samooszukiwanie się co do własnej korzyści. Natomiast nie mają żadnego zaufania do człowieka, który kieruje, ponieważ ma on swoje *namiętności* i *opinie*. I każdy człowiek, który kieruje, zależnie od rozmiarów swej władzy, nawet zwykła urzędniczka w okienku, jest kapryśnym despotą posiadającym własne zdanie.

Odpowiedź socjalistów odwraca obraz. Człowiek kierujący się własnym interesem odłącza się od innych, stara się ich „eksploa-

tować", to on jest ciemnięzycielem, choćby był zwykłym sklepikarzem. Natomiast człowiek, który kieruje, będąc oderwany od wszelkiego „społecznego usadowienia”, od wszelkiej sytuacji „prywatnej” – nie ma spojrzenia zakłóconego przez swój osobisty interes. Ze względu na swą pozycję jest przenikliwy i szlachetny. Jego „plan” nie ma nic wspólnego z arbitralnym nakazem, lecz cechuje go spontaniczna racjonalność.

Aż się prosi, by rzec: „wart pac pałaca” lub „prawda jest podzielona” i wypaczona przez przejawskrawienie obu stron. W rzeczywistości ich argumenty nie sytuują się na tej samej płaszczyźnie.

Liberalowie opierają swą konstrukcję na dość abstrakcyjnej zasadzie i żywią złudzenia co do przenikliwości człowieka, który „zabiega o swoje dobro”, lecz zarazem wskazują na uniwersalny i potężny motyw ludzkiego działania. Socjaliści za to nigdy nie wyjaśniają motywu ludzkiego zachowania w społeczeństwie socjalistycznym. Wiemy tylko, że nie będzie nim interes. Mówi się zazwyczaj, że wyobrażają sobie to społeczeństwo w sposób „utopijny” twierdząc, że ludzie będą się w nim spontanicznie kierować czystym umiłowaniem sprawiedliwości. Twierdzenie to nie prowadzi nas daleko, bowiem przyjmując nawet, że w społeczeństwie socjalistycznym rozdział dóbr będzie się dokonywał według zasady sprawiedliwości (jakakolwiek by ona nie była), nadal nic nie wiemy o zasadzie, która stanowiłaby motyw produkcji. W rzeczywistości bowiem socjaliści w ogóle nie kłopotczą się o życie wewnętrzne społeczeństwa socjalistycznego. Traktują oni gospodarkę, system produkcji i spożycie jako coś zarazem danego i plastycznego, co wystarczy poddać pewnym „modyfikacjom strategicznym”, aby uwolnić od „zablokowań” i „niesprawiedliwości” płynących z systemu liberalnego. Przyjmują oni z kolei na ślepo nowoczesny system ekonomiczny z jego dynamizmem i produktywnością, lecz nie jako instytucjonalną strukturę określonego typu ludzkiego działania, nie jako system wewnątrz którego się *działa*, lecz jako system na który się *oddziaływuje*. W istocie, przyjmują rzeczywistość liberalizmu, a następnie ją korygują i otaczają socjalistyczną interwencją. Gdy liberalowie twierdzą, że natura jest liberalna, socjaliści utrzymują, iż łaska jest socjalistyczna: odnawia ona i udoskonala naturę nie

niszcząc jej. W gospodarce jednak nie ma cudów i po ogłoszeniu „nowej logiki” gospodarczej * kończy się na zabieganiu o aprobatę *Wall Street Journal*.

Salto mortale socjalizmu

Socjaliści mają wymówkę. W końcu idą tylko o krok dalej w tym, co nazwałem „abstrakcją” liberalną. Kluczowe słowo liberalizmu, interes, oznacza oczywiście potężny motyw ludzkiego działania. W jaki jednak sposób zapewnia on związek między celami jednostki a funkcjonowaniem zbiorowości?

Dla jednego użyteczne jest to, co jest użyteczne dla drugiego. Nie będzie dla mnie korzystna sprzedaż, jeśli dla kogoś innego nie będzie nim kupno: oto założenie rynku, tak „oczywiste”, że bliskie tautologii. Interes jako motyw *indywidualnego* działania nie daje się odróżnić od stosunku *społecznego*, w którym ujawnia swoją skuteczność. Pod tym względem różni się on od opinii i od namiętności. Weźmy pod uwagę opinie. Jeśli staram się nawrócić Filipa lub Marcela, ponieważ sądzę, że chodzi tu o ich wieczne zbawienie, moim działaniem kierują zasady uniwersalne, prawdziwe bądź fałszywe, których wartość dla mnie jest niezależna od rezultatu tego działania. Rozważmy problem namiętności. Gdy podczas bezsennej nocy daję się ovladnąć pragnieniu, by odrzucono Franciszka lub Régisa dlatego, że ich nie „znoszę”, moja nienawiść czy pogarda pozostają te same bez względu na to, czy zostaną spełnione. Jeśli natomiast wyprzedaję libertyńskie książki z mojej biblioteki, operacja ta będzie dla mnie użyteczna tylko wówczas, gdy spotka się z popytem. Można powiedzieć, że mój motyw lub motyw pozostają nietknięte – potrzebuję pieniędzy, a poza tym nie akceptuję dziś tego rodzaju literatury – nawet jeśli nie znajdę klienta. Mój interes jednak jest różny od moich motywów; zléwa się on z ceną, jaką klient, jeśli istnieje, zechce mi zapłacić. Interes lub użyteczność, które regulują rynek, nie są zatem ani opinią, ani namiętnością, ani potrzebą, nawet jeśli mają w nich swą pierwszą przyczynę.

* Aluzja do hasła socjalistów francuskich przed wyborami 1981 roku i w pewien czas po nich. (przyp. red.).

Stanowią one ten aspekt intencji indywidualnej, który jest określony przez innych w ramach nieuniknionego i nie dającego się przewidzieć stosunku społecznego. Z chwilą, gdy zgodnie z hipotezą liberalną przyjmuje się, że uzyskiwana korzyść określa stosunek między ludźmi, wydaje się, że działanie indywidualne pozbawione zostaje zasady „naturalnej” bądź „obiektywnej”. Albowiem zysk każdego jest każdorazowo równy „użyteczności” dla społeczeństwa, ponieważ to społeczeństwo, po dobiegu targu, zdaje się decydować o tym, jaki był interes jednostki. On to, podobnie jak rynek, wydaje się być zasadą motoryczną procesu, w którym motywy „naturalne” – opinie, namiętności, potrzeby – jako takie nigdy w sposób widoczny i konkretny nie określają zachowania jednostki. System liberalny ukazuje społeczeństwo, które w swym funkcjonowaniu skłonne jest obywać się bez motywów „naturalnych”. Korzyść indywidualna, która w oczach liberała stanowi sprężynę mechanizmu społecznego, socjaliście wydaje się przeszkodą dla jego harmonijnego funkcjonowania. Liberalny wizerunek *homo oeconomicus* tak silnie akcentuje przymiotnik kosztem rzeczownika, iż socjalista czuje się uprawniony uczynić krok dalej i rzeczownik całkowicie oddać. Gospodarka, produkcja, „praca” sama dla siebie jest swym własnym motorem, przyczyną bez motywu ludzkiego, przyczyną bez przyczyny, własną przyczyną. I gdy tylko przeszkoda w postaci interesu indywidualnego, czyli rynek, zostanie zniesiona, nastąpi „gwałtowny rozwój sił wytwórczych”. Lecz ten krok dalej jest skokiem śmiertelnym. Interes nieuchronnie wiąże się z opiniami, namiętnościami i potrzebami. Znieść go, to odebrać nowoczesnemu życiu społecznemu jego więź i zasadę.

„Socjalistyczne zarządzanie” gospodarką oscyluje między dwoma celami: „korygowaniem” „nadużyć”, „dysproporcji”, czy „maltuzjanizmu” rynku a „zniesieniem” go, proponując w zamian „inną logikę”. Pierwsze podejście jest „umiarkowane”, drugie „radikalne” lub „rewolucyjne”, lecz jedno i drugie ujawnia ściśle uzależnienie socjalizmu od społeczeństwa liberalnego. Nie dysponuje on żadną pozytywną zasadą pozwalającą korygować bądź planować gospodarkę, żadną pozytywną zasadą „ukierunkowującą produkcję”, poza mglistym odwołaniem się do „potrzeb ludności”. Znosząc rynek, socjalizm likwiduje przestrzeń,

w której potrzeby te się ujawniają. Stratę tę nadrabia, przyrzekając bardziej sprawiedliwy podział dóbr wytworzonych na rynku. Obietnica ta brzmi dobrze, lecz przypieczętowanie uzależnienie socjalizmu. W rezultacie w krajach tak zwanego realnego socjalizmu produkuje się źle, naśladowując „firmy kapitalistyczne”, od których oczekuje się zresztą środków finansowych i technicznych dla kopiowania tego, co kapitalizm skutecznie wytwarzał przed piętnastu laty. Oczywiście, dystrybucja jest również nielepsza.

Widać więc, że bez względu na udział walki między liberalizmem a socjalizmem – lub, innymi słowy, walki klas – w naszym rozwoju politycznym i społecznym, walka ta jest nierówna; i to nie z powodu nieuchronnego zwycięstwa liberalizmu, lecz dlatego, że to on właśnie określa aktywne zasady naszego rozwoju. Socjalizm skazany jest jedynie na *reagowanie* na ów rozwój. Zresztą nawet i ta „reakcja” nie jest nieunikniona. W końcu Stany Zjednoczone zaznały rozwoju społecznego i politycznego dość zbliżonego do naszego – nie rodząc nigdy ani socjalizmu, ani socjaldemokracji godnych uwagi. Walka między liberalizmem a socjalizmem jako siłami ideologicznymi, politycznymi i społecznymi, jest tylko „europejskim” czy też „klasycznym” wyrazem procesu wywołanego pierwotnie przez liberalną formułę polityczną. Do niej zatem musimy się cofnąć.

Jednostka między państwem a rynkiem

Powiedzieliśmy, że przełomowym zadaniem liberalizmu było oddzielenie władzy od opinii, wypracowanie idei władzy ściśle „neutralnej”, która mogłaby odpowiednio reprezentować społeczeństwo, czyli respektować i chronić jego autonomię. Oióż z chwilą, gdy władza przestaje być odpowiedzialna za długofalowe utrzymanie tradycji lub religii narodu, a tym bardziej za rozszerzenie przestrzeni ich panowania, staje się w wielkim zakresie nieokreślona. Swą zasadę czerpie już nie z samej siebie, lecz ze społeczeństwa, które reprezentuje, bądź którego jest „narzędziem”.

Dawne poglądy, którymi władza, niekiedy wbrew swej woli, była związana i które, jak sądziła, była zobowiązana autorytar-

nie narzucać narodowi, wyznaczały obszar jej działania i zarazem regulowały funkcjonowanie społeczeństwa. Sama niezależność władzy od społeczeństwa powodowała, że uważała ona społeczeństwo za coś odmiennego, a zatem, w zmiennym stopniu, od niej niezależnego. Przynajmniej tak długo, dopóki społeczeństwo było jej wystarczająco posłuszne. Absolutyzm był często łagodną nonszalancją temperowaną ciężką ręką. Z chwilą, gdy władza czerpie motywy swego działania już nie z samej siebie, lecz ze społeczeństwa, ma ona *implicite* tyle sposobności i powodów do działania, ile „problemów” podsuwa jej społeczeństwo. Powstaje możliwość, że w ostateczności społeczeństwo będzie podsuwało władzy wszystkie swe problemy, bowiem pragnie, aby je „reprezentowała”.

W swej fazie absolutystycznej *Ancien Régime* nie uznawał oczywiście zasady autonomii społecznej: wszystko odbywało się „w imieniu króla”. W rzeczywistości, po zapewnieniu w sposób autorytarny jedności wiary i opanowaniu anarchii społecznej stosując „monopol usankcjonowanej przemocy”, władza monarchiczna godziła się, by nie posuwać się dalej. Schlebiała swej „drogiej szlachcie”, zadowalała Kościół, liczyła się ze „stanami”, z których składał się organizm polityczny. Długofalowa tendencja jej działania wskazywała na potrzebę radykalnego przeobrażenia życia społecznego – zrównania wszystkich członków społeczeństwa pod prawem władcy – lecz sama władza potrzeby tej nie deklarowała, a zatem nigdy nie spełniała. Jej pierwszym bowiem celem nie było społeczeństwo, lecz ona sama jako podpora prawdziwej religii i nosiciel chwały dynastycznej i francuskiej. Zarazem, jak wskazywałem wyżej, posunęła się ona już zbyt daleko: pozostawiając „stanom” społecznym ich wpływy, odebrała im możliwość kierowania i jego prawomocność. Poddani, coraz bardziej odtąd równi, motywów swego działania nie znajdują już wcale lub w coraz mniejszym stopniu w „stanie”; w konkretnym miejscu, gdzie byli podporządkowani nakazom osobistym, lecz w *sytuacji ogólnej*, zarządzanej przez władcę za pomocą *ogólnych reguł*. Są coraz bardziej zdani na siebie samych. Stali się lub są w trakcie stawania się jednostkami.

Jednakże tej wytworzonej przez absolutyzm autonomii przeczy wprost zasada jego prawomocności: władca jest obrazem

Boga na ziemi. Nowa jednostka poczuje się pewna swej nowej wolności tylko wtedy, gdy sprawę swej autonomii uczyni efektem tej wolności. Władza centralna, zamiast być obrazem Boga, powinna stać się przedstawicielem człowieka jako jednostki. Władca absolutny nie pozwalał, by jeden członek społeczeństwa obywatelskiego był rządzony przez innego, bowiem prawo to zastrzegł dla siebie. System przedstawicielski czy liberalny nie pozwolił władzy centralnej rządzić jednostką bez jej zgody. Dzieńdzicy on po absolutyzmie centralne miejsce władzy, w zasadzie równo oddalone od każdego poddanego, który odtąd staje się obywatelem. Tyle tylko, że miejsce to jest obecnie puste, bądź też raczej każdy potencjalnie je zajmuje.

Mieszkaniec ustroju liberalnego wymyka się kierowaniu osobistemu, czyli uzyskuje respektowanie *równości naturalnej* wszystkich ludzi w organizmie politycznym, i to na dwa sposoby: członek społeczeństwa obywatelskiego, jak rynek czy „handel”, pracownik bądź przedsiębiorca, czerpie swe motywy z sytuacji ogólnej, którą swobodnie ocenia. Obywatel-wyborca, potencjalnie zajmujący centralne miejsce władzy, zakazuje wszelkiej jednostce bądź grupie gwałcenie, przez nakazy osobiste i „monopole”, równości, będącej fundamentem owej ogólnej sytuacji. Państwo przedstawicielskie i rynek wzajemnie do siebie przynależą i uzupełniają się. Jednostka uzyskuje wolność, wyzwala się od władzy osobistej jedynie dzieląc swą wiarę między dwie bezosobowe instancje. W obydwu rolach nie słucha niczyich nakazów: wskazania rynku nie są zamierzone przez nikogo, lecz stanowią rezultat działań każdego i wszystkich; prawa państwowe są prawami ogólnymi nie mającymi względu na osoby, a zresztą, dzięki systemowi przedstawicielskiemu, każdy i wszyscy są ich autorami. Poprzez państwo jednostka nie pozwala innym, by nią rządzili i ograniczali jej wolność. Na rynku natomiast znajduje motywy swego działania, wybiera to, co uczyni.

Istnieje tu jednak poważna trudność. W rzeczywistości bowiem społeczeństwo obywatelskie pozostaje naszpikowane nakazami osobistymi, nawet jeśli nie mają już statusu i prawomocności, jaką posiadały za *Ancien Régime'u*. Są one trojakiego rodzaju: te, które utrzymują drobne społeczności niepolityczne, przede wszystkim rodziny; nakazy opinii, formułowane zwłaszcza

cza przez Kościoły; wreszcie nakazy związane z zarządzaniem gospodarką i, bardziej ogólnie, z „zawodem”. W dwóch pierwszych przypadkach logika rynku i państwa przedstawicielskiego działają w tym samym kierunku.

Weźmy rodzinę. Nowa zasada prawomocności wymaga rozerwania tej małej zhierarchizowanej społeczności, aby stała się ona związkiem bądź współtistnieniem ściśle równych jednostek, a więc i współdecydentów (jedyne ograniczenie płynie z potrzeby ustalenia wieku wyborczej dojrzałości). Logika i atrakcyjność rynku zachęcają każdego, a zatem i kobiety, do działania w charakterze niezależnych jednostek i do korzystania ze „sposobności”, wynikających z ogólnej sytuacji. Dzieci i młodzież, które jeszcze nie mogą być wytwórcami, są konsumentami. Również i dla nich przeznaczony jest odpowiedni wycinek rynku.

Weźmy z kolei Kościół. W swej neutralności państwo winno działać na rzecz całkowitej „dezinstytucjonalizacji” Kościoła, przekształcenia go w stowarzyszenie ściśle prywatne, maksymalnego ograniczenia jego środków oddziaływania, jeśli tylko upodobią się do sposobów rządzenia. Jednym słowem, winno laicyzować społeczeństwo. W tym samym kierunku zmierza logika rynku. Nie dlatego, że Kościół, na podobieństwo rodziny, mógłby „wejść na rynek”. Po prostu, w ogólnej sytuacji jego nakazy czynią położenie wiernych szczególnie niewygodnym. Społeczeństwo czy rynek, jako przestrzeń autonomii, podobnie do państwa, jest, jeżeli chodzi o poglądy, „neutralne i agnostyczne”.

Jednak neutralność ta nie oznacza, że nie panuje już żaden autorytatywny pogląd: to sama neutralność cieszy się autorytetem. Każdy wierny wyposażony jest więc szczerze we wszystkie środki niezbędne dla wszystkich działań, ale zarazem dochodzą zewsząd dźwięki melodii autorytatywnego agnostycyzmu: „Święta jest jedna zasada, iż nie ma nic świętego; jedyne przykazanie: wybierać w wolności”. W jaki sposób religia miałaby zachować władzę nad obyczajami, jeśli dawny grzech otrzymuje wsparcie nowego sacrum?

Wielkim błędem jest więc przedstawianie logiki państwa i logiki rynku jako z reguły przeciwstawnych. Mają one bowiem wspólną podstawę: jednostkę, która sama uważa się za całość „doskonałą i samotną”. Obie mają charakter „wyzwalający”,

ponieważ uwalniają jednostkę od nakazów bądź wpływów osobistych.

Nakazy rynku

Harmonia ta załamała się z powodu trzeciego rodzaju nakazów: ekonomicznych bądź zawodowych. Jeśli nawet motywów dla wolności indywidualnej dostarcza sytuacja ogólna – z korzyściami i niedogodnościami, jakie zapowiada zależnie od wyboru takiej czy innej działalności – nie zaś już nakaz osobisty, to niemniej jednak, dokonawszy „wolnego” wyboru postępowania, jednostka nieuchronnie poddaje się kierowaniu wynikającemu z wybranego zawodu. Stając się członkiem jakiegoś przedsiębiorstwa, musi ona ugiąć się przed nakazami nieodłącznymi od jego funkcjonowania. Czy jednak rzeczywiście są one nieodłączne? Tu rodzi się jeden z podstawowych problemów społeczeństwa liberalnego.

Jak traktować wewnętrzne nakazy społeczeństwa obywatelskiego, rynku, nakazy zawodowe? Autorzy liberalni skłonni są wymazywać problem dużą gąbką, jaką jest *funkcja*. Nakazy zawodowe bądź funkcyjne nie są prawdziwymi nakazami: są ściśle wpisane w zadanie do wykonania. Zadanie to wymaga podporządkowania nie osób, lecz funkcji. Podporządkowanie funkcji nie przeczy równości osób. Oczywiście, tu i ówdzie, jednostka może korzystać ze swej funkcyjnej wyższości, by sprawować władzę arbitralnie w stylu *Ancien Régime*'u; oczywiście tu i ówdzie może szaleć „zwierzchnik z Bożego nadania”, lecz tego rodzaju żalosne zachowania są stopniowo eliminowane przez naturalną grę konkurencji, która wymaga zachowań „racjonalnych”.

Nakaz jednak może być doskonale „racjonalny”; roztropnie uwzględniać wszystkie wskazania rynku, a zarazem być ogromnie uciążliwy dla tego, kto jest jego adresatem. Nie można zapominać, iż racjonalna analiza pewnej sytuacji rzadko prowadzi do wniosku, że możliwa jest tylko jedna jedyna decyzja. Nie można zwłaszcza zapominać, że liberalizm pojawił się na świecie dla ustanowienia instytucji przedstawicielskich, dzięki którym nikt nie będzie zobowiązany do czynienia czegokolwiek bez

uprzedniej własnej zgody. Odrzucił on posłuszeństwo władcy i księdzu, dlaczego więc być posłusznym zwierzchnikowi czy podejmującemu decyzje? Czy dlatego, że jego decyzja jest zgodna z logiką ekonomii? Decyzja księdza była może zgodna z logiką religii. W końcu to liberalizm powiedział każdemu człowiekowi, że jest suwerenny. Czy człowiek będący członkiem społeczeństwa obywatelskiego, zwłaszcza ten, który doświadcza uciążliwego nakazu, miałby nie być skłonny do użycia swej suwerenności, aby go złagodzić? Ma on do dyspozycji instrument: państwo, które mieni się jego reprezentantem. Człowiek woli kierować niż być kierowanym. Czyż ten, kto podlega nakazom rynku, miałby nie pragnąć kierować w państwie i przez państwo? Autorzy liberalni często niesprawiedliwie odmalowują to pragnienie: ciemna zawiść miałaby ogarnąć proletariuszy, tych wszystkich, którzy nie czują się zdolni zwyciężyć „o własnych siłach” w „twardej walce, jaką jest życie”. Te interpretacje psychologiczne mogą ukazać „koloryt lokalny” danego społeczeństwa, lecz wcale nie wyjaśniają jego funkcjonowania. „Zawiść”, o jakiej mowa, zakorzeniona jest w samej formule politycznej, która za sprzeczne z prawami człowieka uważa wielkie różnice w sytuacji ludzi i która tę odmowę wpisuje w swe instytucje centralne. Występując jako wolna jednostka w dwóch rolach: podmiotu działającego na rynku i wyborcy w państwie, naturalne jest, że każdy odwołuje się do środków tego drugiego wówczas, gdy nie powiodło mu się lub gdy boi się niepowodzenia w pierwszej roli.

Państwo bez reguł

A jednak liberałowie mają rację, nawet jeśli ich racje nie są zawsze dobre. Dlaczego? Dlatego, że właśnie ze względu na swój przedstawicielski charakter państwo nie ma własnych „przekonań” sterujących jego działaniem. I znów odnajdujemy to, co ujawniła nam analiza socjalizmu: „logika rynku” może w pewnym stopniu podlegać oddziaływaniu lub ukierunkowaniu, można ją zawsze ograniczyć, lecz nie można jej zastąpić. Przedstawicielski charakter państwa, czyniący jego interwencję nieuniknioną, a zresztą uzasadnioną – dlaczego zatem niektórzy liberałowie odmawiają jej uznania? – pozbawia go zarazem reguł

pozytywnych. W jaki sposób, nie mając własnych celów, nie kierując się żadnym „przekonaniem” państwo mogłoby wiedzieć, co należy czynić, zwłaszcza od momentu wyzwolenia jednostki od władz wewnętrznych odziedziczonych po *Ancien Régime*? Nie pozostaje mu nic innego, jak reagowanie na realne lub przypuszczalne braki rynku i ich korygowanie; nie potrafiłoby trwale pobudzić oryginalnych działań. Niekiedy państwo ulegać będzie pokusie czerpania pomysłu z rynku i rozwijania go „za pomocą środków władzy publicznej”. Zmobilizuje więc ogromne nakłady inwestycyjne zależnie od „stanu informacji”, który najczęściej okaże się przestarzały w chwili, gdy inwestycje te przyniosą efekty. Państwo będzie wówczas podążać od jednego „rachunku planowego” do drugiego, zawsze biegiem, z zadyszką, zawsze spóźnione. Częściej państwo ograniczy się do utrwalenia zastanej sytuacji gospodarczej, hamując skutki działania rynku za pomocą „interwencji” i „subwencji”.

Nikt rozsądny nie zaprzeczy, że tego rodzaju interwencje są niekiedy konieczne, a więc uzasadnione. Pilne potrzeby społeczne są dla każdego rządu przekonywającym motywem działania. Jednakże z trzech powodów interwencje te powinny być ściśle ograniczone. Powód pierwszy, najszerzej uznany, jest natury wyłącznie ekonomicznej: interwencja powoduje marnotrawienie wolnego kapitału, blokując go na cele mniej produktywne. Powód drugi, niemniej istotny, ma wymiar moralny: rozdział subwencji jest arbitralny; podobnie jak renty za *Ancien Régime* otrzymują je ci, którzy mają sposoby bądź odwagę głośno się domagać. Państwa, skrupowane przez silne grupy nacisku ratujące kaleki przemysł, wyrzeka się bezstronności, będącej jego własną legitymacją. Interwencja jest nie tylko antyproduktywna i arbitralna, lecz w rezultacie przeczy żywotnej zasadzie naszych społeczeństw. Przekraczając pewien poziom, przekształca ona naród w muzeum przemysłowe. Byłoby to całkiem dopuszczalne, a nawet pożądane, gdyby z siedzib naszych społeczeństw była zachowawczość, gdybyśmy za obowiązującą nas uznali „tradycję przodków”. Lecz źródło naszych bodźców jest dokładnie przeciwne: jesteśmy skazani na „odkrywanie tego, co nowe”.

Spójrzmy na niedawny strajk górników brytyjskich. Oto grupa ludzi od kilku pokoleń związana bardzo szczególnym sposobem

życia, do którego jest głęboko przywiązana. Nie bardziej uzasadnionego. Cóż zatem samo w sobie bardziej uzasadnionego niż odrzucenie przez nich postanowionej przez rząd „racjonalizacji” ekonomicznej. Z kolei racjonalizacja ta jest również w pełni uzasadniona: kapitał używany na funkcjonowanie tych coraz mniej rentownych kopalni mógłby znaleźć bardziej produktywnie zastosowanie gdzie indziej z korzyścią dla całego społeczeństwa, a więc w końcu i dla górników. Zderzają się tu dwie argumentacje, obie całkowicie uzasadnione. Stąd też długotrwałość i ostrość próby sił. W stanowisku górników tkwi wszakże istotna słabość. Ich konserwatyzm jest „konserwatyzmem przemysłowym”, a w rzeczywistości produkują oni przecież dla konsumentów, dla rynku. Zachowanie własnego sposobu życia byłoby argumentem wystarczającym, gdyby ich wspólnota była zasadniczo samowystarczalna. Z chwilą, gdy regułą ich działalności nie jest samoodtworzenie, lecz produkcja dla popytu zewnętrznego, który jest zmienny, zachowanie specyficznego sposobu działania zaczyna być sprzeczne z wewnętrzną logiką tej reguły.

Jeśli więc zadaniem państwa jest łagodzenie „społecznego kosztu zmian ekonomicznych” za pomocą interwencji, to interwencje te powinny w możliwie najmniejszym stopniu hamować ukierunkowanie danej działalności przez „wskazania rynku”. Gdy brak jest tego rodzaju ukierunkowania działalności gospodarczej, traci ona punkt orientacyjny. Zniekształcając grę rynku, interwencja państwa prowadzi w końcu do tak zwanej autarkii produkcyjnej. Zniszczona zostaje logika działalności gospodarczej, w której podaż szuka popytu, a popyt podaż. Podaż obojętnie na popyt, sama staje się celem dla siebie, traci cechy podaż. Społeczeństwo buduje lub zachowuje wówczas piramidy przemysłowe, których zastosowania nie zna nikt, ani wśród ludzi, ani wśród bogów: oto „realny socjalizm”.

Chęć zatrzymania wreszcie „ciąglej huśtawki” rynku jest oczywiście uzasadniona, wpisana w naturę człowieka: żyć w długotrwałej zażyłości ze wszystkimi dobrami, których miejscem występowania jest środowisko człowieka. Właśnie w celu odzyskania tej możliwości pełnego korzystania z rzeczy, nareszcie uwolnionych od nieprzewidywalnych i nieuchronnych zmian podaży i popytu, od abstrakcyjnego pośrednictwa pieniądza, ludzie

o najlepszych intencjach pragną zastąpić logikę rynku „inną logiką”. Niestety! Uzyskują cele przeciwne do zamierzonych.

Znosząc wartość wymienną, zerwą ostatnią więź łączącą produkcję dóbr z ludzką potrzebą i przyjemnością. Najbardziej osobliwą cechą „socjalizmu realnego” jest to, iż będąc w stanie opanować najbardziej złożone techniki, nie jest zdolny wyprodukować skromnych dóbr użytkowych, dóbr, które wszystkie inne, najbardziej archaiczne i najuboższe społeczeństwa zawsze umiały wytwarzać, a które dają ich posiadaczowi poczucie trzymania w ręku rzeczy funkcjonalnej i pięknej.

Prawdą jest, że społeczności ludzkie mogą żyć wedle innych reguł niż wartość wymienna, że nie muszą „wytwarzać na rynek”. Wówczas jednak zbudowane są na dominacji człowieka nad człowiekiem lub bogów nad człowiekiem, a ich podstawą jest „pogląd autorytarny”. Jeśli zasadą produkcji dóbr nie jest użyteczność wymiany między równymi podmiotami, wówczas ma ona swe źródło we władzy lub w idei, w idei dzierżącej władzę, we władzy, która nie jest neutralna. Na przykład klasa rządząca, czy Kościół, utrzymywane są przez klasę wytwórców, aby mogły mieć czas na realizację swego nieekonomicznego powołania, wojny lub modlitwy. Natomiast gdy władza musi być neutralna pośród równych ludzi, których reprezentuje, rozmaite rodzaje działalności, rozmaite zdolności, muszą znaleźć wspólną miarę i wspólną przestrzeń, w której współdziałają bez wzajemnego podporządkowania. Podział pracy i wymiana usług za pośrednictwem pieniądza są jedynym substytutem dominacji.

Introspekcja społeczna

Wydawałoby się, że wobec nieustannej erozji autorytetów na rynku i przez rynek, zdolność kierownicza państwa przedstawicielskiego powinna stale wzrastać, bowiem może jedynie dysponuje przyzwoleniem społecznym – źródłem przewrotności nowoczesnego kierowania. Istotnie, jak już wskazałem, odwoływanie się do państwa przeciwko nakazom rynku wpisane jest w formułę polityczną liberalizmu. Lecz w miarę rozszerzania się przestrzeni jego możliwej interwencji, wzrasta także jej niepewność: czym kierować, gdy lepiej lub gorzej zaspokoilo się już

wołania o interwencję płynące od grup najliczniejszych czy najbardziej wpływowych? Lęk przed kierowaniem, który przenika społeczeństwo obywatelskie, dotyka również państwo lub przynajmniej tych, którzy nim administrują. Nie podejmując się kierowania, państwo może podsuwać wszystkim członkom społeczeństwa zwierciadło, w którym wreszcie będą mogli dostrzec razem zgromadzone i łatwo dostępne niezliczone informacje, będące wyrazem życia społeczeństwa obywatelskiego. Dla spełnienia tej funkcji państwo używa swej administracji. Liberalowie, dziś jak i wczoraj, silnie podkreślają niekompetentny i kosztowny charakter administracji państwowej. Jednakże nawet jeśli pod tym względem mają rację, to nie jestem pewien, czy dokładnie pojmują obecną funkcję państwa. Nie jest prawdą, że administracja narzuca odgórnie regułę zasadniczo obcą społeczeństwu obywatelskiemu. Administracja jest oddzielona, bądź funkcjonalnie wyodrębniona ze społeczeństwa obywatelskiego, lecz nie jest mu obca. Ma ona również charakter „przedstawicielski”. Jej rolą jest nie tylko przekazywanie poleceń rządu, ale w równym stopniu zbieranie możliwie najliczniejszych i najlepszych informacji o funkcjonowaniu społeczeństwa, a następnie publiczne ich rejestrowanie, dzięki czemu rząd, a także członkowie społeczeństwa mogą się z nimi zapoznać. Oczywiście, wykonując tę pracę administracja zawsze i nieuchronnie jest opóźniona w stosunku do realnych zmian zachodzących w społeczeństwie obywatelskim. W tym znaczeniu zawsze i nieuchronnie nie spełnia ona swej roli, bez względu na często bardzo wysokie kompetencje swych urzędników.

Tutaj jest miejsce na jeden z najmocniejszych argumentów liberalistów, wedle którego jedynie rynek jest bezpośrednio zdolny „przerobić” niezliczone informacje, jakie wytwarza i którymi żyje społeczeństwo obywatelskie. Mają oni rację, lecz jeśli w krajach demokratycznych administracja zawadza i ogranicza, to nie tyle z tego względu, że stanowi posłuszne i tępe narzędzie rządowego samowładztwa – to także może mieć miejsce – co dlatego, iż w sposób strukturalny dąży do unieruchomienia społeczeństwa, aby zagwarantować sobie władanie informacją; w sytuacji krańcowej gotowa jest informacje produkować. Administracja jest nie tyle maszyną do kierowania, co maszyną wytwarzającą wiedzę społeczną, statystykę.

Dlatego to stosunki między rynkiem a administracją nie są jedynie konfliktowe. Nikt nie może dokładnie stwierdzić, w jakiej mierze funkcjonowanie samego rynku jest pozytywnie uzależnione od zarządzeń i informacji administracyjnych. I odwrotnie, pewne jest, że zdobywanie informacji przez administrację jest tym łatwiejsze i pełniejsze, im bardziej społeczeństwo obywatelskie działa wedle zasad racjonalności rynkowej, a ciche nakazy i potajemna wymiana zastępowane są przez publiczną wymianę ilościowo określonych usług. Nie mamy tu do czynienia z grą o sumie zerowej, gdzie wygrana administracji stanowiłaby koniecznie stratę społeczeństwa obywatelskiego lub rynku, i *vice versa*. Wysiłek rynku na rzecz coraz pełniejszego i lepszego zaspokojenia potrzeb i pragnień konsumentów oraz wysiłek administracji, by coraz pełniej poznać sytuację, dochody, a także potrzeby i pragnienia członków społeczeństwa, są tylko dwoma aspektami obsesyjnej pracy introspekcji, jakiej nasze społeczeństwa dokonują, by poznać siebie same. Należałoby do tego dodać całą działalność dziennikarzy, ankieterów i socjologów zajmujących się dzień po dniu, godzina po godzinie, tropieniem najsubtelniejszych zmian, najmniejszych modyfikacji w zachowaniach i opiniach Francuzów czy Amerykanów. Administracja i rynek niezmiordowanie i z godną podziwu świadomością zawodową redagują oburącz „dziennik intymny” naszych społeczeństw.

Gdy rynek profesjonalizuje kierowanie, państwo zastępuje kierowanie wiedzą; z kolei zaś wiedza, „wiedza społeczna” staje się dobrem rynkowym. Państwo żyje objaśnianiem społeczeństwa, a społeczeństwo coraz bardziej zmierza do życia swym własnym objaśnianiem. Tego rodzaju introspekcja oznacza oczywiście wyeliminowanie wszelkiej normy postępowania zbiorowego bądź indywidualnego. Administracja, tak jak rynek, rejestruje życzenia członków społeczeństwa i stara się wiernie na nie odpowiedzieć. Członek społeczeństwa rejestruje informacje administracji i wskazania rynku, a także sugestie „kultury”. Szuka w nich materiału do „zbudowania swego obrazu”, a jeśli go posiada, szuka chwili, w której należy go „rozbić”.

Liberalizm jest motorem owej erozji kierowania i woli. Jest również na nią środkiem zaradczym. Wśród upadku wszelkich

norm liberalizm zdołał zachować jedną: „konkurencyjność”. Jest to jedna z głównych przyczyn odrodzenia jego wpływów. Każdy cofa się przed wydaniem lub otrzymaniem prawdziwego polecenia, bowiem żaden motyw nie wydaje się wystarczająco poważny, aby usprawiedliwić kierowanie bądź posłuszeństwo. Każdy jest czuły także na potrzebę opanowania zbiorowego i indywidualnego narcyzmu, którego państwo opiekuńcze jest tyłko najbardziej widocznym i kosztownym wyrazem. Konkurencja pozostaje jedynym godnym zaakceptowania środkiem regulacji społecznej, ponieważ norma, jaką niesie, jest nieodłączna od społecznego działania. Nikt jej nie narzuca, nie rodzi też ona żadnego „dogmatyzmu”. Przyczyny liberalnego powrotu wyznaczają zarazem jego prawdopodobne granice: zwiększoną uwagę na wskazania rynku, bardziej świadome poczucie konkurencji międzynarodowej, złagodzenie obciążeń państwa opiekuńczego; poza tym niewiele więcej. Aby pójść dalej, należałoby nadać polityce liberalnej cechy, które zostałyby natychmiast zakwalifikowane jako „autorytarne”, które zresztą tak właśnie postrzegająby również większość liberalów. Jeśli nawet nie byłoby logicznie sprzeczne zarządzić „wycofanie się” państwa, to w praktyce niezwykle trudno jest nakazywać w imieniu rynku, który traktuje się i przedstawia jako wykluczający nakazy. A jednak, paradoksalnie, takie właśnie kierowanie dałoby organizmowi politycznemu poczucie bycia czymś innym niż częścią rynku światowego, czymś innym niż „przedsiębiorstwem o nazwie Francja”, poczucie bycia zdolnym do określenia na nowo zasad wspólnego życia.

Państwo „neutralne i agnostyczne” stanowi znakomitą formułę polityczną dla uśmierzenia konfliktów wewnętrznych, dla zagwarantowania swobód indywidualnych, dla zapewnienia dobrobytu. Ale to państwo tak konsekwentnie odmawia sobie prawa do posiadania w sprawach wewnętrznych „poglądów” i „sądów wartościujących”, że przejawiać poczyna niezdolność do posiadania poglądów również na temat świata zewnętrznego, niezdolność oceniania zbiorowości politycznych, które je otaczają, a więc do działania zgodnie ze swoim osądem. Państwo liberalne znalazło pierwotny i trwały bodziec w konieczności wzniesienia się ponad konflikty światopoglądowe, zwłaszcza

religijne. Zrealizowało ono to powołanie ponad wszelkie, najbardziej skrajne oczekiwania pierwszych liberalistów. Pozostaje mu przystosowanie swojej neutralności do świata, w którym powiększa się ilość państw i „organizacji” dowodzących czynnem, że ta neutralność jest w ich oczach wyłącznie wrogiem poglądem.

Pierre Manent

NAKLADEM

ANEKSU

Adam Michnik

SZANSE POLSKIEJ DEMOKRACJI

Artykuły i eseje

W tomie m.in.: Szkice historyczne – Szanse polskiej demokracji –
Na marginesie bieżących wydarzeń (lata 1980-1981) – Po grudniu
– Listy z Białoleki.

Str. 256

Cena: £4,80; US\$10,50

Adam Michnik

TAKIE CZASY...

RZECZ O KOMPROMISIE

Książka napisana w więzieniu w 1985 r. na temat polityki
władz oraz celów i taktyki KOR-u i – po Sierpniu 80 –
„Solidarności”, przed i po wprowadzeniu stanu wojennego.

Str. 140

Cena: £3,00; \$ 7,50

PAŃSTWO W NOWOCZESNEJ GOSPODARCE *

Rozmowa z Simon Nora

Marcel Gauchet: Biorąc pod uwagę pańską długą karierę „sługi państwa”, musi pan czuć się niekiedy w pozycji oskarżonego w toczącej się dziś publicznej debacie, której tematem centralnym stało się „odrzućcie państwa”. Wydaje się, że program „mniej państwa”, któremu przeciwstawiane jest najwyżej hasło „innego państwa”, zyskał niemal jednomyślną akceptację. Nikt nie śmie już domagać się „więcej państwa”. Jak pan ocenia tę dyskusję, której eksplozja stanowi w każdym razie względną nowość z punktu widzenia francuskiej tradycji? Czy budzi ona pański sceptycyzm, czy też czuje się pan w nią zaangażowany. Na początek: czy ma ona związek z rzeczywistością?

SIMON NORA: Jest to wręcz typowy przykład fałszywego sporu. Czy też jest to raczej spór, który wielokrotnie wiedziono w dziewiętnastym wieku i na początku dwudziestego. Wywołał on wymianę myśli bardzo wysokiej próby. Obecne powtórki, zupełnie elementarne, zakrawają na kpinę.

Natomiast z chwilą, gdy pewien spór staje się do tego stopnia centralny w życiu politycznym, nawet jeżeli jest bałamutny, oznacza to, że odzwierciedla on głębokie emocje i zasługuje na

* Fragmenty rozmowy opublikowanej w *Le Débat*, nr 40, 1986.

refleksję. Dawniejsze argumenty socjalistyczne o „innej logice” gospodarczej, zgodnie z którą program „więcej państwa” miałby prowadzić do uzyskania licznych dobrodziejstw, czy też dzisiejsza fala liberalna, są w rzeczywistości stanowiskami obronnymi, a nie analitycznymi. A przecież w ciągu ostatnich trzydziestu lat poprzedzających tę zacierzwioną i archaiczną polemikę, refleksja poczyniła ogromne postępy. Problem nie polegał już na abstrakcyjnym rozprawianiu o korzystnym stopniu liberalizmu, lecz na określeniu sposobów regulowania odpowiednich dla poszczególnych sytuacji. Każdy rozsądny człowiek rozumie, że absurdem jest kazać administracji wykonywać to, co lepiej zrobi rynek. Wie on jednak również, że rynek nie wyczerpuje sposobów regulacji i że istnieją rzeczy zasadnicze, które mu się wymykają. Po przypomnieniu tych dwóch oczywistości, stopniowo zapomnianych przez dyskutujących, prawdziwym problemem jest określenie najskuteczniejszych i najmniej kosztownych sposobów przewycięzania napięć społecznych. Otóż różnią się one zależnie od natury problemów, stanu społeczeństwa, a nawet od sytuacji wewnętrznej i koniunktury międzynarodowej. Interwencje, gdy są konieczne, wymagają sposobów zręcznych i subtelnych. Debaty nad rozszerzeniem lub ograniczeniem roli państwa, czy nawet, do pewnego stopnia, nad sposobem przywłaszczania środków produkcji, nie rzucają żadnego światła na konkretne rozstrzygnięcia. Problem regulacji polega bowiem bardziej na określeniu ich skuteczności aniżeli na rozważaniu ich metafizyki.

Wiadomo dobrze, czym jest regulacja przez rynek. Czym jednak właściwie jest regulacja państwowa? Ma się bowiem poczucie, że znaczna część niejasności sporu polega na utrzymującym się istotnym pomieszaniu definicji pojęcia państwa.

Problemem zasadniczym jest wiedzieć, czym jest i do czego służy państwo. Istotnie, niejasność wynika z pomieszania w papce semantycznej rzeczy i osób, które mają bardzo niewiele cech wspólnych. Jest oczywiste, że rozważając problemy sędziego i rzędnika pocztowego, wojskowego i urzędnika ubezpieczalni, osoby wykreślającej profil drogi i naciskającej czerwony przycisk atomowego odstraszania, dotykamy przedmiotów odmiennej natury filozoficznej, socjologicznej i praktycznej. Aby uniknąć

falszywego sporu: więcej czy mniej państwa, trzeba jasno określić, co się za nim kryje.

Niektórzy twierdzą, że państwo winno ograniczać się do ścisłej sfery władzy: policji, wymiaru sprawiedliwości, obrony, dyplomacji. Poza tymi sferami rynek miałby wystarczyć. Osobiście sędzę, że dla określenia roli państwa należy wrócić do pojęć bardziej praktycznych. Służy ono bowiem również, i to na co dzień, do kierowania i łagodzenia napięć społecznych. Wszystkie mechanizmy, które mniej lub bardziej przyczyniają się do tego celu, należą do sfery politycznej.

Sztuka rządzenia społeczeństwem nowoczesnym, złożonym, otwartym na zewnątrz, polega na postępowaniu w taki sposób, aby system regulacji zawierał możliwie jak najmniej elementów zarządzania biurokratycznego i w możliwie największym stopniu odwoływał się do impulsów rynkowych.

Czy sądzi pan, że zaufanie do państwa bądź jego utrata zależą od oceny przez społeczeństwo kosztów i korzyści interwencji państwowej?

U źródeł preferencji dla państwa, jakie ujawniły się w historii, tkwi hold dla racjonalności; przekonanie, iż przemyślana decyzja jest bardziej korzystna i racjonalna niż regulacja rynkowa, czyli oparta na mechanizmie spontanicznym. Jest to kwestia zasadnicza, do której należy się ustosunkować; przekonanie powyższe jest zarazem prawdziwe i fałszywe. Niewątpliwie istnieją elementy, które wymykają się rynkowi. Rynek jest systemem regulacyjnym korzystniejszym od wszelkich innych za każdym razem, gdy spełnia funkcje, jakich się od niego oczekuje. Opiera się jednak na ubogiej informacji, a jego horyzont jest krótki; obejmuje jedynie interesy materialne krótko- i średniookresowe. To, co umyka komercjalizacji – co niesie sens, kulturę, co dotyczy długiego okresu – umyka rynkowi. Cokolwiek zatem się stanie, istnieć będzie sfera nieuchronnie związana z decyzjami władzy, poddanyymi mechanizmom regulacji politycznej.

Ze sferą ekonomiczną włącznie?

Ze sferą ekonomiczną włącznie. Tu jednak, uwaga! W ważnych i ograniczonych przypadkach państwo ma prawo określać

zasadnicze kierunki. Często tylko ono jest w stanie zapewnić odpowiednie środki. Jeśli jednak pogrąży się w nieskończonej masie mikrodecyzji, jeśli zapragnie kontrolować realizację konkretnych zadań, wówczas zmuszać będzie swą administrację do wykonywania funkcji, do której nie jest przygotowana. Należy zbadać realne, codzienne działanie różnych urzędów, by ocenić, co w wyniku tej „kuchni decyzyjnej” pozostaje z pierwotnego dążenia do racjonalności. Iluzja racjonalności państwa prowadzi do arbitralności. I to z całkiem prozaicznych przyczyn, które mógłbym wyjaśnić na przykładzie porządku dnia premiera. Albo też decyzje są podejmowane w wyniku gry toczącej się między różnymi pionami administracji. Dzieje się tak w przypadku dziewięciu decyzji na dziesięć. Oznacza to po prostu, że państwo odtworzyło te ograniczenia i sprzeczności społeczeństwa, których nie rozwiązują automatycznie mechanizmy rynku. Uważa się zatem, że każdy z pionów zarządzania uosabia jedną ze stron konfliktu społecznego. Spór, który nie znalazł rozwiązania na rynku, jest obecnie rozstrzygany w ramach administracji, gdzie motywacje aktorów są tylko dalekim odbiciem rzeczywistości. Gdy nie kończące się rozmowy między administracjami nie przynoszą rezultatu, decyzja przenosi się na sam szczyt. Otóż czym jest ów szczyt? Jest to człowiek, który ma zajmować się całością spraw kraju... Skupia się na nim cały szereg mechanizmów delegowania uprawnień decyzyjnych. Nerozwiązywanie problemów na drodze prawdziwej konfrontacji w społeczeństwie prowadzi do załatwiania ich przez osoby politycznie nieodpowiedzialne. W efekcie, poszukiwanie maksymalnej racjonalności prowadzi paradoksalnie do przypadkowości, samowoli bądź kaprysu.

Trzeba tu również powiedzieć o francuskiej hipercentralizacji. Czy nie sądzi pan, że dzięki posunięciom decentralizacyjnym uda się przybliżyć decyzje do rzeczywistości i tym samym zwiększyć racjonalność wyborów politycznych?

Odczuwa się jedynie niedogodności systemu, w jakim się żyje. Korzystne jest zmieniać go co pewien czas, by uniknąć skostnienia i konwulsji. Za lat piętnaście lub dwadzieścia, jeśli powiedzie się decentralizacja zapoczątkowana w 1982 roku, okaże się, iż

należy dokonać pewnych posunięć recentralizacyjnych. Słyszę jeszcze narzekania moich niemieckich przyjaciół uniwersyteckich na temat niemożności skoordynowania programów czy dat otwarcia i zamknięcia uczelni. Mam w pamięci nie kończące się spory dotyczące federalizmu w Kanadzie oraz groźbę wybuchu, jakiej zaznały Włochy z powodu władz regionalnych. Z drugiej strony oczywiście jest, że we Francji ze względów ideologicznych posunięto się do skrajnego jakobinizmu: lud, jedyny i niepodzielny, jest suwerenem, a wszelkie dzielenie Republiki narusza jedność suwerena. Zwycięstwo jakobinów nad żyrondistami przez półtora wieku ciążyło nad prawowitością władzy. Zapoczątkowany dziś ruch odwrotny wydaje się iść we właściwym kierunku. Przekazanie władzy regionom, okręgom administracyjnym, władzom miejskim, może w pewien sposób przybliżyć decyzję do osoby odczuwającej jej konsekwencje.

Trzeba jednak być uważnym na rozmaite zagrożenia, które mogą zburzyć całą konstrukcję. Po pierwsze, jeśli nie wprowadzi się systemu regulacji fiskalnej, którego szczeble byłyby doskonale zgodne ze szczeblami decyzyjnymi, obwód demokratyczny nie zostanie zamknięty. Osoba wybrana na szczeblu lokalnym winna płacić polityczną cenę swej decyzji, czyli ponosić koszt obciążenia fiskalnego, jakie decyzje jego za sobą pociągną. W przeciwnym razie system staje się otwarty na wszelkie rodzaje demagogii. Po drugie, należy być bardzo czujnym na fakt – którego realność już mogliśmy stwierdzić – iż presja interesów jest silniejsza na poziomie lokalnym niż na centralnym szczeblu państwa. Osoba wybrana do władz lokalnych mogła wygodnie schronić się za „autorytaryzmem” prefekta, który stanowił jedną z gwarancji praw obywatela przeciw lokalnej samowoli. Jeśli nie nastąpi energiczne ożywienie życia demokratycznego na szczeblu lokalnym, można się obawiać, że decentralizacja doprowadzi w końcu do upowszechnienia samowoli politycznej, zastępując nieco odległego króla tysiącem całkowicie nieznośnych królewiatek.

Jakie widzi pan we Francji szczególne przyczyny wzrostu Interwencji regulacyjnych państwa? Jakże specyficznie francuskie zjawiska mogłyby pańskim zdaniem wyjaśnić ową szczególną potrzebę regulacji państwowej?

Ogólnej przyczyny rozwoju państwa w Europie należy z całą pewnością szukać pod koniec XIX i na początku XX wieku w dwóch powiązanych zjawiskach: wojen i kryzysów. Ma ona jednak swe specyficzne francuskie oblicze. Mniej więcej do roku 1950 niemal wszystkie interwencje państwa tłumaczyć można szokiem urazowym, z którego dopiero od niedawna zaczynamy się otrząsać – szokiem Komuny Paryskiej 1870 roku. Mieszczanstwo francuskie – mówię skrótowo i schematyzując – stało się tak bardzo świadome faktu, iż otwarcie demokratyczne rodzi zawsze ryzyko wystąpień ludowych, że wyprowadziło stąd wnioski o konieczności takiego warstw niebezpiecznych, utożsamianych z pracownikami najemnymi... Nigdy nie sformułowane rozumowanie streścić można następująco: robotnicy są ludźmi, którzy stają się socjalistami i robią rewolucję; warstwami, które przyczyniają się do stabilności społecznej są, z grubsza biorąc, rolnicy, drobni kupcy, drobne liberalne mieszczanstwo. Trzeba więc, by wszystkie mechanizmy ekonomiczne i społeczne przyczyniały się do tworzenia możliwie najmniejszej liczby robotników, a największej chłopów, pracowników niezależnych, ludzi drobnego handlu oraz wolnych zawodów. Można by ponownie przeanalizować niemal całość interwencji państwa ostatnich pięćdziesięciu lat, wychodząc od tej przesłanki. Organizacja i ochrona zawodów rolniczych oraz struktury korporacyjne wykazują, że interwencja państwa stanowiła we Francji narzędzie hamowania industrializacji i zabezpieczenia konserwatywnych klas średnich. Była to postawa niemądra o tyle, że gdzieś indziej dokonywano czegoś odwrotnego: postępowano w taki sposób, aby w wyniku pomyślniej industrializacji pracownicy najemni przestali być grupą rewolucyjną; przez odpowiednie wynagradzanie i warunki życia stawać się mieli kulturowo i społecznie drobnomieszczanami. Wyższość tego wyboru polegała na tym, że kraje te zwiększały w ten sposób swą konkurencyjność i wydajność, co powodowało, że droga wybrana przez Francję stawała się nie do utrzymania. W rezultacie, paradoksalnie, zablokowanie ekonomicznego bogacenia się proletaryzowało klasy średnie. System tracił swe zalety. Z tą chwilą dokonano wyboru na rzecz uprzedemysłowania i modernizacji. Nadal jednak, poprzez rozliczne in-

terwencji, uprzywilejowywano tradycyjne warstwy społeczne i zawody. Jednocześnie budowano ogromny aparat redystrybucji w celu jak najszybszego ponownego odtworzenia na bazie salariatu zabezpieczonych warstw średnich. Państwo redystrybuujące, państwo opiekuńcze zajęło miejsce państwa utrwalającego społeczne archaizmy.

Spośród wszystkich nowoczesnych narodów Francja jest prawdopodobnie tym, który ciągnie za sobą najwięcej elementów prekapitalistycznych w sferze produkcji, a zarazem włączył najwięcej socjalistycznych elementów w sferze podziału. Jest to sytuacja wybuchowa, której rozwiązanie będzie tym trudniejsze, im słabszy będzie wzrost gospodarczy, który pozwoliłby złagodzić narosłe sprzeczności.

Wobec tego, że interwencja państwa jest konieczna, jakie zaproponować kryteria jej racjonalizacji? Czym jest, według pana, dobra regulacja, bowiem właśnie pojęcie regulacji uważa pan za istotne dla zrozumienia działalności państwa? Czym się kierować, aby była ona zarazem właściwa i sprowadzona do tego, co niezbędne?

Jedyna rozsądna postawa dotycząca interwencji państwa polega w istocie na stosowaniu tego, co Kościół nazywa zasadą pomocniczości: nigdy nie pozwolić, by problem, który może być rozwiązany na szczeblu niższym, trafił na szczebel wyższy. Formułując tę myśl inaczej: istnieją cele, które wymykają się rynkowi, regulacji automatycznej, spontaniczności, lecz zawsze, gdy do procesu realizacji tych celów możliwe jest włączenie mechanizmów automatycznych, spontaniczności i dobrze pojętych interesów, należy wprowadzać do systemu margines wolności i skuteczności.

Obecne niebezpieczeństwo wynika z symetrycznego na prawicy i na lewicy pomieszenia sposobów regulacji ze sposobami zawłaszczania. Otóż nadmierne rozdęcie interwencjonizmu jest najczęściej skutkiem braku jasnego wyboru, niedoskonałości mechanizmów decyzyjnych. Poza przypadkami skrajnymi, nacjonalizacja jest młotem używanym dla zabicia mchaj. Denacjonalizacja zresztą również. W gruncie rzeczy, opanowanie sceny

gospodarczej i społecznej przez administrację wyraża zazwyczaj jedynie chęć szczegółowego kontrolowania realizacji sprzecznych celów, spośród których władza polityczna nie była w stanie dokonać wyboru. Im lepiej dokonywane są wybory na szczytach, im lepiej określone są instrumenty ich realizacji, tym bardziej uzasadnione jest pozostawienie przedsiębiorstwom możliwości inicjatywy. Jeśli tym długofalowym wyborom brak jest ścisłości lub spójności, państwo musi ponieść dwojakie i paradoksalne konsekwencje: zarządzanie sektorem publicznym będzie złe, a zarazem państwo nie będzie dysponowało żadnym innym, poza nacjonalizacją, sposobem oddziaływania na sektor prywatny.

Jeśli jednak dobrze pana rozumiem, prywatyzacja i własność prywatna nie są, jak twierdzą niektórzy, lekarstwem uniwersalnym.

Granica nie przebiega między przedsiębiorstwami publicznymi a prywatnymi, lecz między przedsiębiorstwami, dla regulacji których funkcjonowanie konkurencyjnego rynku dostarcza zadowalających rozwiązań, a tymi, które ze względu na swój charakter, skalę, ewentualnie dominującą pozycję, wymagają specyficznych ram i rozstrzygnięć.

Rynek daje przedsiębiorstwu wyraźne cele i wypróbowane kryteria zarządzania. Jest on jednak niezdolny do samorzutnego wyrażania „warunków zewnętrznych”, wynikających z uwzględnienia długiego okresu, zniszczeń środowiska itd. Stanowi on kryterium tym bardziej niewystarczające, im przedsiębiorstwo jest silniej kapitalistyczne, a jego horyzont działalności bardziej odległy i przypadkowy, im mniejszą ma konkurencję. Dzieje się tak często, choć nie zawsze, w przypadku przedsiębiorstw publicznych, a także licznych przedsiębiorstw prywatnych. Natomiast o ile rozstrzygnięcia polityczne są niezbędne dla wyboru celów długofalowych i brzemienne w skutki, oraz dla uwzględnienia „warunków zewnętrznych”, to stają się nieskutecznym narzędziem, gdy starają się kierować zarządzaniem bieżącym. Jest tak oczywiście w przypadku przedsiębiorstw prywatnych, lecz również i w przedsiębiorstwach publicznych. W rezultacie, problem polega nie tyle na optymalnym połączeniu sposobów za-

właszczenia, ile na określenie, w jakim stopniu ściśle polityczna ambicja może ograniczać regulację rynkową. Dlatego to sądzę, że pojęcie gospodarki mieszanej stawia problem od niewłaściwej strony. Gospodarka mieszana uchodzi za złoty środek między prywatną gospodarką rynkową a socjalistyczną gospodarką planową. Miałaby ona stanowić drogę mądrą i nowoczesną. W rzeczywistości, jest ona sposobem uniknięcia prawdziwego problemu, czyli zrównoważonego połączenia sposobów regulacji. Ponieważ brak jest zbieżności między sposobami regulacji a sposobami zawłaszczania, mówienie o gospodarce mieszanej jest równoznaczne z tworzeniem tej mieszaniny począwszy od jej najmniej interesującego aspektu, a mianowicie od sposobów zawłaszczania. Prawdziwy problem polega na tym, jak wiele pragnie się odebrać rynkowi i poddać regulacji politycznej.

Czy interwencja zmierza do sztucznego podtrzymania przy życiu przedsiębiorstw, które konkurencja międzynarodowa skazałaby na likwidację, czy jedynie do wsparcia ich w fazie krytycznej, co po reorganizacji i poprawie zarządzania miałyby prowadzić do nowej równowagi rynkowej? Czy chodzi o towarzyszenie tej krytycznej fazie zarządzaniami mającymi na celu uniknięcie wstrząsów destrukcyjnych dla siły roboczej, dla równowagi zagospodarowania kraju, czy też o utrwalenie woluntarystycznej koncepcji zatrudnienia i równowagi regionalnej? Czy interwencja skierowana jest ku sektorom o wysokiej koncentracji, czy masie drobnych i średnich przedsiębiorstw, ku sektorom silnie wystawionym na konkurencję, czy też korzystającym z rynku stosunkowo chronionego?

Okresowe i ograniczone interwencje w funkcjonowanie przedsiębiorstw, zwłaszcza wówczas, gdy nie działają one na rynku wysoce konkurencyjnym, są łatwe do przeprowadzenia i nie podważają istotnie mechanizmów regulacji. Jeśli interwencje bardzo ambitne, a zatem często sprzeczne, utrzymują się długo, mogą doprowadzić do przesunięcia mechanizmu napędowego z rynku ku administracji.

Władze państwowe muszą więc dokonywać wyboru politycznego polegającego na wyraźnym wytyczeniu granicy między gospodarką rynkową a sferą ingerencji państwa; chodzi o określenie, w jakich dziedzinach interwencja stanowi przejściowy wyja-

tek, oraz gdzie, ze względu na cel, do jakiego się dąży, musi być stale obecna. W pierwszym przypadku możliwe jest niewątpliwie narzucenie sektorom bądź przedsiębiorstw prywatnym celów władz państwowych przy zachowaniu i pobudzaniu zdolności innowacyjnej, dynamizmu, umiejętności przystosowania do popytu krajowego i zagranicznego cechujących otwartą gospodarkę konkurencyjną. W drugim przypadku, porzeba masowego i trwałego wsparcia oznacza, że przetrwanie tych przedsiębiorstw nie jest już uzasadnione z przyczyn czysto ekonomicznych. Polityczne motywy interwencji (ze względu na problemy zatrudnienia, suwerenności kraju, niemożności uzdrowienia sytuacji bez wielkich zakłóceń) uzasadniają przejęcie przez państwo bezpośredniej odpowiedzialności i wyposażenie się w środki realizacji swych decyzji.

Oczyszczona z klimatu sporów ideologicznych nacjonalizacja jawi się zatem jako prawna forma interwencji, której stosowność można określić jedynie na podstawie jej treści.

Przyczyny, które wymagają masowego wsparcia danego sektora, tkwią w sprzecznościach między jego strukturą, konkurencyjnością a rynkiem. W przypadku nacjonalizacji sprzeczności te pozostają nietknięte. Nacjonalizacja może mieć jednak swe alternatywne cele: bądź to uznanie tych ograniczeń i ich usunięcie, bądź też ukrycie ich przez stworzenie dla tego sektora ciepłarnianych warunków.

Nacjonalizacja stanowić może narzędzie władzy publicznej używane w celu poprawy konkurencyjności sektora i sprowadzenia go do warunków równowagi rynkowej. W tym ujęciu sektorowi znacjonalizowanemu należy pozostawić jak najwięcej swobody i autonomii, aby mógł przystosować się do warunków rynkowych. I przeciwnie, celem nacjonalizacji może być utrzymanie nieprzystosowania sektora do wymogów rynku. W takim przypadku nacjonalizacja jest jedynym sposobem zapewnienia przewagi względów politycznych nad ekonomicznymi. Należy wówczas określić, jaki będzie koszt preferencji politycznych oraz kto go poniesie. Będą to w końcu konsumenci, których poziom życia się obniży: odczują to albo jako podatnicy, albo poprzez wzrost cen w pewnych sektorach. Należy również określić liczbę działów „upolitycznionych”, jaką naród może utrzymywać, nie

narażając ogólnej konkurencyjności gospodarki i nie zwiększając stopy bezrobocia.

W każdym razie, po jasnym określeniu wyborów politycznych możliwe jest wyprowadzenie z nich właściwego systemu regulacji. Jeśli natomiast państwo staje się cichym współnikiem całych sektorów, nie określając wyraźnie swych celów i nie kontrolując uważnie ich realizacji, istnieje ryzyko, że zamiast łączenia korzyści płynących z mechanizmów rynkowych z korzyściami państwowej realizacji interesu publicznego, sumować się będą wady właściwe każdemu z tych systemów.

Czy posunąłby się pan, jak niektórzy, do stwierdzenia, że nacjonalizacje uczyniły przedsiębiorstwa prywatne prawdziwie kapitalistycznymi?

Jest możliwe, a w każdym razie można bronić tego poglądu, że „prawomocność” dyrekcji mianowanych przez rząd socjalistyczny dała im zdolność „przyciśnięcia” swego personelu, jakiej nie miałby zapewne pracodawca prywatny, który uczyniłby dokładnie to samo lub mniej nawet. Jednakże wedle francuskiej mitologii, ten drugi byłby podejrzewany, iż postępuje tak dla „ohydneho zysku”. A zatem sporządzenie bilansu nacjonalizacji i socjalistycznego zarządzania w ogólności nie jest proste. Bilans czysto rachunkowy abstrahuje od serii wstrząsów kulturowych i politycznych. Odejście od automatycznego wzrostu płac wraz ze wzrostem cen, uznanie obniżki stopy życiowej, lepsze zrozumienie centralnej roli przedsiębiorstw w społeczeństwie, są cennymi osiągnięciami. Zostały one zaakceptowane, bowiem język, który je uzasadniał, był językiem ludzi mówiących poprzednio coś odwrotnego. Stąd efekt psychologicznego elektrowstrząsu, z którego pożytek jest niewymierny, lecz zasadniczy. W sposób paradoksalny ułatwi on życie rządowi, który dochodzi do władzy w momencie odpowiednim dla prywatyzacji. Nie jest wcale wykluczone, że właśnie posłużenie się prywatyzacją przedłuży dziś osiągnięcia nacjonalizacji. Istnieje także możliwość złego użycia prywatyzacji, czyli utraty wszelkich związanych z nią korzyści. Kwestia ta nadal pozostaje otwarta.

W jaki sposób francuskie połączenie prekapitalizmu i państwa opiekuńczego może ulec przekształceniu? I jakie widzi pan sposoby regulacji, które miałyby zastąpić obecne?

Zadał pan właściwie dwa pytania. Jedno dotyczy sfery przyszłych regulacji, drugie zdolności kraju do przyjęcia zmiany sposobów regulowania. Kilka słów o przyszłych regulacjach.

Powiedzmy ogólnie, że pojawienie się nowej technologii wymaga określonej strategii państwowej. Istnieje pewien zły sposób postępowania polegający na tym, że państwo zastępuje przemysłowców. Miało to nazbyt długo miejsce w sektorze informatyki. Niezależnie jednak od tych błędów, nie ulega wątpliwości, że wielkie wybory tej skali wymagają państwowego ukierunkowania. Decyzje o rozwoju telekomunikacji należały do państwa i dlatego właśnie, że uwiecznione zostały sukcesem, dziś już nie muszą w ogóle lub w mniejszym stopniu być domeną państwa. Podobnie w sferze energii atomowej: dokonywane wybory dały wyniki i dziś rola państwa może być złagodzona. W większości krajów rozwiniętych, włącznie z tymi, które podaje się jako wzór liberalizmu, wielkie decyzje technologiczne wspierane są przez państwo, często przez jego najtajniejszą część, mianowicie przez wojsko. Jeśli szukać pan będzie motoru postępu technologicznego Stanów Zjednoczonych od lat dwudziestu i przez następne dwadzieścia lat, odnajdzie pan zawsze pod rozmaitymi postaciami armię i NASA.

„Więcej państwa” jest odpowiedzią na drugi problem. Z chwilą, gdy przyspieszone zmiany technologiczne naruszają równowagę społeczną i polityczną wypracowaną przez dziesięciolecia, trzeba przewidzieć wsparcie ochronne. Nie będzie już powrotu do brutalnego usuwania tych wszystkich, którzy nie utrzymują się w wyścigu. Narodziny kapitalizmu dokonały się w społeczeństwach, które nie były odpowiednio przygotowane, by zapobiec towarzyszącym mu cierpieniom. Nadużycia socjalizmu zrodziły się z gwałtownej reakcji na tę brutalność. Jeśli dziś, pod taką czy inną postacią, nie będzie społecznej siatki ochronnej osłaniającej tych, którzy są wspierani lub których nowe technologie zmuszają do zmian, postęp zostanie zablokowany. W pewnym sensie zasługą socjalistów, mimo ich błędów, był ów „doda-

tek duszy" do przewrotu technologicznego. Gdy mówili językiem nowoczesności, głos ich był słyszalny tylko dlatego, że wraz ze skalpelem nieśli opatrunek.

Zasada państwa opiekuńczego nie tylko nie ulega zakwestionowaniu, lecz jest niezbędna bardziej niż kiedykolwiek. Problem tkwi gdzie indziej. Państwo opiekuńcze powstało i utrwaliło się przy braku różnicowania wielkich aparatów organizacyjnych, w pseudo-egalitarnej sztuywności. Wymyśleć należy nie kres państwa opiekuńczego, lecz opiekuńczości identycznej dla tych, którzy jej potrzebują i dla pozostałych. Konieczne się staje złamanie zwodniczego egalitaryzmu i biurokracji, które dominowały dotąd w podejściu do problemów społecznych.

Czy społeczeństwo francuskie, ze swymi archaizmami i obciążeniami, które pan podkreślił, wydaje się panu wystarczająco dojrzałe, aby zaakceptować zburzenie owego fałszywego egalitaryzmu, który ma głębokie korzenie w naszej tradycji?

Państwo jest regulatorem napięć społecznych. Napięcia społeczne wynikają bądź z nadmiernych sprzeczności interesów, bądź z niezdolności takich czy innych warsiw społecznych do uznania ograniczeń narzuconych przez konieczną zmianę. Otóż wzrost gospodarczy i państwo opiekuńcze zmieniły klimat współczesnych społeczeństw i wytworzyły klasy średnie będące nośnikami „miękkiego consensusu”. Z drugiej strony nastąpiła, wydaje mi się, zasadnicza zmiana (jest to zdobycz świeża, której powinniśmy chronić jak oka w głowie) w rozumieniu ograniczeń. Zostały one uwewnętrznione. Fakt, że rządy o zupełnie sprzecznych językach były zmuszone do prowadzenia podobnej polityki, spowodował akceptację i docenienie wagi ograniczeń. Z tego punktu widzenia, choć nie zawsze w sposób świadomy, socjaliści byli znakomitymi nauczycielami nowoczesności. Dlatego też sądzę, że społeczeństwo francuskie gotowe jest samo regulować sprzeczności, które dotychczas przekazywało w ręce władz państwowych. Zarazem łatwiej zaakceptuje ono arbitraż państwa wówczas, gdy będzie on niezbędny. Ostatnią przyczyną skłaniającą mnie do optymizmu jest zjawisko, które nazwałbym przemieszczeniem się schizofrenii. Schizofreniczne przestało być spo-

czeństwo, stała się nią jednostka. Dawne sprzeczności były sprzecznościami między warstwami społecznymi, z czego wynikały bezpośrednie i ostre konflikty społeczne. Dzisiaj sprzeczności dotyczą ról. Gdy każda osoba jest rozdarta między oburzeniem na podatki a nadzieją na zwrot kosztów leczenia kataru dziecka, jest to konflikt łatwiejszy do opanowania aniżeli konflikt społeczny. Pracownik płacący składki na fundusz emerytalny, które wydają mu się nadmierne, nie może zapominać, że pewnego dnia przejdzie na emeryturę. Sprzeczność interesów zmienia swój charakter wraz z różnymi etapami życia tej samej osoby. Z sobą samym musimy negocjować.

ARKA KRAKÓW

■ Niezależne pismo redagowane w Polsce poza cenzurą, ukazujące się jako kwartalnik od 1983 roku. Nagrodzone honorową nagrodą Komitetu Kultury Niezależnej.

||||| ARKA wybór 10 - 12 |||||

■ W wyborze m.in.: szkice poświęcone twórczości Józefa MACKIEWICZA, Jarosława Marka RYMKIEWICZA, Gustawa HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO, Leopolda TYRMANDA, Milana KUNDERY; fragmenty ankiety o nacjonalizmie, eseje o Józefie PIŁSUDSKIM, Józefie BECKU, a także - poezja i proza, dokumenty i recenzje.

■ ARKĘ można nabyć zwracając się do wydawcy: AKTIS, 42, av. de Wagram, 75008 Paris, Francja lub do przedstawiciela pisma: Wojciech Sikora, 5, rue Dorian, 75012 Paris.

Str 208 cena egzemplarza wraz z przesyłką: 70FF, 10\$US
ISBN 2-906354-00-7 poczta lotnicza.. 82FF, 12\$US

■ Należności prosimy przysyłać na adres wydawcy międzynarodowym przekazem pocztowym, czekiem lub Money Order wystawionym na konto pocztowe: AKTIS CCPA 2498046 Y.

ostoja władzy

Paweł Kuczyński

PRAWIE CHAŁWA

**Fikcja, pozór i milczenie
w propagandzie państwa komunistycznego**

Niezależne badania nad propagandą państwową nabrały w Polsce rozmachu na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych¹. Świadczy to, jak sądzę, o współwystępowaniu dwóch zjawisk. Po pierwsze – został wreszcie zamknięty okres „złudzeń ideologicznych”. Badacze niemal powszechnie porzucili bezowocne próby rewidowania i udoskonalania ideologii komunistycznej. Powstały w ten sposób dystans pozwolił dojrzeć w ideologii narzędzie celowego i systematycznego upowszechniania pewnych nastawień i przekonań. Zamiast oceniać „prawdziwość” czy „słuszność” ideologii, zaczęto opisywać sposoby – skuteczne lub nieskuteczne – posługiwania się tym narzędziem. Po drugie – podjęcie zadania obrony przed „szumem propagandowym” wynikało też ze zmian w świecie propagandy komunistycznej, z dokonującego się w nim „postępu technicznego”. Sprawni propagandyści zaczęli wypierać ideologów, co zwiększyło pole rażenia środków masowego przekazu.

Propaganda państwa komunistycznego służy instytucjonalizacji przemocy. Stwierdzenie to jest mniej banalne, gdy zauważymy, że sama w sobie jest ona formą niejawną przemocy, posługującej się specyficznym, czysto symbolicznym medium. Przedmiotem ataku propagandy jest myślenie.

W Polsce pierwszej połowy lat osiemdziesiątych obok „nowego” prawa, które jest naprędce wprowadzane od 13 grudnia 1981 roku, drugim, nie mniej ważnym mechanizmem instytucjonalizowania przemocy jest „nowa” propaganda. Jej powołaniem jest spełnienie roli handlarza-pośrednika; partia-państwo jako mocodawca stawia propagandę przed niewykonalnym, na pierwszy rzut oka, zadaniem upłynnienia ideologii, na którą nie ma zbytu. Przy tym interes własny środowisk propagandzistów polega na tym, aby „zachować wiarygodność”. Propagandyści żyją więc pomiędzy młotem kłamstwa a kowadłem prawdy.

George Orwell w jednym z felietonów z 1944 roku pisał: „Najgorszą rzeczą w totalitaryzmie nie jest to, że popełnia «okropności», ale że atakuje pojęcie prawdy obiektywnej: chce kontrolować zarówno przeszłość, jak i przyszłość”². Aczkolwiek pojęcie obiektywnej prawdy sprawia dzisiaj filozofom nie mniej trudności niż dawniej, to zwolennicy odmiennych koncepcji prawdy zgadzają się w jednym: jeżeli prawda jest osiągalna, to jest jedna. Znalazł się jednak sposób, aby podważyć niepisaną umowę, jaka umożliwiała prowadzenie sporu. Lenin nie tyle sposób ten wynalazł, co się nim posłużył. Kwestie te wnikliwie analizował Alain Besançon³. Czy Lenina można posądzać o makiawelizm? Uzasadniając odpowiedź przeczącą, Besançon stwierdza, że doktryna autora *Księcia* opiera się na monizmie ontologicznym. Z kolei doktryna autora *Co robić* zbudowana jest na ontologicznym dualizmie, w którym odrzuca się *implicite* regułę niesprzeczności jako zasadę logicznego myślenia.

Monizm ontologiczny Machiavellego zasadza się na kategorii prawdy i fałszu, z których władca czynić może dowolny użytek. Imperatyw skuteczności, pragmatyzm władzy zezwala na posługiwanie się kłamstwem dla dobra republiki. Opozycji prawdy i fałszu odpowiada w praktyce sprawowania władzy „spozycja sekretu i tego, co ujawnione. Dostępny nielicznym sąd prawdziwy może w pewnych okolicznościach zostać publicznie zastąpiony swoim zaprzeczeniem. Oszustwo jest tu świadome siebie, jest kunsztem lub, w dzisiejszym języku, możliwą do doskonalenia techniką manipulowania zachowaniem zbiorowym.

Przyjmując za Besançonem kategorię leninowskiego dualizmu ontologicznego, posłużymy się nią nieco inaczej, niż proponuje

autor. Nie wydaje mi się słuszne stosowanie kategorii prawda-falsz w wewnętrznej rekonstrukcji dualizmu ontologicznego. Lepiej zastąpić je opozycją: gorsza-lepsza prawda, albo, trawstując Orwella, „prawdziwsza prawda”. Nie koliduje to z większą częścią wykładu Besançon: „Nie ma rzeczywistości wspólnej. Są dwie prawdy toczące śmiertelną walkę, każda z nich przywiązana obiektywnie do swojego obozu, prawda burżuazyjna dla burżuazji i prawda proletariacka dla proletariatu. Nie ma symetrii, a tym bardziej równouprawnienia pomiędzy nimi”. Dodajmy: możliwość przekładu jednej na drugą istnieje tylko w jedną stronę, co zarówno eliminuje jakąkolwiek dyskusję pomiędzy obozami, jak i, w dużym stopniu wskutek tego właśnie, z góry rozstrzyga o tym, która prawda jest lepsza. Tym samym nie chodzi o to, aby prawdy dociekać. Jest to bezcelowe, w jakiegokolwiek formie miałyby się odbywać (publicznej dyskusji czy badań naukowych), albowiem prawda jest dana, inaczej mówiąc: powierzona. Chodzi tylko o to, aby depozytariusze prawdy umieli ją *wystawić* lub też dać jej *wyraz* w swoich działaniach. „Praca dokonująca się w partii – pisze Besançon – ma z jednej strony manifestować w wyrafinowanej formie prawdę proletariacką, a z drugiej, eliminować w każdym działaczu – poprzez edukację, wyjaśnienie, krytykę, samokrytykę (wolałbym określenie «czorzyczymy» – P.K.) – pozostałości prawdy burżuazyjnej. Dobre wykonanie tej pracy gwarantuje, że świadomość oczyszczona w ten sposób nie jest dłużej zdana na wybór pomiędzy stwierdzoną przez nią prawdą a fałszem, już oddestylowanym. Działalność intelektualna sprowadza się zatem do ujednolicenia języka, przy pomocy którego prawda jest wyrażana. Komunista nie myli się o tyle, o ile jego język przystaje do jednej z dwóch pozostających w konflikcie rzeczywistości: do rzeczywistości proletariackiej”⁴.

Powiedzieliśmy na wstępie, że przedmiotem naszych rozważań nie jest ideologia, lecz propaganda. Tę pierwszą uznajemy tutaj za daną. Nie interesują nas tym samym kolejne zastępy jej zwolenników, których pojawianie się i znikanie jest samo w sobie ciekawym tematem. Będąc świadkami kryzysu ideologii komunistycznej, nie możemy wyciągać pochopnych wniosków na temat kryzysu komunistycznego systemu sprawowania władzy, o

ile zgadzamy się, że techniki propagandowe wypierają idee. W takim sensie użyteczność rozważań Besançona o państwie ideologicznym jest ograniczona. Właściwe pole analizy znajduje się, moim zdaniem, pomiędzy Machiavellim a Leninem. Można postawić pytanie: jakie możliwości manipulacji symbolicznej tkwią w zasadzie dualizmu ontologicznego? Lub inaczej: jakie granice wyznacza propagandzie idea dwóch rzeczywistości? Odpowiedź jest prosta: praktycznie nieograniczone, dopóki zawieszono jest pojęcie prawdy obiektywnej. Zanim przejdziemy do uzasadnienia tej tezy, winniśmy jeszcze uwzględnić możliwy zarzut, że propaganda w społeczeństwach demokracji parlamentarnej w gruncie rzeczy nie różni się, jeżeli idzie o stopień bezkarności, od propagandy w systemach komunistycznych.

Z pewnością, funkcją każdej propagandy jest zniewolenie. Po cóż by innego miała istnieć? Czemu miałyby służyć „systematyczne rozpowszechnianie” przekonań lub informacji, jeśli nie temu, by pokierować ludźmi wbrew lub niezależnie od indywidualnej woli każdej jednostki z osobna? Wszelka propaganda odwołuje się więc w mniejszym lub większym stopniu do mistyfikacji, kłamstwa, przemilczenia, etc. Zasadniczą jednak sprawą jest wiarygodność rozpowszechnianych treści. Pluralizm i daleko posunięta konkurencja cechujące środki masowego przekazu w demokracjach zachodnich wymuszają pewien styl ich funkcjonowania: jest nim taki stopień weryfikowalności rozpowszechnianych treści, aby, przy uwzględnieniu interesów partykularnych (nadawców i odbiorców), być „jak najbliższej prawdy”. Przeciwna, choć nie mniej skuteczna zasada propagandy leży u podstaw działania centralnego systemu masowej komunikacji, który w decydującym stopniu podlega kontroli państwa-partii. Modus propagandy państwa komunistycznego opiera się na zasadzie nieweryfikowalności, niemożności określenia stosunku pomiędzy upowszechnianymi treściami a prawdą. Propagandzie pluralistycznego ładu społecznego patronuje Machiavelli, gdy ideologicznej propagandzie ładu monocentrycznego patronuje Wielki Inkwizytor⁵. Są to oczywiście tylko modele, o czym się przekonamy dalej, jednak różni je to, że w pierwszym wypadku chodzi o *uniknięcie zarzutu kłamstwa*, w drugim zaś o *uniknięcie pytania o prawdę*.

Ostatnia zasada opisuje fenomen czystej propagandy ideologicznej, dla której ukuto określenie „drewniany język”, „nowomowa”. Jest to propaganda hasel, sloganów, okrzyków. Wznosi się ona ponad poziom uzasadnienia, zastępując kryterium prawdy – koncepcją *prawdziwsza prawda*. Nie jest to pojęcie równoznaczne określeniu „bycia bliżej prawdy”, jakim przywykliśmy posługiwać się, przyznając na przykład jednemu z dyskutantów przewagę racji. O różnicy decyduje jeden kierunek przechodności argumentów właściwy dualizmowi ontologicznemu. Propaganda ideologiczna tworzy zatem możliwość osobliwego uniwersum symbolicznego jako miejsca dla wypowiedzi „poza prawdą i fałszem”. Komentując ostatnią z trzech wskazanych przez siebie funkcji tekstów polityczno-propagandowych, J. Bralczyk, polski badacz prasy, stwierdza: „Ta ostatnia funkcja jest szczególnie interesująca, prowadzi ona bowiem do *sui generis* kreacji świata, świata pozornego, wręcz jawnie pozornego, ale takiego, którego reguły są dla obywatela obligujące. Główną cechą zdań o tym świecie, cechą wynikającą zresztą z jego pozorności, jest ich aweryfikowalność. Zdania o pseudorzeczywistości już jako takie weryfikacji czy falsyfikacji podlegać nie mogą, tak jak zdania fikcji literackiej. Ale proces odchodzenia od prawdy i fałszu jest tu znacznie głębszy”⁶.

W naszej analizie kładziemy nacisk na fakt, że propaganda, stojąc na straży ideologii czy fikcji, ma za zadanie minimalizowanie dystansu, jaki ją dzieli od świadomości społecznej. Wytwarzanie świata pozornego, zastępczego jest wynikiem widzenia rzeczywistości poprzez pryzmat fikcji. W analizie Bralczyka brak jest ważnego dla nas rozróżnienia fikcji i pozorów, albowiem operuje on kryterium weryfikacji lub falsyfikacji zdań, a więc przypisywania im wartości logicznej. Oczywiście, zarówno „zdania o pseudorzeczywistości” jak i „zdania fikcji literackiej” podzielać mają cechę nieweryfikowalności, stąd w analizie prasoznawcy mogą należeć do jednej klasy. Umyka jednak w ten sposób różnica między tekstami o fikcji ideologicznej utopii a propagandą pseudorzeczywistości ukazującą tu i teraz w sposób jeśli nie znoszący, to oddalający pytanie o prawdę. Fikcja czy też utopia (zawarta w ideologii) nie dają się weryfikować, gdy propaganda pozorów ma na celu dezorientację i oddalenie pytania o prawdziwość przekazu.

Analiza „technologii manipulacji” polskiej prasy codziennej w lipcu i sierpniu 1980 roku dostarcza interesującego przykładu. Autor opracowania na ten temat pokazuje dwa etapy ówczesnego działania propagandy. W pierwszym broniono „wizji” na zasadzie przemilczania rzeczywistej sytuacji w kraju. Taka „tatyka blokowania wszystkiego, co wizji zagraża, była stosowana przez blisko trzy tygodnie lipca. Do 19 lipca 1980 roku nie ukazały się żadne informacje o jakichkolwiek strajkach, ani o złym stanie gospodarki”⁷.

W drugim etapie działania propagandy, gdy milczenie było nie do utrzymania, stopniowo dopuszczano do powszechnego obiegu kolejno informacje: „... 1) o fakcie wystąpienia społecznego sprzeciwu, potem 2) o jego zasięgu, potem 3) o jego treści (treści postulatów strajkowych), potem 4) o formach organizacyjnych, jakie ten sprzeciw przyjmuje. Stosowana była więc zasada – pisze dalej autor opracowania – stopniowego rezygnowania z całkowitej obrony przed elementami mniej groźnymi dla wizji i koncentrowania się na obronie tych, które wizję kwestionowały w bardziej zasadniczy sposób”.

Cytowany wyżej H. Banaszak posługuje się określeniem „wizja”, które daje się ująć jako wypadkowa fikcji i widzenia. Propaganda potwierdza w ten sposób przyznane jej w naszym modelu miejsce: *po między fikcją a świadomością społeczną*. Efektem tak rozumianej propagandy, gdy jest skuteczna, jest wbudowywanie w życie społeczne *pozoru*. Jeżeli propaganda kłamliwa depte prawdę, a propaganda fikcji (ideologiczna) jest od niej uwolniona, to propaganda *pozoru* jawnie ją lekceważy. Należy się zgodzić z celną uwagą J. Bralczyka o szczególnych skutkach dla odbiorców imperatywności tekstów polityczno-propagandowych szerzących *pozór*: „Jawne lekceważenie i prawdy, i bezpośredniej funkcjonalności tekstu świadczy w pewien sposób o sile, której trzeba ulegać”⁸.

Pisałem już, że propaganda w komunistycznym systemie panowania jest formą zinstytucjonalizowanej przemocy. Powyższe uwagi mają stanowić zbiór argumentów na rzecz tej tezy opisującej modus propagandy. I choć nie mamy obecnie do czynienia z czystą propagandą ideologiczną, problem związków jawnej przemocy, jako niezbywalnej cechy systemu panowania, z jej

zinstytucjonalizowaną w postaci propagandy formą pozostaje ważnym tematem refleksji.

Pewne kroki interpretacyjne dla ujawnienia tego związku zostały już poczynione. Partykularnym interesem grupowym propagandzistów jest obrona wiarygodności; jawne kłamstwo w propagandzie jest zawsze rozwiązaniem ostatecznym. Można mówić i pisać o przemocy tak, aby być jak najbliżej prawdy, można też tak, aby nie dało się tego stwierdzić. Jednakże propaganda partyjno-państwowa znajduje się czasem w sytuacji, gdy przemoc staje się głównym środkiem sprawowania władzy. Symbiotyczny związek z władzą nakazuje dochowanie jej wierności również wtedy, gdy trzeba sięgnąć po środek ostateczny, czyli kłamstwo. Zanim to jednak nastąpi, można jeszcze odwołać się do milczenia. Białe plamy na mapie propagowanych treści – strefy ciszy – obejmują te pola, gdzie przemoc partii-państwa jest zbyt trudna do wyretuszowania. Również i te, które dotyczą samej propagandy.

W takich społeczeństwach jak polskie, które niejednokrotnie przeszły już cykl: otwarty konflikt społeczny – tłumienie – stabilizacja, propaganda zdołała wypracować dla siebie optymalny modus operandi. Jej działanie opiera się na zasadzie: jak najmniej kłamać i jak najrzadziej powtarzać martwe hasła, które mobilizują coraz szczuplejszą rzeszę wiernych. Dbać o jakieś pozory wiarygodności. Oczywiście taki modus operandi powoduje, że pracownicy aparatu propagandowego nie mogą odwoływać się do kryterium prawdomówności jako głównej składowej samooceny. Czym w takim razie może być „dobra” propaganda? Jedyne kryterium, jakie pozostaje po wyeliminowaniu prawdy, może mieć li tylko charakter techniczny. Dobra propaganda to *propaganda sprawna i skuteczna*. Taka może być, gdy uwolni się do pewnego stopnia zarówno od grzechu fikcji, jak i od prawdomówności. Wytworzenie świata „zabezpieczającego” interesy producentów wizji polega na jak najdalszym rozciąganiu kontroli świadomości społecznej, aby w granicznym przypadku zastąpić ją erzacem świadomości. Twórcy propagandowych koncepcji, a także w mniejszym stopniu ich wykonawcy, uzyskują w ten sposób pewną samodzielność we władaniu społeczeństwem. Stwarza to zarzewie konfliktu pomiędzy decydentami a propagandzistami

– historycznych przykładów dostarcza zarówno polski październik 1956, jak i praska wiosna 1968, w których dziennikarze i literaci odegrali znaczącą rolę.

W ekipie rządzącej Polską w latach osiemdziesiątych ideologów zastąpili wojskowi i „ludzie pióra” (byli dziennikarze, byli literaci i byli naukowcy). Daleko ważniejsze dla potwierdzenia tezy o propagandzie jako zinstytucjonalizowanej przemocy jest wykrzyk tego, co zawiera „mowa do ludu”, czyli odpowiedź na proste pytanie: co się mówi?

Odpowiedź najprostsza: nie mówi się nic. Jak to się robi: mówić i zarazem nie mówić nic? Przyjmijmy, że mówi się tak, aby nie było wiadomo, co jest czym. Nie można mówić inaczej, mówiąc do społeczeństwa, które przeżyło, jak to ktoś określił, „święto odnowionego języka” i które, jako jedyną zachowaną z czasów „Solidarności” instytucję, ma swoje podziemie wydawnicze. Dzisiejsza „mowa do ludu” zajmuje się więc drobiazgami, nieistotnymi szczegółami, ornamentyką, dekoracją. Uzupełnia ją „nowa” telewizja „dla zabicia czasu”, czyli na przykład tasiemcowe, Izawe seriale. Mówi się wszakże i o sprawach ogólnych: o tym, co dotyczy całego społeczeństwa. Zamiast powtarzać to, co wszyscy mogą usłyszeć, jeśli tylko zechcą, przytoczę pewną historię.

Ktoś mi opowiadał, że chodząc po bazarze Różyckiego ujrzał na ladzie straganu zastanawiającą kupę bezkształtnej masy o nieokreślonym kolorze. Już miał zapytać sprzedawcę o to coś, gdy dostrzegł niewielką karteczkę. Pochylił się i odczytał napis: „prawie chałwa”.

Aby zidentyfikować ów byt, który chałwą z całą pewnością nie był, odwołajmy się najpierw do sensu znanych i używanych terminów: „namiastka”, „surogat” i „erzac”, z których pierwszy ma rodowód rodzimy, drugi łaciński (*surrogatus*, czyli powołany zamiast kogoś innego), a trzeci niemiecki (erzac, czyli zastępcstwo); są to terminy desygnujące wytwory zastępcze. Przy pomocy tych trzech słów mówi się każdorazowo o relacji zastępowania oryginału jego kopią.

Czym jest „prawie chałwa”, która, nie będąc ani chałwą, ani nicchałwą, nie jest jedynie osobliwością bazaru Różyckiego? Ponieważ mamy do czynienia z pewnym towarem, zastanówmy się,

czy ma on swój odpowiednik w gospodarce rynkowej. Otóż wydaje się, że nie. Jest to osobliwy produkt wschodniej gospodarki nierynkowej. Dzięki syntezie chemicznej w gospodarce rynkowej wytwarza się i sprzedaje zarówno margarynę, jak kauczuk syntetyczny, włókno sztuczne czy diament syntetyczny. Ale nikt owego diamentu nie sprzedaje jako naturalnego, chyba że uprawia się ewidentne fałszerstwo. Tak jak w przypadku fałszowania dzieł sztuki. Fałszerstwo takie jest domeną fachowców i opłaca się przy wytwarzaniu przedmiotów rzadkich lub niepowtarzalnych.

We wschodniej gospodarce nierynkowej nikt na razie nie odważył się na masową sprzedaż margaryny jako masła. Istnieje jednak powszechnie używany tłuszcz roślinny, który sprzedawany i nabywany jest pod nazwą „masło roślinne”, a nie margaryna, choć nikt chyba nie ma wątpliwości, że nie jest to produkt mleczny. Pomijając chwilowo kwestię etykiety, warto zauważyć, że nierynkowa gospodarka, która cierpi na chroniczną nieefektywność, jest „gospodarką niedoborów”. Określenie to nie oznacza jedynie, że „ciągle czegoś brak”, ale że wszystko daje się wytłumaczyć czy uzasadnić brakiem. Na przykład brak jest domów mieszkalnych, bo brak jest surowców (dawniej) lub rąk do pracy (dzisiaj). Pojęcie „braku” jest załącznikiem consensusu tworzącego rzeszę „współgospodarzy”. Marzeniem wszystkich jest „brak braku”. To nierealne marzenie realistycznie myślącego społeczeństwa daje podstawę zgodzie na wypełnianie czekoladowej luki produktami „czekoladopodobnymi”. Jest to towar: „prawie czekolada”. Dramatyczne poszukiwania miłośnika czekolady są łatwiejsze do zniesienia, gdy wierzy się, że produkty „czekoladopodobne” są etapem przejściowym, może nawet koniecznym etapem, którego długość trwania jest nieodgadniona, wszak pewne jest, że „kiedyś się skończy, kiedyś będzie lepiej”.

Większość konsumentów w systemie komunistycznym, choćby nie znała smaku chałwy, zgodzi się zapewne, że „bycie chałwą” jest cechą niestopniową. Coś jest chałwą albo nie. Chałwą nie może być coś bardziej lub mniej. Myślenie takie, z pewnością logiczne, nie koliduje zresztą z codziennym doświadczeniem konsumentów. Mieszkanie albo się ma, albo nie, aczkolwiek mieszkania zwykle różnią się między sobą wielkością i komfor-

tem. Na obiad albo się jada mięso, albo nie, choć gatunków i sposobów przyrządzania go jest bez liku. Co jest więc warunkiem zgody na „niemał masło” czy „prawie chałwę”? Jest nim, wydaje się, popyt na złudzenia z donieszką geopolitycznego „realizmu”.

Popyt jest tym łatwiejszy do zaspokojenia, im trudniej jest stwierdzić (na przykład organoleptycznie): co jest co? Łudzenie i uleganie mu (por. „ludzić się”, „dać się zwieść pozorom”) wymaga współdziałania mistrzów iluzji i publiczności. Nie jest w tym sensie zjawiskiem nowym. Jest jednak z pewnością wynalazkiem możliwym do udoskonalania, przydatnym w sterowaniu życiem społeczeństwa masowego. Utrwalanie panowania pozoru zależy w jakimś stopniu od liczby ludzonych osób (nietrudno pozosłużyć się tu wzorcem epidemii). Jest to wymarzona dziedzina dla monopolu sterującego świadomością społeczną. Im dalej sięga epidemia, tym bardziej skuteczny jest monopol.

Propagandziści „nowej” generacji próbują władzę pozoru rozciągnąć nie tylko na obszar panowania języka, przy pomocy którego mówi się o niczym. Siegają dalej, pozorując sytuacje społeczne „mówienia o czymś”, „rozmowy”, „dyskusji”. Polska lat osiemdziesiątych jest krajem, gdzie „przemówienia” (klasyczna „mowa do ludu”) zostały wyparte przez niby-wypowiedzi, niby-dyskusje, czyli niby-mowę ludu. „Wypowiedź” robotnika w telewizji, będąca odwzorowaniem języka propagandy, zaświadcza o skuteczności propagandy i uwierzytelnia ją w opiniodawczych kręgach decydeńców.

Nie można ignorować siły rażenia propagandy, która jest erzacem opinii publicznej i o tyle, o ile nie napotyka oporu alternatywnych obiegów informacji, kształtuje styl wypowiedzi publicznej. Jej ofiarami są ludzie, którym propaganda *pomaga w mówieniu*, aczkolwiek „swoje myślą”. Zwykły człowiek postawiony w opresyjnej sytuacji wypowiedzi publicznej będzie mówił tym-co-ma-pod-ręką. A jest to orzecież docierający ze wszystkich stron monotonna i systematycznie język gazety, radia i telewizji – będących różnymi organami tego samego państwa⁹. Pewnego przykładu dostarczają tu badania przeprowadzone w środowiskach robotniczych Lublina i Warszawy w latach 1983-1984¹⁰. Zwracając się do badanych z prośbą o uzupełnienie

kilkunastu nie dokończonych zdań, wybranych z tekstów propagandowych, uzyskano kilkaset wypowiedzi, których margines swobody wobec wdrukowanych z zewnątrz matryc okazał się minimalny.

Nie należy wyciągać żadnych wniosków na temat *myślenia* robotników z faktu, że na przykład w Warszawie „modalną wypowiedzią” była: „Socjalizm w Polsce jest dziś... wypaczony”, a w Lublinie: „Socjalizm w Polsce jest dziś... potrzebny”. Obydwa zdania należą do tych, które najczęściej „daje się słyszeć”. Faktem jest, że podobnie rozwinięte zdania pozwalają mówić o skuteczności propagandy w wykształcaniu nawyków językowych. W wypowiedziach generowanych przy pomocy nie dokończonego zdania „socjalizm w Polsce jest dziś...” nie znalazło się miejsce na opis „tego czegoś”. Odpowiada to językowi propagandy, który podkreśla „bycie socjalizmu”, nie wdając się w rozważania, czym jest to-coś-co-jest. Robotnicy kończący zdanie nie mogli zakwestionować ani ocenić wizji świata propagowanej pod hasłem „socjalizm”, dystansując się wobec „tego-czegoś” w sposób narzucony przez język: *tego* „nie ma”, „nie będzie”, „nie jest dobre”. Dyskurs o socjalizmie ukształtowany w ten sposób wyodrębnia jedynie zwolenników i przeciwników, a nie na przykład obrońców i krytyków. Degradacja pojęcia socjalizmu oznacza, że przestało ono być przydatne w komunikacji jako systemie porozumiewania się. O tyle oczywiście, o ile przez ten ostatni rozumiemy coś więcej niż na przykład proces naznaczania (*labelling*). Mamy więc paradoksalną sytuację, gdy mówienie-o-niczym ma daleko idące konsekwencje społeczne, w zależności od tego, *jak się mówi o niczym*. Pewnego przykładu może dostarczać reakcja propagandy prasowej na zawartość uchwał podjętych na Zjeździe „Solidarności” w 1981 roku. Zarzut postawiony obradującym wówczas delegatom był prosty: ani razu nie użyto słowa „socjalizm”.

Jak widać, zaczarowane słowo „socjalizm” kreuje nadrzeczywistość, która jedynie dla zwolenników „monizmu ontologicznego” jest czymś innym, niż to co jest¹¹. Odrzucenie monizmu ontologicznego otwiera przed „myśleniem” praktycznie nieograniczone możliwości. Posłużymy się, by dać inny przykład, pojęciem demokracji.

Każdy uczeń w Polsce wie, że u podstaw ideologii komunistycznej tkwi zasada dyktatury proletariatu. Nie każdy uczeń jednocześnie jest przekonany o tym, że dyktatura (obojętnie jaka) jest przeciwieństwem demokracji. Propaganda państwowo-partyjna swobodnie oscyluje pomiędzy pojęciem dyktatury (proletariatu, czyli lepszej) a pojęciem demokracji (socjalistycznej, czyli również lepszej). Ta prawdziwsza prawda pozwala na budowanie takiej wizji świata, na gruncie której można równocześnie odpierać krytykę dwojakiego rodzaju. Jeżeli nawet „tu biją i tam biją” (tam bije np. policja Margaret Thatcher, a tu milicja), to dyktatura proletariatu jest lepsza, bo bije w interesie ludu. Z drugiej strony utrzymuje się, że demokracje zachodnie znajdują się w stanie kryzysu i dryfują w kierunku państw policyjnych, czemu sprzyjać mają „rządy prawicy”. Tymczasem demokracja ludowa (czysty pleonazm) lub demokracja socjalistyczna jest tylko niezbędną fazą rozwoju społeczeństw budujących socjalizm. Wynika stąd, że nie ma żadnych racji ku temu, aby kurczowo trzymać się przeżytku, jakim jest demokracja, dysponując wizją wykroczenia poza nią.

Czyż demokracja socjalistyczna, w której mieści się zarówno pozór demokracji, jak i dyktatura, nie jest znakomitym punktem, wokół którego budować można porozumienie narodowe? Ten „trzeci świat” godzi nie tylko w twardogłowych i liberalistów z obozu władzy, ale także zyskuje aprobatę szerokich odłamów społeczeństwa popadającego w uzależnienie od „prawie chałwy”.

Kończąc te rozważania, chciałbym jeszcze chwilę poświęcić współtwórcom i zwolennikom „demokracji socjalistycznej”. Jaki jest wachlarz postaw i możliwych ról społecznych w przestrzeni, w jakiej się poruszają? U szczytu struktury społecznej środowiska propagandzistów stoją iluzjoniści; jej niższe szczeble zaludniają pozerzy. Pozera spotykamy wszędzie. Można upozować się na światowca, naukowca, rewolucjonistę, polityka, posła. Badania szczegółowe zostawmy ludziom bardziej cierpliwym.

Mistrz iluzji jest świadomy swojego *fachu*, pozer zaś nie wie, że pozuje. Nawet skończony oszust ma chwilę, kiedy kończy „pracę” i rozstaje się z przyjętą rolą. Pozer, przeciwnie, nigdy nie przestaje grać, nawet przed sobą samym. Gdyby się okazało, że oszukuje siebie i innych, miałby straszliwe skrupuły moralne.

Mistrzowie iluzji to przedstawiciele świata chłodnej kalkulacji, którzy kiedyś wyzwolili się z pozerstwa za cenę odrzucenia balastu tożsamości. Nie każdy pozer staje się w końcu mistrzem iluzji. Awans w ramach struktury społecznej, o której mowa, dostępny jest pozerom o pewnej dozie samokrytycyzmu; nazwijmy ich iluzjonistami *in spe*.

W języku metafory teatralnej Ervina Goffmana iluzjonista i pozer znają dobrze reguły gry aktorskiej. Świat pozera w całości jest sceną pozbawioną kulis. Toteż brak mu dystansu do samego siebie; „gra całym sobą”, jego tożsamość jest nierozdzielnie związana z kostiumem, który przywdział. O ile iluzjoniście towarzyszy lęk przed odsłonięciem się, tak pozerowi właściwy jest w sytuacjach nieprzewidzianych „nieokreślony niepokój”, „lęk przed nieznanym”. Iluzjonista *in spe* potrafi zlokalizować źródło tego niepokoju w reakcji publiczności. Stopniowo nabywa umiejętności kontroli, uczy się, jak wyłączyć widownię traktowaną jako pewne urządzenie: rezonator czy amplifikator. Inni odbijają, odsyłają mu obraz, który go urzeka, o ile staje się sprawnym reżyserem panującym nad widownią traktowaną jako zbiorowiśko statystów. „Oddanie sprawie” jako właściwość postawy zaangażowania ideologicznego oznacza oddanie siebie. Stawką w grze staje się własna tożsamość. Gra iluzjonisty *in spe* polega na tym, aby stawkę uczynić przedmiotem kontroli; od tego zależy skuteczność własnego działania i własna kariera.

W „demokracji socjalistycznej” pozór emituje światło odbite. Dzięki temu dla jednych „demokracja socjalistyczna” jest prawie demokracją, gdy dla drugich jest prawie socjalizmem. Niestety również poza polityką i propagandą działają mechanizmy reprodukcji „trzeciego świata”. Decyduje o tym historyczna sytuacja społeczeństwa, które jest zablokowane i jednocześnie rozmarzone. W sytuacji łączącej w sobie popyt na złudzenia i „geopolityczny realizm” osobliwie socjalistyczny styl życia polega na gromadzeniu wtórnych znamion przynależności do „prawdziwego świata”, to jest świata kultury Zachodu. Świat ten wyziera ze wszystkich wytworów kultury masowej, przypomina o sobie w filmie, publicystyce i literaturze. Można go dostrzec nawet w oddziałach ZOMO noszących palki niczym colty w olstrach.

„Trzeci świat”, przypomnijmy, nie jest światem zastanym, nie jest też światem zwiastowanym. Jest to świat pozorów, którym nie rządzi ani zasada monizmu, ani też zasada dualizmu ontologicznego. Ani to, co jest, ani to, co ma być. Uznanie pierwszego mogłoby okazać się dramatycznym odkryciem, a odrzucenie drugiego – dramatycznym rozstaniem. Pozór w życiu społecznym, utrwalony przez „nową” propagandę, korzysta z pustego miejsca, jakie zostawia po sobie abdykująca ideologia. Miejsca nie wypełnionego jeszcze przez odpowiedź na pytanie: co jest?, ale powstałego z pragnienia prawdy. Pytanie o prawdę brzmi inaczej na uniwersytecie, w Kościele i w zakładowych gazetkach „Solidarności”. W różnym stopniu ubywa mu patosu, a przybywa na konkretności, pozostaje wskazać tym samym pytaniem.

Paweł Kuczyński

PRZYPISY

¹ Zainteresowanie propagandą komunistyczną i nowo-mową znalazło wyraz w interdyscyplinarnych sesjach organizowanych bez licencji oficjalnej. Materiały z tych sesji wydano poza zasięgiem cenzury. Por. *Język propagandy*, NOWA, Warszawa 1979, oraz *Nowo-mowa*, Polonia, Londyn, 1985. Poza wydawnictwami podziemnymi w Polsce sprawie tej sporo uwagi poświęcał *Aneks* (np. blok artykułów pod ogólnym tytułem *Język totalitarny*, nr 21, 1979). Jeden z ostatnich przykładów publikacji polskich autorów w czasopiśmie emigracyjnym: Piotr Buczkowski: „Ład społeczny, konflikt, propaganda”, *Kontakt*, nr 4, 1986. Nie wspomina tu o badaniach socjologicznych, którym poświęcam więcej uwagi w samym tekście.

² Tematowi temu Orwell jest wierny. 19.06.1941 pisał w *Listener*: „Cechą charakterystyczną państwa totalitarnego jest, że mimo iż kontroluje myśli, nie ustala ich raz na zawsze. Ustanawia dogmaty, a potem zmienia je z dnia na dzień. Dogmaty są mu nieodzowne, ponieważ żąda od swoich podwładnych bezapelacyjnego posłuszeństwa, nie może jednak uniknąć zmian, tych bowiem wymaga interes władzy. Stwierdza, że jest nieomylny, a jednocześnie atakuje pojęcie prawdy obiektywnej”.

³ Por. Alain Besançon, *Les origines intellectuelles du leninisme*, Calmann-Levy, Paryż, 1977, ss. 253-258.

⁴ *Ibidem*, ss. 253-254.

⁵ Tym zapożyczonym od Dostojewskiego określeniam posługuje się Józef Tischner: „właściwie mowa Wielkiego Inkwizytora nie zawiera wielu grózb, na pierwszy plan wysuwają się w niej same obietnice”. Por. „Człowiek zniewolony i sprawa wolności (Hegel-Dostojewski-Descartes)”, *Znak* 319/320, 1981.

⁶ Por. J. Bralczyk, „Poza prawdą i fałszem”, *Teksty* 6 (60), 1981, s. 122.

⁷ H. Banaszak, „Technologia manipulacji. Polska prasa codzienna: lipiec – sierpień 1980” w zbiorze *Polacy — jesień 80*, Uniwersytet Warszawski 1983, t. II, s. 474.

⁸ J. Bralczyk, *op. cit.*, s. 123.

⁹ *Życie Warszawy* (z dn. 31.08 – 1.09.1985) pod triumfalnym tytułem: „Z badań CBOS. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza – w kulturze. 95% ogląda telewizję(...)” doniosło, że seriale i filmy fabularne ogląda 95% robotników, dziennik telewizyjny – 90%, a transmisje sportowe – 82%.

¹⁰ Badania te przeprowadzono w Zakładzie Socjologii Pracy i Organizacji, w Instytucie Socjologii UW. W badaniu ankietowym, którym objęto przeszło 500 robotników z jednego przedsiębiorstwa w Lublinie i czterech w Warszawie, posłużyliśmy się „nie dokończonymi zdaniem propagandowymi” prosząc badanych o zakończenie ich zgodnie z własnymi poglądami. Analizę oddziaływań propagandowych w oparciu o te dane przedstawiłem w nie opublikowanym raporcie badawczym: „Robotnicy jako «opinia publiczna» (analiza wypowiedzi w sferze oddziaływań propagandowych)”.

¹¹ Jacek Fedorowicz, publicysta i satyryk, który wiele swojej energii poświęcił nowo-mowie, określił słowo „socjalistyczny” mianem „rzymiotnika „niwelującego”. Dodanie określenia „socjalistyczny” do jakiegokolwiek znanego pojęcia niweluje jego dotychczasowy sens.

NAKŁADEM

ANEKSU

**Irena Grudzińska-Gross i Jan T. Gross (red.)
W CZTERDZIESTYM
NAS MATKO NA SYBIR ZESŁALI...**

Poprzedzony analitycznym wstępem J. T. Grossa wybór relacji dzieci i dorosłych o okupacji sowieckiej i zsyłce w latach 1939-1942, napisanych w Teheranie po wyjściu Armii Andersa z ZSRR.

Str. 508

Cena: £9,50; US\$19,00

Małgorzata Szejnert – Tomasz Zalewski

SZCZECIN

GRUDZIEŃ – SIERPIEŃ – GRUDZIEŃ

Autorzy należą do nielicznych osób z zewnątrz, którym udało się obserwować strajk szczeciński 1980 r. z bliska. Książka nie jest tylko zapisem faktów i zdarzeń – autorzy starali się przede wszystkim dociec przyczyn i mechanizmów społecznego buntu.

Nagroda Kulturalna „Solidarności”

Str. 382

Cena: £ 7,00; \$ 14,00

Maciej Trzcíński

JAK ZROZUMIEĆ KOMUNISTĘ

Szkic etnologiczny

Mniemanie, że w dzisiejszej Polsce cały naród zgodnie od-czuwa niechęć i wstręt do komunistycznego systemu, jest, mówiąc łagodnie, uproszczeniem. Rzeczy to oczywiste i znane. Nie jest jednak już takie oczywiste, jak się dzieje, że władza, która bez-ustannie się kompromituje, nie jest jakoś powszechnie skompro-mitowana, a nieudolny rząd, który działa na szkodę obywateli, może być przez niektórych, wcale licznych, nawet lubiany. By-walcy sklepowych kolejek i dworcowych poczekalni mają nieje-dną okazję, by usłyszeć od przygodnych rozmówców, że „w Pol-sce żyje się teraz lepiej niż kiedykolwiek”, że „stan wojenny przyniósł znakomite efekty”, a „generał Jaruzelski to fajny facet”¹. Mówią to ludzie, którzy czekają z nami w tym samym sklepowym ogonku, albo stoją przyciśnięci do tej samej ściany w korytarzu przepelnionego pociągu.

Spotkania takie, jak częste by nie były, zawsze wywołują zdzi-wienie. Doświadczenie absurdu i nierozumności jest przecież dojmujące. Po zdziwieniu przychodzi oburzenie; odruch każe nam takich ludzi pospiesznie osądzić, a wnioski są zawsze podo-bne: mówią tak, bo są tępi, zakłamani i ślepi; albo dlatego, że nie potrafią logicznie rozumować; albo zwyczajnie – łgają dla jakichś swoich korzyści. Diagnoza to prosta i automatyczna, za-

prawiona często szczerym wstrętem, a może i politowaniem, jakie czuje się dla istot niższego rzędu, pozbawionych rozumu.

Dla etnologa sytuacja to znajoma. W kulturach tradycyjnych taka jest zawsze reakcja na spotkanie z Obcym, z człowiekiem, który przychodzi z zewnątrz, przynosząc jakąś niezrozumiałą inność. Zostaje on oceniony przy pomocy lokalnie przyjętych kryteriów „rozumu” i „dobra”, a więc nieuchronnie uznany za istotę nienormalną, głupią i złą. Gdybyśmy jednak zechcieli uwolnić się na chwilę od odruchu potępienia „nienormalności” i zastanowili się, jaką racjonalność może skrywać jej „czysty nonsens”, znajdziemy się od razu w kręgu tradycyjnych problemów etnologii. „Etnologia to wszak nauka spotkań, to próba zrozumienia «inności innego», jest ona wysiłkiem wykrycia rozumności także i tam, gdzie absurd, bezsens wydają się być oczywiste”². Dyscyplina ta zawsze odnajdowała swoje miejsce w spotkaniach z egzotyką i C. Lévi-Strauss miał powody, by pisać, że „... ludy, które były przedmiotem jej obserwacji, nie mieściły się w żadnym systemie nauk, ze względu na dziwaczność swych obyczajów”³. Pytanie, jakie etnolog chce postawić, patrząc na nadwiślańskich „dzikich”, równie dla niego dziwacznych i egzotycznych, jak ci znad Amazonki, jest proste: jakimi regułami kieruje się myślenie, w którym poparcie dla władzy komunistycznej jest postawą godną człowieka rozumnego i uczciwego?

Wstępnego materiału do poniższych rozważań dostarczyło sześć wywiadów etnograficznych, przeprowadzonych na przełomie lat 1983/84. Informatorzy * nie stanowią oczywiście typowej reprezentacji ani społeczeństwa polskiego, ani żadnej z jego warstw, mają wszakże jedną cechę wspólną, która pozwala traktować ich łącznie: wszyscy wyraźnie deklarują poparcie dla obecnej władzy PRL i utrzymywanego przez nią systemu. Można nazwać ich „sympatykami komunizmu” lub „prokomunistami”, mając w świadomości pełną umowność takich terminów. Wypytani o historię Polski i współczesną sytuację w kraju i na świecie, przedstawiali opinie zadziwiająco zgodne, co pozwala analizować je łącznie, jakby wypowiedział je jeden głos. Ten sam głos dał się słyszeć po grudniu '81 z ust niektórych polskich

* Oznaczeni w artykule literami od (A) do (F), patrz przypis 4.

intelektualistów; ich publikowane teksty pokazują, jak schematy myślenia „prokomunistów” powielają się na nieco głębszym poziomie intelektualnym. Dzięki wywiadowi Teresy Torańskiej z byłymi przywódcami partyjnymi⁶ można prześledzić to samo zjawisko na kolejnym, trzecim poziomie i upewnić się, że ten sam model „egzotycznego” rozumowania obecny jest wśród komunistycznej elity tak samo jak wśród szeregowych „sympatyków władzy”.

„SYMPATYCY”

Sympatyk władzy komunistycznej widzi współczesny świat jako arenę zmagania dwóch złowrogich imperialistycznych mocarstw, USA i ZSRR:

„To jest tak: część świata jest czerwona, część czarna, a część pozostaje biała. Są jeszcze białe plamy i chodzi o ich opanowanie”. (C)

Rozczaruje się ten, kto by oczekiwał, że moi rozmówcy potępiali zdecydowanie USA, pozostawiając pochwały dla polityki Związku Radzieckiego. Mówiono tak:

„I jedna i druga strona zmierza do dominacji nad światem. Chcą podporządkować sobie cały świat, narzucić swój system myślenia i swój sposób prowadzenia polityki. Metody obu stron są jednakowe. Różnica polega na tym, że Stany Zjednoczone mówią o tym otwarcie, a Związek Radziecki robi to po cichu i utrzymuje nas w nieświadomości”. (A)

Owe jednakowe metody gry politycznej, stosowane przez wielkich antagonistów, to:

„... szachowanie militarne, groźby, agresje i szpiegostwo. Wszystkie ambasady na całym świecie – dodawał sceptycznie informator – mają jeden cel, prowadzenie szpiegostwa”. (A)

Polityka dwóch mocarstw objaśnia się mrocznymi cechami natury ludzkiej:

„... chęć posiadania coraz więcej, wpływania na coraz więcej ludzi, to leży w naturze ludzi, w naturze narodów także. (...) Niezależnie, że będą to ubierać w różne mesjanizmy, w różne takie tam”. (D)

Politykami Stanów Zjednoczonych kierują niskie pobudki, interes ekonomiczny i żądza władzy. Ich taktyka jest następująca:

„Atakujemy, uzyskujemy wpływy, opanowujemy rynek i pieniądze płyną do naszego kraju, zarabiamy”. (C)

Nie zaprzeczano, że Związek Radziecki także realizuje w swojej ekspansji cele gospodarcze, oceniano jednak, że w przeciwieństwie do USA:

„... kieruje się też sprawami ideologicznymi, chodzi o przemiany ustrojowe, o zaszczepienie ustroju ideologicznego”. (C) który to ustrój oceniano raczej pozytywnie. Związek Radziecki chwalony jest jako gwarant europejskiego *status quo*, który może budzić pewne wątpliwości, ale ma dla moich rozmówców jednocześnie wiele zalet:

„Związek Radziecki to czołowy kraj w naszej wspólnocie – mówiono z lekką ironią, ale i z przekonaniem – trzyma krótko wszystkie inne kraje. Przyjemnie, że jest taki kraj, możemy mieć pewność, że oni są uzbrojeni i że nas chronią. Jest to filar systemu. Są różne zakusy, niemieckie na przykład”. (C)

Gdy moi rozmówcy decydowali się na porównanie warunków życia w obu mocarstwach, skłaniali się do ocen, jakich pozornie trudno oczekiwać od sympatyków władzy komunistycznej:

„Bardziej pozytywnie ocenilibym USA. Mimo wszystkich nierówności, dyskryminacji, itd., najbiedniejszy Murzyn ma większe szanse niż ktoś, kto żyje w Związku Radzieckim”. (E)

Ostatni z informatorów, zapytany, czy stwierdzenie to ma ilustrować wyższość systemu zachodniego nad komunistycznym, odparł:

„Nie, skąd. Chodzi o to, że w Związku Radzieckim nie są realizowane leninowskie formy życia partyjnego. Poszczególne ekipy dążą tylko do tego, żeby utrzymać się przy władzy”. (E)

Na to samo pytanie, przewodniczący nowego związku zawodowego odpowiedział:

„Ja nie lubię dyskusji o wyższości kapitalizmu nad socjalizmem. Mnie zawsze uczyli o następstwie faz, o ewolucji, to jest dla mnie bariera myślowa, ja nie wyobrażam sobie

powrotu wstecz, do kapitalizmu. Myślę, że raczej trzeba udoskonalać to nowe, co już jest". (C)

To nowe, które zawitało do nas w 1944 roku, odsłoniło przed Polską wiele obiecujących perspektyw:

..... z kapitalizmem byłibyśmy taką drugą Portugalią Europy, różne spółki korzystałyby z naszej pracy". (E)

Moi rozmówcy wymianiali z przekonaniem osiągnięcia okresu powojennego w Polsce:

..... uprzemysłowienie kraju, reforma rolna, rozwój budownictwa mieszkaniowego, wprowadzenie powszechnie dostępnej oświaty, świadczenia socjalne dla wszystkich" (A), „zniesienie analfabetyzmu, podniesienie poziomu życia na wsi (...), podniesienie poziomu kultury i rozwój kultury" (B), wreszcie nawet „... brak prześladowań religijnych". (E).

Jednakże nowy porządek wiele nadziei zawiódł,

..... ustrój na siłę wtłoczono, zapoczątkowano na siłę ustrój socjalistyczny w 1945 roku, pierwszy okres był bardzo trudny, walczone, zrobiono wiele rzeczy na siłę i przez to, że ten ustrój nam narzucono, a my mamy w mentalności ten sprzeciw, dlatego to nie zafunkcjonowało". (C)

„Same założenia naszego ustroju są szczytne i jak najbardziej pozytywne i fajne – dzielił się swoimi wątpliwościami przewodniczący związku – ale żadne ze społeczeństw w naszym obozie nie doszło do tego, więc ustrój jest utopijny, bo zakłada idealne społeczeństwo. A każdy jest człowiekiem, każdy ma w sobie to garnięcie do siebie". (C)

Zapytałem go: skoro ustrój jest utopijny, to może lepiej zrezygnować z niego?

„Zrezygnować? Ale co zaproponować ludziom w zamian? Ja nie potrafię zaproponować nic lepszego". (C)

Inni traktowali rozmowę o zaletach i wadach nowego ustroju jako bezprzedmiotową, stwierdzając z lekką wyższością, jaka cechuje fatalistów:

„Była to sprawa przesądzona w 1944 roku i trzeba było to zrozumieć; można było w tym zakresie chodzić albo lepiej albo gorzej". (D)

Za najwybitniejszego polityka PRL uznano Władysława Gomułkę, choć nie obyło się bez pewnych wahań:

„... wiele rzeczy go obciąża, zmarnował swoje szanse. Ale zrobił wiele rzeczy pozytywnych: ułożył się z narodem, stopniowo reprzywatyzował rolnictwo, rozwinął własną technikę, oparł przemysł na własnych surowcach, zawarł układ o normalizacji z RFN”. (F)

Jedna z osób wyznała:

„... był to człowiek, który miał w osobowości takie cechy, które są dla mnie imponujące. (...) Fajny facet był. Końcówkę miał kiepską”. (C)

Jako wybitny polityk PRL wymieniany był często także Bolesław Bierut:

„... zjednoczenie partii PPS i PPR to było osiągnięciem” (A)

„Mimo wszystko, ukształtował sejm, konstytucję w miarę demokratyczną, starał się zrobić jak najmniej złego jak na czasy, w których przyszło mu żyć”. (E)

W ogólnym podsumowaniu przeważa potrzeba poszukiwania i podkreślania osiągnięć przedstawicieli nowej władzy:

„Bierut, Gomułka, Gierek, Jaruzelski – każdy z nich miał zalety i zrobił coś dobrego”. (A)

Gdy dla porównania pytałem o ocenę dokonań i o polityków XX-lecia Polski niepodległej, moi rozmówcy wykazywali nieporównanie większą skłonność do krytycyzmu. Owszem, oddawali sprawiedliwość zaletom pierwszej konstytucji, sprawnej integracji ziem trzech zaborów, chwalili wielkie inwestycje przemysłowe i błyskotliwy rozwój kultury, lista zarzutów była jednak nieporównanie dłuższa. Mówiono o braku demokracji, o kastrowości, o nierówności wobec prawa, przypominano biedę niższych warstw społeczeństwa, błędy polityki wobec wsi, na dłużej zatrzymując się przy kardynalnym, zdaniem wszystkich, błędzie Polski międzywojennej – polityce międzynarodowej.

„Błędem politycznym było odcięcie się od sojuszu ze Wschodem i bałwochwalcze zapatrzenie na Zachód. Trzeba było szukać oparcia w sojuszach z państwami ościennymi, ze Związkiem Radzieckim”. (A)

W ocenie kłęski wrześniowej pobrzmiwia zawsze fatalistyczna rezygnacja:

„Nie mogliśmy prowadzić samodzielnej polityki. Byliśmy z góry skazani na przegraną”. (D)

Zakończenie drugiej wojny światowej kojarzone jest przede wszystkim z ustanowieniem nowego ustroju, któremu należy zawdzięczać, że polskie społeczeństwo żyje obecnie dostatniej niż przed wojną:

„Przed wojną żyło się lepiej dwudziestu procentom społeczeństwa. Teraz żyje lepiej niż przed wojną znaczna część społeczeństwa”. (E)

O działaczach opozycji sprzed sierpnia '80 roku moi rozmówcy wyrażali się z jawną wrogością i oburzeniem, przypisując im jak najniższe intencje. Bo też kto i dla jakich celów może sprzeciwiać się systemowi, który ma stosunkowo dużo zalet i, co ważniejsze, potężnego stróża w postaci Związku Radzieckiego? Opozycjoniści zatem

„To grupa ludzi (...), którym się wydaje, że swoją działalnością mogą zmienić ustrój. Są to ludzie, którzy kierują się mrzonkami, to nie są realiści. Nie mają żadnego programu zakrojonego na dłuższą metę. Nie mają żadnego programu polepszenia bytu narodu. Zmienić ustrój było jedynym ich celem, ale co potem? Chcieli skompromitować władzę i obalić ustrój. Chęć władzy kierowała nimi”. (A) „Chcieli rządzić. Poza tym zarobili na tym. Przecież nie pracowali, a mieli z czego żyć. Ktoś im płacił. Myślę, że to była CIA. Jedni drugich poszukali”. (B)

W zestawieniu z tą jednoznaczną niechęcią, oceny „Solidarności” i związanego z nią ruchu społecznego były już bardziej ambivalentne:

„Idea «Solidarności» była piękna...” (A)

„Na początku było to słuszne, bardzo dobre...” (D)

Działania „Solidarności” w ciągu 16 miesięcy jej legalnego istnienia nie zyskały jednak akceptacji moich rozmówców. Oceniali, że cele nowego ruchu zostały wynaturzone:

„Było to skutkiem niskiego poziomu moralnego ludzi, którzy przejęli władzę; zaczęli grać tymi, którzy ich wybrali, a nie dla nich”. (E)

Gdy pytałem o osiągnięcia „Solidarności”, odpowiadano zawsze:

„Wcześniejsze emerytury, wolne soboty, podwyżki bardzo znaczne, wielu ludzi Gierka zostało odsuniętych od władzy”. (A)

„Z innych postulatów nic nie wyszło, były zresztą nierealne”. (D)

Przywódców „Solidarności” oceniano, jeśli nie z wrogością, to przynajmniej z niechęcią i jedynie o Lechu Wałęsie wyrażano się czasem z sympatią:

„Wałęsa to jest facet, który ma talent, ma wycucie, tak zwany chłopski rozum. Jedynie Wałęsy sytuacja nie przerosła”. (D)

„Wałęsa to pajac, nieprzygotowany do kierowania takimi masami ludzi. Nie widzę w nim żadnego przywódcy, żadnego! Wyskoczył na fali, dawało to mu pieniądze i popularność”. (A)

„Rulewski to facet z dewiacjami psychicznymi, natomiast ten, jak mu tam, Bujak, to zadufany w sobie gówniarz”. (E)

Te cytaty dają poznać wrogość, jaką informatorzy czują do ruchu „Solidarności”, skrywaną najczęściej za kilkoma zdawkowymi pochwałami. Przegrana „Solidarności” jest dla nich oczywista i mówią o tym z satysfakcją:

„Pokonanym się nie wybacza, pokonanych się sądzi. Społeczeństwo ich kiedyś osądzi, jak emocje opadną, historia ich też osądzi”. (E)

„Trzeba było stawiać cele realne do osiągnięcia. To uważam za tragedię «Solidarności», bo stawiano cele nie do osiągnięcia”. (D)

„Gdyby «Solidarność» istniała jeszcze dłużej, doszłoby do rzezi, do wojny domowej. Na 17 grudnia zapowiedziana była manifestacja, która mogła przekształcić się w strajk generalny – wtedy wkroczyłby Związek Radziecki i polalaby się krew. Strajk generalny spowodowałby rozróbę, napady na przedstawicieli władzy, rozliczanie się, porachunki; nastąpiłyby samosądy, krew by się polala, napadano by na posterunki milicji, na komitety; doszło by do kompletnego rozprzężenia i do przejęcia władzy przez «Solidarność», Wałęsa zostałby prezydentem, Michnik premierem. Związek Radziecki widząc to wkroczyłby”. (A)

Stan wojenny:

„Nie były to rzeczy, które byłyby korzystne dla kogokolwiek. Nie był korzystny dla gospodarki, odciął nas od kre-

dytów. Ale trzeba zastanowić się, do czego by doszło dalej. Wydaje się, że doszłoby do interwencji sowieckiej. A to byłoby bardzo złe. Patrząc na to z tego punktu widzenia, wprowadzenie stanu wojennego było złem koniecznym". (D)
„Myślę, że w sytuacji, jaka była 13 grudnia, była to absolutna konieczność i ten zabieg nie mógł być mniej krwawy i bolesny niż był. To była cena, jaką należało zapłacić. (...) Gdyby nie wprowadzono stanu wojennego, byłaby kompletna anarchia, ludzie zadawaliby sobie gwałt, poszliby wygarniać komitety, rozbrajać wojsko i milicję. Następnym etapem byłoby wkroczenie „towarzyszy” radzieckich i zrównanie tego wszystkiego z trawą”. (E)

General Jaruzelski, uważany za reżysera stanu wojennego, a zatem za człowieka, który uratował Polskę od tragedii interwencji wojsk radzieckich, zbiera liczne pochwały:

„Jest uczciwy, prawy, jest patriotą, jest bardzo pracowity, dużo wymaga od siebie i od innych, jest skromny, jest człowiekiem o szerokich horyzontach i giętkim umyśle”. (E)

„Oceniam go pozytywnie. Podjął się tego, co świadczy o dużej odwadze cywilnej. Mimo dużych możliwości jakie miał, zastosował minimalne rygory i uciążliwości dla społeczeństwa (...). Myślę, że Jaruzelskim kierują pobudki patriotyczne”. (B)

„Uważam go za bardzo sensownego faceta, który rzeczowo podchodzi do sprawy; no, ale z naszym narodem nie bardzo można się dogadać. Tysiące ludzi z «Solidarności» narozrabiało co niemiara. Gdyby to było za Stalina albo za Gomułki, to wszyscy byłiby już na Sybirze, a ilu siedzi? Jedenastu, i to tych, którzy najwięcej mają na sumieniu! Jaruzelski nie stosuje zemsty, bo gdyby chcieli, to mogliby zrobić taką siekaninę, że hej! A tego się nie obserwuj!” (A)

To ostatnie zdanie, na którym przestanę cytować *in extenso* moich rozmówców, wypowiedziane było podniesionym głosem i kończy się wykrzyknikiem. W wykrzykniku tym absurd osiąga wysokie stężenie. Z całą siłą powraca pytanie, jak musi tworzyć się myślenie, by ludzie, którzy widzą tę samą rzeczywistość co i ja, mogli postrzegać ją tak odmiennie? Z jakiego *ratio*, czyli rachunku, osądu świata wywodzi się ich myśl?

Filozof powiada, że każde myślenie jest procesem kierującym się ku wartościom, że każde uporządkowanie ludzkiego doświadczenia ma za swą podstawę rozróżnianie „na to, co dobre i pożądane oraz co złe i unikane, a także na to, co lepsze, gorsze, najgorsze”. Człowiek „przeżywa jakieś wartości, doświadcza wartości, *myśli* według wartości”⁶. Czy opowieści moich rozmówców odsłaniają jakieś szczególne przeżywanie wartości? W jaki sposób ich myślenie wyrasta z wartości? Z jakich wartości?

Już przy pobieżnym przeglądaniu spisanych wywiadów rzuca się w oczy zagęszczenie pragmatyzmu ocen. Tak mówili:

„Trzeba być *realistą!*” (C)

„Brak było *realizmu* w polityce zagranicznej”. (B)

„Błędna polityka międzynarodowa, *nierealistyczna* po prostu”. (E)

„Opozycja? To są ludzie, którzy kierują się mrzonkami, to nie są *realiści*”. (A)

„KPN? Dla mnie to są ludzie *nierealni*. Dla mnie są niebezpieczni. Stawianie haseł antysowietyzmu jest bardzo złe, bo są to hasła chwytliwe, ale mogą spowodować złe rzeczy, rozlew krwi”. (A)

„«Solidarność» podziemna? Dla mnie to jest brak *realizmu*, ponieważ nigdy! ... *nie jest możliwe* dokonanie zmian w tym ustroju”. (C)

„Ci obecni opozycjoniści nie mają *żadnych szans*, żeby osiągnąć *sukces*”. (C)

„Trzeba stawiać *cele realne* do osiągnięcia. To uważam za tragedię «Solidarności», bo stawiano cele nie do osiągnięcia”. (D)

„Samodzielna Polska była *niemożliwa*. Nie ma teraz krajów, które prowadziłyby samodzielną politykę. Jest to *niemożliwe*. My podlegamy Związkowi Radzieckiemu”. (E)

„Zmiana systemu jest *niemożliwa*. *Nie wierzę* w żadną zmianę systemu gospodarczego. Żeby tak się stało, musiałyby się zmienić warunki polityczne na świecie, musiałyby dojść do wojny. Jestem absolutnie przekonany, że tego kraju między Bugiem a Odrą nikt nie odda. Nawet jak te 40 milionów ludzi, które tu są, będzie chciało inaczej, to i tak nic się nie zmieni”. (D)

„Trzeba brać pod uwagę ograniczniki i wiadomo, że *musi* być tak i tak. Jest dla mnie *iluzją*, jeżeli ktoś wystąpi z hasłem wystąpienia Polski z Układu Warszawskiego, zrobienia w Polsce fińlandyzacji. Jeżeli ktoś tak mówi, jest niepoważny. Albo niedorozwinięty. Nie wolno takich hasel głosić”. (E)

„Nie potrafię ocenić działań Kościoła, nie znam na tyle tej doktryny, więc nie potrafię powiedzieć, czy jest ona *realna* i czy może być *realizowana w praktyce*”. (D)

„Rozgłośni zachodnich nie słucham, bo śmieszne, jestem na tyle realistą, że mnie to śmieszy; to takie *mrzonki* i *uopie*”. (C)

Wszystkie te wypowiedzi starają się coś oceniać. Za każdym razem ta sama wartość staje się kryterium oceny: dobre jest to, co może zrealizować się w praktyce. Zatem zła była, bo nieskuteczna, polityka Polski międzywojennej. Nowej Polsce w powojennym świecie przypadło trwale miejsce w systemie komunistycznym i mądrym jest, kto to rozumie. Mądry człowiek pamięta o ograniczeniach i uczy się poruszać sprawnie tam, gdzie poruszać się wolno. Polska nie może istnieć bez kierownictwa komunistów, bo tylko w nich Kreml widzi gwaranta swych interesów. Kto zatem krytykuje Polskę komunistyczną, sprzeciwia się nierozumnie temu, co nieodwołalnie być musi. Godząc w komunistyczną Polskę, jedyną, jaką wszechmocna Rosja akceptuje, zagraża się istnieniu Polski w ogóle. Każdy, kto protestuje przeciw konieczności, musi przegrać. „A pokonanym się nie wybaczają” – jak z wyższością człowieka pewnego swoich racji powiedział jeden z moich rozmówców.

Łatwo teraz zrozumieć, że generał Jaruzelski, który wprowadzając stan wojenny przywrócił zachwianą dominację Partii i przypomniał wszystkim nierozsądnym o żelaznej zasadzie realizmu, musi zbierać same pochwały. Jest wybitnym patriotą, ponieważ uratował Polskę komunistyczną – jedyną Polskę, jaka może dziś istnieć na mapie Europy. Cena była wysoka i krwawa, ale moi rozmówcy niezmiennie podkreślali swoje przekonanie, że:

„Życie jest brutalne, na to nie ma rady”. (D)

Swój horyzont etyczny określali takimi deklaracjami:

„Jest taka zasada, Machiavellego, cel uświęca środki. Czasem trzeba użyć tych środków”. (F)

„Szczytny cel to usprawiedliwia”. (F)

„Jest taka stara jezuicka zasada – cel uświęca środki”. (D)

„Życie polityka narzuca konieczność łamania pewnych zasad moralnych”. (E)

Zło – zdają się mówić – jest naturalnym żywiołem świata. Ci, którzy o tym pamiętają, muszą traktować jak cnotę już samo niewyrządzanie zła lub czynienie „zła mniejszego”. Widać to wyraźnie przy ocenie polityków PRL:

„Bierut (...), mimo różnych nacisków na niego, potrafił w bardzo trudnym okresie stalinowskim zapewnić w miarę możliwości tolerancję polityczną, która nie objęła co prawda wszystkich osób, ale znaczną większość jednak”. (B)

.... (Bierut) starał się zrobić jak najmniej złego jak na czasy, w których przyszło mu żyć”. (E)

O zasługach Władysława Gomułki:

„Gomułka nie zrobił takiego kryzysu, jak ten (...) Gierek”. (A)

Natomiast Wojciech Jaruzelski – sąd ten już przytaczaliśmy:

„Mimo dużych możliwości, jakie miał, zastosował minimalne rygory i uciążliwości dla społeczeństwa”. (B)

Miarą cnoty władz stanu wojennego jest to, że obeszły się

.... łagodnie z opozycją. Można było tych ludzi oskarżyć o zdradę stanu i postawić pod ścianą i nikt by temu nie przeszkodził”. (E)

Jeśli polityk komunistyczny postępuje źle, to zapewne dlatego, że wybiera „mniejsze zło”, aby uchronić nas od zła większego. Na przykład generał Jaruzelski – twierdził z przekonaniem jeden z moich rozmówców –

.... w stosunku do Kościoła prowadzi bardzo liberalną politykę, choć pewnie Rosja naciska”. (D)

Gdy wyobrazimy sobie, że Rosja chciałaby zrobić z polskim Kościołem to, co zrobiła ze swoją Cerkwią, musimy uznać, że Jaruzelski jest dla Kościoła człowiekiem opatrnościowym.

Śluchając tych wypowiedzi trudno oprzeć się wrażeniu, że spotykamy się z myśleniem oczyszczonym z wiary w wartości cenne same dla siebie. W tym totalnym wątpleniu jedno kryterium aksjologiczne daje się łatwo ocalić – skuteczność. Rozróżnienie tego, co dobre i złe zaczyna się pokrywać z rozróżnieniem tego,

co uchodzi za realne i nierealne. Miejsce człowieka jest oczywiście po stronie dobra. Ale dobre jest to, co da się urzeczywistnić. Dobra jest też siła, bo komu brak siły, ten służy mrzonkom i musi przegrać. Tak rozwija się myślenie według skuteczności, tak zabudowana zostaje etyczna przestrzeń „realizmu”, po której człowiek porusza się, odzyskawszy pewność siebie. Postawę sympatyków władzy komunistycznej nazywać można – zapożyczając termin od Józefa Tischnera – etycznym fatalizmem. Tischner pisze: „Fatalista etyczny jest przekonany, że zło, jakie pojawiło się w obszarze jego obowiązku, musiało się stać, bowiem złożyło się na nie zbyt wiele wielkich potęg”⁷. „Fatalista widzi wyłącznie świat, a w nim niemożliwe do naruszenia konieczności obiektywne. (...) Ponieważ człowiek jest słaby i niczego naprawdę nie może, powinien przystosować się do tego, co być musi. Jego wolność sprowadza się do rozumienia konieczności. Trzeba ukochać własny los. Amor fati – oto postawa ludzkiej etyki”⁸.

Rozumienie konieczności przeniesione w sferę polityki buduje myślenie widzące do wniosku, że związek Polski z Rosją jest nieodwołalny i każdy, kto mu się sprzeciwia, to niebezpieczny marzyciel, który w imię tego, co być powinno, może unicestwić to, co jest – najlepszy z możliwych światów. Zwolennik władzy komunistycznej uważa się za człowieka myślącego trzeźwo i dalekowzrocznie, widzącego sytuację Polski w międzynarodowym uwarunkowaniu i rozumiejącego niemożliwe do naruszenia konieczności. Staje się przez to w swoich oczach postacią tragiczną, bo chcąc dobra Polski – Polski „realnej”, komunistycznej – musi często występować przeciw abstrakcyjnej dla niego „Polsce postulatów”, do której dąży „zaślepiiony naiwnością” naród.

„INTELEKTUALIŚCI”

W 1983 roku Państwowy Instytut Wydawniczy opublikował wybór artykułów publicystycznych z lat 1981-83, które ukazywały się głównie w tygodniku: *Polityka* oraz *Tu i Teraz*⁹. Ich autorami są Jerzy Urban, Kazimierz Koźniewski, Ryszard Wojna, Zygmunt Kałużyński, Artur Sandauer, Janusz Reykowski, by wymienić tylko nazwiska najbardziej znane i wymowne. Naz-

wiska te, jak i tytuły dwóch tygodników są powszechnie łączone z opcją propartyjną. Wśród tekstów książki każdy fatalista etyczny odnaleźć może swoje credo. Credo to zawiera wzór rozumowania, które proponuje pewne wartości i tworzy pewną sytuację etyczną, gdzie poparcie dla władzy komunistycznej staje się jedyną postawą godną człowieka uczciwego.

Znajome już stwierdzenia znajdujemy tym razem u ludzi o niemałej inteligencji i erudycji. Odwołując się do swojego rozumu, doświadczenia i wiedzy, cierpliwie wyjaśniają czytelnikom zasady „realizmu” w polityce:

„... zawsze i wszędzie polityką mocarstw rządził interes. (A. Bocheński, s. 195)

„... partia walcząca o zwycięstwo wyborcze okazuje respekt dla zasad i dla wartości kultury tylko tam, gdzie zjedna jej to głosy wyborców – a poza tym obszarem poświęci je bez wahania, jeśli się to okaże korzystne”. (J. Szczepański, s. 90)

Janusz Reykowski, psycholog, chce, byśmy i na wartości spojrzeli oczyma realisty:

„W świecie faktów realnych obrona lub pomnażanie jakichś wartości wymaga brania pod uwagę zależności obiektywnych, wymaga planowania uwzględniającego posiadane siły i obiektywne możliwości, poszukiwania realistycznych sposobów radzenia sobie z przeszkodami (...), myślenie kierowane przez wartości jest z natury rzeczy ułomne, bowiem oparte na nim diagnozy i przewidywania muszą nieraz rozmiąć się z rzeczywistością”. (s. 158)

Aby Polacy nie rozmiękali się z rzeczywistością, powinni pamiętać „co być musi” (K.T. Toeplitz, s. 216) i zrozumieć, że „realizm, to powinien być program”. (Z. Kałużyński, s. 25)

Realizm jest koronnym zaklęciem autorów tej książki, powtarzonym po wielokroć na każdej niemal stronie. Ten właśnie „realizm” jest fundamentem przekonania, że

„... obecna władza jest, w obecnych warunkach, jedyną możliwą...” (J. Górecki, s. 37)

Istnieje przecież

„określona sytuacja geopolityczna i gospodarcza, w której musimy żyć. Uprawianie samooszukiwania i grandezzy narodowej daleko nie zaprowadzi”. (A. Sandauer, s. 58)

Inny publicysta wyjaśnia dokładniej, w czym rzecz:

„Sytuacja obecna może być zmieniona tylko i wyłącznie w rezultacie trzeciej wojny światowej. W wypadku zwycięstwa Zachodu, Polska będzie musiała oddać Ziemie Zachodnie, ponieważ Niemcy będą automatycznie aliantami Ameryki, tereny wschodnie zaś również do nas nie wrócą, bo po klęsce ZSRR powstaną państwa Ukrainy i Białorusi. W wypadku zaś zwycięstwa ZSRR nasza sytuacja się nie zmieni, z tym tylko, że kraj znów będzie zniszczony i wielu Polaków zginie”. (Z. Kałużyński, s. 16)

Płynie stąd wniosek, że obecny związek z Rosją i ogólna sytuacja w Europie są dla Polski stanem optymalnym i każda zmiana mogłaby go tylko pogorszyć. Powinny uwzględniać to wszystkie programy zmian w Polsce.

„Powiedzmy szczerze: przeważająca część postulatów dotyczących konieczności reform polskiego życia publicznego była słuszna”. (K. Koźniewski, s. 29),

jednakże

„... takie czy inne programy odnowy winny być oceniane z punktu widzenia realnych w danych warunkach i okolicznościach możliwości ich urzeczywistnienia”. (W. Markiewicz, s. 69)

Program „Solidarności” nie mógł być zrealizowany, ponieważ nie liczył się z politycznymi ograniczeniami, które dla każdego realisty są oczywiste:

„Młodzi działacze «Solidarności» byli może uczciwi, ale przede wszystkim pozbawieni byli jakiegokolwiek wiedzy politycznej, politycznej rozwagi, historycznej i państwowej świadomości”. (K. Koźniewski, s. 35)

Zatem sama uczciwość nie jest wartością samoistną; ba, może być nawet szkodliwa, jeżeli wywołuje sprzeciw wobec tego, co być musi. Prowadzi wtedy – pisze J. Adamski – do „manifestowania uproszczonych i irracjonalnych postaw”, stanowi przejaw „ciasnoty prowincjonalnych horyzontów”. (s. 6) Jako że spora część Polaków opowiedziała się po Sierpniu za wartościami, które – w oczach realisty – są urojeniami, Jerzy Górecki, realista, twierdzi, że dokonał się wówczas podział na „ślepych wyznawców Mitu i ludzi rozwagi” (s. 39). „Wyznawcy Mitu” musieli stać się niebezpieczni dla kraju

..... tak jak niebezpieczne są wszelkie złudzenia powielone na skalę masową i sprzedawane jako prawdopodobne". (J. Reykowski, s. 163).

Dzień 13 grudnia 1981 roku stał się zatem

..... zderzeniem Wielkiego Mitu z bezwzględną realnością świata takim, jakim jest". (J. Reykowski, s. 163).

Dla wszystkich fatalistów był to dzień spełnionych oczekiwań, którego należało się spodziewać. Ich poglądy znalazły jeszcze jedno potwierdzenie. Po raz kolejny świat realny dał znać o sobie i po raz kolejny okazał się bezwzględny dla tych, którzy się z nim nie liczyli. Ludzie rozważni mogli znowu czuć satysfakcję, jaka dana jest tym, którzy mieli rację. Jerzy Urban pisał tryumfalnie po wprowadzeniu stanu wojennego:

..... uważam się za wiarygodnego po prostu dlatego, że miałem rację. Z tego więc powodu jako publicysta jestem godny wiary. Natomiast nie są wiarygodni ci, którzy racji nie mieli, choćby działali z jak najszlachetniejszych pobudek" (s. 240).

Posiadanie racji urasta w oczach zwolennika władzy komunistycznej do rangi cnoty kardynalnej, z którą żadna inna wartość konkurować nie może. A rację miewa tylko ten, kto patrzy trzeźwo, widzi niemożliwe do naruszenia konieczności i potrafi je akceptować. Nawet jeśli w głębi drzemie chęć protestu:

„Dziś należy przyjąć sytuację jaka jest. (...) Chętnie bym należał do opozycji, gdyby ta opozycja miała jakiegokolwiek program. Niestety, nie ma, prócz trzeciej wojny światowej. Przepraszam, ale tym razem – już beze mnie". (A. Sandauer, s. 56).

„ELITA”

Myślenie zbudowane na fatalistycznym *ratio* realizmu nie jest, jakby mogło się zdawać, jedynie narzędziem duchowego zniewolenia poddanych w polskim systemie komunistycznym. Władcy składają mu daninę w stopniu wcale nie mniejszym. Ludzie, którzy rządili europejskim państwem w połowie XX wieku, tak próbowali przedstawić swoje działania i zasady, które im przyświecały⁵:

„Polityka to wybór mniejszego zła, trzymanie języka za zębami, a czasami posługiwanie się znaczonymi kartami”. (E. Ochab, s. 36).

„Prawo Dzikiego Zachodu. Przeżyje ten kto pierwszy strze-
li. To może brzmieć trochę nieładnie, a nawet gorsząco, ale
tak jest. (...) Wychowano nas – opierając się na historycz-
nych precedensach – na zasadzie, że przemoc jest nie tylko
konieczna, ale, że najlepiej działać przemocą”. (R. Werfel,
s. 63-4).

Zrozumienie „praw Dzikiego Zachodu” pozwala trzeźwo oce-
niać sytuację w powojennej Europie:

„... w gruncie rzeczy jesteśmy państwem «garnizonowym». Państwem, któremu narzuca się bardzo wiele, ale trzeba od razu postawić pytanie: czym byłaby Polska, gdybyśmy nie byli razem ze Związkiem Radzieckim? Kto się wypowie za naszymi ziemiami zachodnimi, jeżeli dojdzie do starcia? (...) My musimy iść ze Związkiem Radzieckim, jakim on jest. Nie ma innej perspektywy dla narodu polskiego”. (E. Ochab, s. 20).

Jakub Berman sławi zalety politycznego rozumu realnego:

„... nie było dla Polski ani przedtem, ani teraz innej alternatywy, jak trwanie w tym kształcie, co jest i za wszelką cenę utrzymanie tego kształtu jaki jest, bo stanowi on jedyną dla nas szansę. Dla tej więc szansy, dla tych granic warto było pójść na wiele ustępstw i wiele ofiar. Ofiary są bowiem sprawą przejściową, dotkliwą dla poszczególnych jednostek, ale kształt Polski, jej wielkość – bazą dla rozwoju przyszłych pokoleń”. (s. 224-5).

Prosta arytmetyka odejmowania ofiar od korzyści ma pokazywać, że bilans jest mimo wszystko dodatni i polscy komuniści byli prawdziwymi obrońcami ojczyzny:

„... zawsze staraliśmy się w miarę możliwości zapewnić Polsce jak największą autonomię, sugestiom i moralnym naciskom, by ukształtować Polskę na ich modłę i jeszcze więcej korzystać z doświadczeń radzieckich, opieraliśmy się. (...) My w tych ponurych, trudnych czasach, w których nie było może szans na wyraźne przeciwstawienie się, potem zresztą także nie, manewrowaliśmy. Łagodziliśmy pewne rzeczy, ob-

chodziliśmy je i modulowaliśmy. I wcale nie było tak, że wykonywaliśmy wszystkie dyrektywy doradców radzieckich". (J. Berman, s. 225).

Ciążył na nich – mają się mówić – moralny obowiązek bezwzględnej walki o władzę, by nie „wymknęła się z rąk komunistów:

„Przecież to dopiero doprowadziłoby do katastrofy. Wkroczyłyby wojska radzieckie i zdławiłyby wszystko. W s z y s t k o”. (J. Berman, s. 206).

Ci, którzy po wojnie nie pojmowali tych prostych prawd, przede wszystkich PSL, byli nierozumni i groźni dla Polski. W wiele lat później ruch „Solidarności” stał się w braku „realizmu” spadkobiercą PSL-u.

„Oni żyli złudzeniami, (...) jak nasi ekstermiści z «Solidarności», którzy też nie wiedzieli, do czego prowadzą, bo gdyby zobaczyli – cofnęliby się; w swoim zacietrzewieniu obmyśliłi sobie wizję i ludzili się, że da się ją zrealizować. My – komuniści mieliśmy gwarancje Związku Radzieckiego dla naszej zachodniej granicy, a oni co? Mrzonki, złudzenia, że uda im się oderwać od Związku Radzieckiego, pełną emancypację wprowadzić. Każdy polityk musi myśleć realistycznie i wyważać atuty, ale oni tego nie potrafili. I pani nie wie do czego by doprowadzili, a ja wiem”. (J. Berman, s. 224).

Realista „wie”, „ma pewność” i z wyżyn mądrości patrzy z politowaniem na żalotne szamotanie się tych, którzy w swojej naiwności chcą się buntować przeciw konieczności:

„... nie zna pani świata i jest pani chora, jak te chłopaki z «Solidarności», które latają po ulicach, rzucają «żabkami», krzyczą «Polska, Polska», nie wiedząc, że są pionkami na szachownicy wielkiej światowej gry, która się toczy. Większość tego narodu jest chora na parafianiszczynę, na beznadziejny polski prowincjonalizm” (R. Werfel, s. 67).

Oburzenie na polski „beznadziejny prowincjonalizm” zaświadcza, że znowu mamy do czynienia z klasycznym realizmem etycznym, który każe wszystkim znać granice swego losu. Jeszcze raz powracają wszystkie typowe składniki tego myślenia. Pogodzenie z koniecznością, wybór mniejszego zła, ochrona Polski

przed przyjściem ekipy „twardogłowych”, albo nawet przed interwencją barbarzyńskiej Rosji. Mapa współczesnej Europy przekształcona w Dekalog, podstawę etyki. Żałośnie daleko stąd do zapewnień o przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, o sprawiedliwości społecznej, o osiągnięciach i perspektywach przodującego ustroju. Nie oferuje się tu żadnych wartości pozytywnych. Pozostaje jedynie pogodzenie z koniecznością i simutna rezygnacja. Pojawia się ona zarówno u przedstawicieli elity władzy, którzy starają się uzasadnić swe posunięcia sprzed lat; u publicystów, przekonujących czytelników, że wszelki opór jest bezcelowy; wreszcie u zwykłych obywateli, którzy mówią o powodach swego poparcia dla władzy. Rysuje się obraz fatalistycznej filozofii, hipnotyzującej ludzi nieodwołalnością opowiedzenia się po stronie komunizmu. „Zwycięstwo fatum nie polega bowiem na zabójstwie zbuntowanego człowieka, ale na wciągnięciu go na służbę. Pokonany człowiek staje się narzędziem fatum. Siła fatum na tym polega i do tego zmierza, by ze wszystkiego, co jest, i ze wszystkiego co być może, czynić surowiec dla swych przedsięwzięć”¹⁰.



Czy „Jaruzelski to fajny facet”? Czy za wychwalaniem komunizmu, po ponad 40 latach jego rządów w Polsce, kryje się tylko absurd głupoty i nikczemności, czy też „egzotyczne” rozumowanie? Od tych pytań zaczęliśmy. Głosy ludzi, którzy kochają władzę komunistyczną więcej lub mniej, nie cierpią za to szczerze wszelkiej wobec niej opozycji, ułożyły się w wewnętrzną spójną całość, skonstruowaną wokół dwóch elementarnych zasad. Przypomnijmy: pierwsza z nich to zasada realizmu. Realizm jest terminem używanym nad wyraz często przez przedstawicieli wszystkich trzech grup. Mówią: jesteśmy realistami, dążymy do celów realnych, realistycznie dobieramy środki. Trudno jednak zadowolić się tymi wyjaśnieniami. Bo cóż to właściwie jest ten realizm? Realista to niby taki, co widzi rzeczywistość prawdziwie i mierzy zamiary podług sił, przeciwieństwo zaślepionego romantyka, porywającego się z motyką na słońce. Jednak w obrębie skomplikowanych zjawisk życia społecznego i polityki nie

ma obiektywnych miar, które pozwoliłyby zadekretować, kto widzi rzeczywistość całkiem zgodnie z prawdą i uznać, co jest tylko motyką, a co pozostanie nienaruszalne i wieczne jak słońce. Nie ma zatem powodów, by nie tylko Jerzy Urban w rządowym fotelu, ale i Adam Michnik w rządowym areszcie mógł zasadnie oświadczać: „... w życiu publicznym opowiadam się za respektowaniem zasad realizmu”¹¹. Są więc i Adam Michnik, i Jerzy Urban jednakowo realistami? A jeśli tak, to czy słowo „realizm” może służyć jeszcze do nazwania czegokolwiek, czy też oznacza już wszystko? Uznajmy, są realistami i Michnik, i Urban. Nie jest to jednak ten sam realizm. Realizm zakłada ugodę z rzeczywistością, jej warunki mogą być jednak bardzo różne. Wszystko zależy od wyobrażenia, jakie mamy o charakterze samej rzeczywistości. Jak widzą ją Urban, już wiemy. A jak widzi ją Michnik? Gdy pisze, na przykład, o dążeniach pokojowych, używa takich słów: „uczynić te postulaty realnymi może tylko ciągle ich przypominanie i stała walka o ich realizację”¹². Stwierdzenie to daje nam znać, że przykładowe postulaty nie są realne czy nierrealne ze swej natury, ale w odniesieniu do rzeczywistości, a ta – co ważne – zależna jest od ludzi, którzy mogą na nią wpływać i ją zmniejszać (przypominanie..., walka...), zatem co nierrealne dziś, może być realne już jutro, choć nie stanie się takim samo przez się, ale dzięki ludziom, którzy przeobrazili rzeczywistość. Ten typ realizmu wydaje się być obcy wszystkim „prokunistom”. By zrozumieć ich „realizm”: należy pamiętać, że występuje on nieodłącznie z drugą zasadą myślenia – fatalizmem. Dla fatalisty rzeczywistość ma inny charakter i uгода z nią musi mieć inne prawa. Człowiek jest bezsilny wobec świata, którym rządzi Los. Wszyscy ludzie pielęgnują podobne życie wobec rzeczywistości, ale walka z Fatum, by się spełniła, skazana jest na przegraną – to wiedzą na pewno. Granice Fatum wyznaczone będą „historycznymi prawami” czy rachunkiem militarnych sił; opierając na tych podstawach realizm, „prokuniści” dają świadectwo myślenia kategoriami determinizmu i dowód zaufania do zdolności poznawczych rozumu. Człowiek, przekonany, że poznał świat i zna granice swoich sił, poddaje się rzeczywistości i staje się sam narzędziem Fatum. W ramach przez Fatum wyznaczonych buduje nową hierarchię wartości

etycznych, gdzie skala rozciąga się od tego, co dobre i pożądane, aż po złe i odrzucane. Jest to jednak skala znacząco przesunięta wobec miar dotychczasowych. Prześladowania polityczne to tutaj nie więcej jak figle i można je nazwać „głupimi wyskokami”, zaś morderstwa daje się zaliczyć do kategorii „ustępstw” (J. Berman), oczywiście ustępstw wobec bezlitosnego Fatum, które żąda krwi, co należy zrozumieć i zaakceptować. Ta dyslokacja skali moralnej pozwala „prokomunistom” trwać w poczuciu czystości sumienia, jakie by nie były ich winy, a nawet mieć poczucie spełnionej misji, z piętnem tragizmu.

W ten sposób wywody komunisty, oparte o zasady realizmu i fatalizmu, wydają się tracić kształt chaotycznego nonsensu i odkrywają swą prostą racjonalność. Wraz z racjonalnością dostrzegamy w tym myśleniu pewien porządek, którego reguły zdają się być podobne do naszych, „ludzkich”, „normalnych”. Można uznać, że w ten sposób zbliżyliśmy się do rozumienia. Nawet jeśli to rozumienie będzie tak skromne, że ledwie wystarczy, by pojąć, dlaczego w polskich pociągach i sklepowych kolejkach kontrowersja na temat „czy Jaruzelski fajnym facetem jest?” pozostaje zawsze nie rozstrzygnięta.

PRZYPISY

¹ Cytaty pochodzą z wywiadów etnograficznych przeprowadzonych przez autora w okresie listopad 1983 – styczeń 1984.

² Szpilka, Wiesław, „Czas niezwykły”, w: *Szkiele i próby etnologiczne*. Kraków 1985, s. 175.

³ Lévi-Strauss, Claude, „Panorama de l'éthnologie”, *Diogenes*, nr 2, 1953.

⁴ Dane of informatorach:

A) emerytowany oficer LWP, lat 60.

B) pracownik naukowy, lat 57, członek PZPR.

C) etatowy przewodniczący nowych związków zawodowych, lat 27, członek S.P. „Grunwald”.

D) inżynier, lat 53, członek PZPR.

E) pracownik naukowy, lat 27, do czerwca 1983 etatowy działacz ZSP (przedtem SZSP).

F) podoficer Służby Bezpieczeństwa, lat 25.

⁵ Torafska, Teresa, *Oni*, Warszawa 1985, Wyd. Aneks, Londyn 1985.

⁶ Tischnier, Józef, „Myślenie według wartości”, w: *Myślenie według wartości*. Kraków 1982, s. 483.

⁷ Tischner, Józef, „Między moralnym kompromisem a utopią”, w: *Myslenie według wartości*, Kraków 1982, s. 394.

⁸ Tamże, s. 382.

⁹ *Gwałt i perswazja. Antologia publicystyki z lat 1981-1983*, Warszawa 1983.

¹⁰ Tischner, Józef, „Uświęcenie pracy”, *Tygodnik Powszechny*, nr 45, 1983.

¹¹ Michnik, Adam, *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*, Wyd. Aneks, Londyn 1985, s. 7.

¹² Tamże, s. 106.

UNCENSORED POLAND NEWS BULLETIN

UNCENSORED POLAND News Bulletin provides a regular source of information on developments in Poland. It focuses particularly, but not exclusively, on issues not reflected in official statements and the official press.

UNCENSORED POLAND News Bulletin publishes annually more than 900 pages of documents and first-hand reports on events in Poland, statements, articles and interviews by leaders and influential members of the Independent Trade Union «Solidarity», a wide range of documentation from the democratic opposition, articles from the uncensored press and expert analysis of Polish society. Emphasis is given to the background of political, economic and social developments as well as their significance.

UNCENSORED POLAND News Bulletin is an essential source of information for journalists, academics, specialists and anyone interested in political developments and struggle for human and civil rights in Poland. It is published fortnightly by The Information Centre for Polish Affairs, an independent, non-profit-making news organisation, which brings together journalists, writers and human rights activists resident in Great Britain, who have direct access to official and unofficial sources in Poland and an intimate knowledge of that country's affairs.

SUBSCRIPTIONS: £ 75.00 p.a. in Europe; £ 90.00 p.a. Overseas (Air Mail)

ENQUIRIES: THE INFORMATION CENTRE FOR
POLISH AFFAIRS, U.K.
115, Redston Road, London N8 7HG,
Great Britain

z historii najnowszej

Jan T. Gross

WYBORY

Od września 1939 do czerwca 1941, czyli od początku wojny światowej aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, mieszkańcy województw wileńskiego, nowogródzkiego, białostockiego, wołyńskiego, poleskiego, łwowskiego, starostawowskiego i tarnopolskiego czterokrotnie wybierali sobie przedstawicieli do rozmaitych organów władzy. W ciągu pierwszego półrocza administracji sowieckiej zorganizowano tam wybory dwukrotnie – w październiku 1939 roku i w marcu 1940¹. Z pewnością najważniejsze i najlepiej zapamiętane były wybory do Zgromadzeń Narodowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Odbyły się one w niedzielę, 22 października 1939 roku². Odezwę z apelem o zorganizowanie wyborów ustanawiającą siedemnastoosobowy Komitet Organizacyjny podpisali 4 października członkowie Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego, a więc Chruszczow, wówczas I Sekretarz Komunistycznej Partii Bolszewików na Ukrainie, jego zastępca Burmistenko i głównodowodzący frontem ukraińskim, komandarm I rangi, Siemion Timoszenko. Na Białorusi tego rodzaju dokumenty były datowane z reguły o dzień później. Przymuszczałnie więc 5 października podobnie brzmiącą odezwę wydała Rada Wojenna Frontu Białoruskiego w składzie: głównodowodzący wojskiem Michal Kowalow, I sekretarz Komunistycznej Partii Bolszewików na Białorusi Panta-

lejmon Ponomarenko (w latach 1955-1957) ambasador sowiecki w Polsce) i jego zastępcą.

Ponieważ zajęcie Zachodniej Ukrainy i Białorusi przy pomocy wojska łączyło się z pewnym ryzykiem, Stalin pragnął zatuszować militarny aspekt całego przedsięwzięcia. Rosjanom wcale nie zależało na tym, aby się znaleźć w stanie wojny z Anglią i Francją (które jako aliansi Polski wypowiedziały wojnę Hitlerowi już 4 września) i dlatego od pierwszej chwili utrzymywano pozory, że wkroczenie na terytorium Polski nie jest agresją naruszającą suwerenność niepodległego państwa, ale raczej, jakbyśmy to powiedzieli dzisiaj, ruchem „narodowo-wyzwolńczym”. I trzeba przyznać, że dyplomacja sowiecka odniosła sukces. Bo chociaż najazd Armii Czerwonej z 17 września był oczywistym *casus belli*, rząd polski (zapewne zdezorientowany w związku z ucieczką do Rumunii i internowaniem) nie uznał, że znajduje się z Rosją w stanie wojny. A więc i sojusznicy Polski – Anglia i Francja – nie zostali zobowiązani do wypowiedzenia wojny ZSRR. Zaś w parę tygodni później, kiedy nowoutworzony rząd polski znalazł się na wygnaniu we Francji, Alianci podjęli już chyba decyzję, by rosyjskiego niedźwiedzia nie drażnić. Bo choć było oczywiste, że Stalin znajdował się wówczas w faktycznym sojuszu z Hitlerem, to również, jak to ujął w depeszy do Foreign Office ambasador angielski w Moskwie Sir William Seeds, „trudno powiedzieć jaki właściwie mielibyśmy pożytek z wypowiedzenia wojny Związkowi Sowieckiemu, choć osobiście sprawiłoby mi dużą przyjemność złożyć takie oświadczenie Molotowowi”³. Tak więc wybory zorganizowane na dopiero co zajętych terenach Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy były jakby przedłużeniem zabiegów dyplomacji sowieckiej o stworzenie fikcji, że podbój tych ziem wcale nie był zbrojną interwencją dokonaną przez państwo ościenne, tylko raczej jakimś spontanicznym aktem samostanowienia miejscowej ludności.

Zaskakujący może się wydać termin przeprowadzenia wyborów – 22 października 1939. Było to zaledwie 5 tygodni po inwazji i sowiecka administracja postawiła przed sobą zadanie niezwykle trudne z organizacyjnego punktu widzenia. Co więcej, całe to ogromne przedsięwzięcie wykonano w ciągu dwóch tygodni, gdyż kampanię wyborczą rozpoczęto faktycznie dopiero

6 października ogłoszeniem odezwy w lokalnej prasie. Do śpiechu zmuszały jednak skomplikowana sytuacja międzynarodowa w październiku 1939 roku i doświadczenia ostatnich miesięcy. W tydzień po podpisaniu paktu sowiecko-niemieckiego wybuchła wojna. W 10 dni po rozpoczęciu kampanii wrześniowej sytuacja militarna była już rozstrzygnięta na korzyść Niemców. Tylko z największą trudnością udało się Rosjanom postawić Armię Czerwoną w stan gotowości bojowej, aby mogła wkroczyć na tereny przyznane ZSRR w traktacie o nieagresji z Niemcami, zanim zajmą je oddziały Wehrmachtu. Równocześnie Hitler próbował nawiązać rozmowy z Anglią i Francją na temat ewentualnego zawarcia pokoju i Stalin mógł się obawiać, że znowu zapanuje *Pax Germanica* na warunkach ustalonych przez kanclerza Rzeszy. Dlatego też zapewne pragnął swoje zdobycze terytorialne czym prędzej zaklepać. A ponieważ kwestie suwerenności państwowej na obszarach mieszanych etnicznie wielokrotnie rozstrzygano przy pomocy plebiscytu w okresie międzywojennym, ważne było, aby odpowiednie wyniki wyborów na Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi uzyskać jak najprędzej. Poza tym zbliżała się przecież rocznica zwycięstwa Rewolucji Październikowej jak również, dodajmy, okrągła 60-ta rocznica urodzin samego Stalina. A że jest w zwyczaju komunistów fetować rocznicę Rewolucji, warto było się śpieszyć. Bo w istocie, jesień 1939 roku przyniosła olśniewający sukces polityce zagranicznej Stalina: za to, że umożliwił swym wrogom wypowiedzenie sobie nawzajem wojny, otrzymał w nagrodę pół Polski oraz *carte blanche* w stosunku do Litwy, Łotwy i Estonii.

Chociaż data wyborów podana została do wiadomości publicznej po raz pierwszy 6 października w prasie lokalnej Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, to ani *Prawda*, ani *Izwiestia* (mimo że codziennie można w nich było przeczytać obszernie sprawozdania o sytuacji na świeżo zajętych przez Armię Czerwoną terenach), nie wspominają o wyborach ani słowem aż do 11 października. Oczywiście pięciodniowa zwłoka to nie przypadek ani przeoczenie ze strony dziennikarzy i redakcji dwóch najważniejszych sowieckich gazet. Między szóstym a jedenastym października przygotowania do wyborów i kampania przedwyborcza trwały już w najlepsze, pochłaniając mnóstwo energii no-

wej administracji i wypełniając szpalty lokalnych pism. Istniały zatem ważne przyczyny państwowe, dla których w prasie centralnej całą tę sprawę chwilowo przemilczano. Wydaje mi się, że wstrzymywano się z opublikowaniem wiadomości o planowanych wyborach z powodu trwających wówczas negocjacji z Litwą i niepewności co do ich wyników. Bo oto 10 października wstępny artykuł na pierwszej stronie *Prawdy* informuje obywateli ZSRR o pomyślnie zakończonych rozmowach z rządem litewskim i o tym, że Wilno zostało przez Związek Sowiecki oddane Litwie⁴. Ponieważ czas naglił, przygotowania we Lwowie i w Białymstoku rozpoczęto, zanim jeszcze definitywnie rozstrzygnięto chwilowy los Wilna. W każdym razie, kiedy poinformowano wreszcie obywateli ZSRR, że na Ukrainie Zachodniej i na Zachodniej Białorusi mają się odbyć wybory do Zgromadzeń Narodowych, komitety organizacyjne wyborów były już we Lwowie i w Białymstoku od dawna ustalone i ogłoszono już 8 paragrafów i 47 punktów ustawy o wyborach.

Jak już wiemy z pomysłem wyborów, formalnie rzecz biorąc, wystąpiły Rady Wojenne frontów ukraińskiego i białoruskiego. W odpowiedzi jakby na tę inicjatywę Tymczasowe Zarządy Miejskie Lwowa i Białegostoku zwróciły się o przygotowanie wyborów do lokalnych organów Tymczasowej Administracji ustanowionej, z nazwy w każdym razie, na zajętych terenach od 3 października. Ze Lwowa zaapelowano do tymczasowych rządów miast i powiatów na Ukrainie Zachodniej, zaś z Białegostoku mobilizowano siatkę administracji terenowej Zachodniej Białorusi. Równocześnie lwowski i białostocki komitet organizacyjny poprosiły o pomoc prezydium Rad Najwyższych Sowietów na Ukrainie i na Białorusi. Prośbom tym natychmiast zadośćuczyniono i z indagowanych prezydiów wydelegowano po dwie osoby (włączając w to każdorazowo przewodniczącego) do komitetów organizacyjnych wyborów we Lwowie i w Białymstoku. I tak z Kijowa przyjechali do Lwowa Greczucha i Korniejczuk (późniejszy mąż Wandy Wasilewskiej), zaś z Mińska do Białegostoku, Natalewicz i Grekowa.

Pogmatwanie wstępnych formalności (cała ta skomplikowana procedura opisana jest przez prasę lokalną w taki sposób, że trudno ustalić sekwencję wydarzeń) nie miało wielkiego wpływu

na konkretną pracę propagandową, która ruszyła, by tak rzec, z kopyta. Organizatorzy wyborów wiedzieli przecież od początku, jaki będzie końcowy rezultat ich wysiłków i wcale się ze swoją wiedzą nie kryli. Jeszcze tego samego dnia, kiedy wydawano opisane przeze mnie apele i powoływano komitety, głównodowodzący frontu ukraińskiego, Siemion Timoszenko, przemówił do publiczności zebranej na wiecu w lwowskim kinie „Atlantic”: „Jeden z mówców powiedział, że pojęcie Zachodniej Ukrainy i Wschodniej Ukrainy trzeba połączyć w jedno – Radziecka Ukraina. Skoro chcą tego sami robotnicy, sami pracujący, to uważam, że nie trzeba tu zajmować się dyplomacją – to będzie tak na pewno”⁶.

Zarówno w intencjach organizatorów, jak i z pewnością w doświadczeniu sympatyków nowego ustroju październikowe wybory miały dać możliwość miejscowej ludności konstruktywnego włączenia się w ramy życia zbiorowego. W tym sensie miały więc one być cezurą i początkiem nowej epoki. O ile wrzesień wypełniały zakończona klęską militarną wojna, cierpienia i wędrówki cywilnej ludności, wreszcie chaos i szok przejścia władzy na skutek wkroczenia Czerwonej Armii – co w sumie oznaczało koniec jakiejś epoki i niepewność – o tyle październik przyniesie miał zmianę nastroju i skierować uwagę oraz energię ludności ku nowemu, w przyszłość. Zamiast ubolewać po stracie, która jest nieodwołalna, włączyć się raczej, podpowiadano, w twórczą pracę na rzecz wspólnego dobra. A ponieważ na Zachodniej Ukrainie i Białorusi mieszkało sporo ludzi nie mających zbyt głębokich związków emocjonalnych z Polską międzywojenną (mam na myśli przede wszystkim zradyzalizowaną młodzież spośród tak zwanych mniejszości narodowych, które na terenach okupowanych przez Armię Czerwoną stanowiły oczywiście większość mieszkańców), to i możliwości zaangażowania, które się dla nich wyłoniły w związku z rozpoczęciem kampanii wyborczej, niektórzy przyjęli z zainteresowaniem. Piszę o tym, bo z perspektywy czasu, a nawet już w świetle doświadczeń nabywanych w miarę upływu kampanii wyborczej, okazało się (dla ludzi nie zaplątanych w sieci doktryny światopoglądowej, z której niepodobieństwem się było wyzwoić po kilkutygodniowym zaledwie zetknięciu z wcieleniem ustrojowym naukowego socja-

lizmu), że jest dokładnie na odwrót, że trzeba się wyzbyć wszelkiej nadziei na przyszłość, że wybory prowadzą do nowej być może, ale nie mniej koszarnej rzeczywistości, w której człowiek pozbawiony zostaje autonomii i indywidualności. Ale, powtarzam, do entuzjastów czy choćby zwykłych optymistów wiedza ta przychodziła z opóźnieniem i trudno mieć za złe, szczególnie młodym ludziom, jeżeli to opóźnienie trwało kilka tygodni albo nawet miesięcy.

Nastrój mobilizacji i konstruktywnego wysiłku tworzono przede wszystkim, podkreślając różnicę między tym, co było i tym, co dopiero ma być. Łatwo przecież zrozumieć, że w oparciu o lepsze zasady ludzie urządzają sobie lepiej życie, jeśli tylko zechcą wypełnić nowe instytucje energią i wspólną pracą. Na przykład od samego początku kampanii wyborczej prasa informuje obszernie o uprawnieniach przysługujących głoszącej publiczności i o strukturze organizacyjnej nadchodzących wyborów, które miały być powszechne, równe, bezpośrednie i tajne. Te raczej bezbarwne i abstrakcyjne przymiotniki nabierały kolorów w porównaniu z opisem rzeczywistości przedwojennej, który propagandiści podawali na wiecach i zebraniach przedwyborczych. Znana pisarka Beata Obertyńska wspomina młodego Żyda z Lwowa, który „twierdził, że w Polsce każdy hrabia, oficer i pomieszczyk mieli prawo przy wyborach oddawać 6 do 10 głosów, podczas gdy chłop i robotnik nie miał ani jednego”⁶. W ustroju radzieckim jednakże wszystkie nierówności zostają obalane i władza nie tylko sprawiedliwie, ale wręcz troskliwie obchodzić się będzie z obywatelem. Czytelnik miejscowych gazet mógł się więc dowiedzieć, że podczas październikowych wyborów we wszystkich lokalach wyborczych specjalne, oddzielne pokoje pozwolą, aby każdy w pojedynkę, samotnie, mógł wypełniać swój obywatelski obowiązek. Członkom komisji nie będzie wolno wchodzić do tych pomieszczeń. Wszelako „analfabeta albo inwalida potrzebujący pomocy może sobie zaprosić do pokoju jakiegokolwiek innego wyborcę do wypełnienia biuletynu”⁷.

W artykule „O zgniłej i prawdziwej demokracji” – a więc w samym tytule jednoznacznie przeciwstawiającym stare nowemu – wyłożył autor prosto i przykonywująco teorię demokracji przedstawicielskiej, na której opierała się praktyka sowieckich

wyborów. „Idealem demokracji jest, aby naród był jak najliczniej reprezentowany, by liczba jego przedstawicieli była możliwie jak największa”⁸. A ponieważ w wyborach do Zgromadzeń Narodowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi przyjęto zasadę, że każde 5 000 mieszkańców powinno mieć swojego posła, więc obywatela ciała przedstawicielskie miały być liczniejsze niż cały przedwojenny Sejm Rzeczypospolitej – czyli lepsze, bo bardziej zbliżone do ideału demokracji. Jeśli zaś chodzi o frekwencję wyborczą, to choć sama ustawa nie narzucała wprost obowiązku głosowania, prawo sowieckie szczyli się tym, że „tylko pacjenci szpitalni chorzy na szkarlatynę, tyfus i trąd nie biorą udziału w wyborach”⁹.

Z innych szczegółów organizacyjnych warto jeszcze zapamiętać, że czynne i bierne prawo wyborcze przysługiwało ludności od lat osiemnastu: że okręgi wyborcze podzielono z reguły na 3 albo 4 rejony i na jedną komisję (w każdym razie w większych aglomeracjach) przypadało około 1 500 osób uprawnionych do głosowania; że według obowiązującej ustawy prawo wystawiania kandydatów na miejsca poselskie (nota bene słowo „poseł” nie pojawia się w publicystyce tego okresu; zamiast „poseł” używa się terminu „delegat”) miały „komitety włościańskie, Tymczasowe Zarządy, zebrania robotników przedsiębiorstw, zebrania Gwardii Robotniczej, zebrania inteligencji”¹⁰. Aby być oficjalnie zarejestrowanym, kandydaci na posła musieli przedłożyć w Okręgowej Komisji Wyborczej protokół posiedzenia albo zebrania, które zaproponowało ich nominację oraz oświadczenie, że zgadzają się kandydować i nominację przyjmują. Choć w zasadzie dowolna grupa obywateli mogła się zebrać i egzekwując swoje uprawnienia wystawić czyjąś kandydaturę, zarówno nowa administracja (której pracownicy zasiadali w Okręgowych Komisjach Wyborczych) jak i osoby, które namawiano do kandydowania, mogli założyć veto.

Jak się wkrótce przekonamy, między teorią a praktyką wyborów różnice były ogromne, ale że proces sowietyzacji nie jest wyłącznie zabiegiem zniewalania ludności z zewnątrz i wymaga, aby w niej ludność sama brała udział, nie możemy całkowicie ignorować formalnych gwarancji i autentycznego uczestnictwa. Więc choć w istocie kandydatów, jak byśmy to powiedzieli dziś,

przywożono w teczce ¹¹, to jednak przepis ustalający, że każdy musi się zgodzić, aby go oficjalnie zarejestrowano w roli kandydata, miał istotne znaczenie i pozwolił wielu ludziom, których namawiano, aby zostali posłami do Zgromadzenia Narodowego, odmówić przyjęcia tego wyróżnienia.

**

Kampania wyborcza rozpoczęła się, jak już wiemy, 4 października i od razu nadano jej wielki rozmach. W prasie możemy przeczytać sprawozdania z wieców organizowanych w miejscach publicznych, w salach kin, teatrów, albo opery, w zakładach pracy i w szkołach. Chociaż głosować można było dopiero od lat osiemnastu, także i młodzież została objęta propagandą przedwyborczą i brała w niej nierzadko czynny udział – na przykład, kiedy organizowano pochody, w których działwa szkolna maszerowała pod okiem nauczycieli ¹².

Sądząc z artykułów w gazetach, a także i z opublikowanych zdjęć, w zebraniach brały udział tłumy ludzi. We Lwowie 13 października „przeszło 1 000 inżynierów” spotkało się na wiecu w Collegium Maximum; na zebraniu inteligencji Białegostoku 12 października w kinie „Apollon” też było „z 1 000 osób” ¹³. Od pierwszych dni okupacji nowe władze starają się skaptować nie tylko proletariat i mniejszości narodowe, ale również elitę umysłową, a więc pisarzy, profesurę i fachowców. Na zajęte tereny przyjechała wybitna reprezentacja inteligencji z Mińska i Kijowa – reżyser filmowy Aleksander Dowżenko, historyk literatury Wiktor Szklowski, pisarze Kupala i Korniejczuk – i to oni właśnie, obok Chruszczowa, Ponomarienki i pomniejszych sowieckich notabli, przemawiają na zebraniach i starają się nawiązać osobiste kontakty. „Przynosimy wam serdeczne pozdrowienia od pisarzy Związku Radzieckiego; chcemy zaznajomić się z waszymi poglądami i myślami”, mówił Korniejczuk na zebraniu z pisarzami w sali muzeum Towarzystwa im. Szewczenki we Lwowie (w nieco już bardziej intymnym gronie, jako że było tam obecnych jedynie „przeszło 100 osób”). I kontynuował: „po wyborach do Ukraińskiego Zgromadzenia Narodowego, po dokonaniu nacjonalizacji ziemi i banków, po przyłączeniu Za-

chodniej Ukrainy do ZSRR, będziemy mogli przystąpić do zorganizowania Związku Literatów" ¹⁴.

Jak z tego przemówienia wynika, członek Komitetu Organizacyjnego już na dziesięć dni przed wyborami (spotkanie z pisarzami miało miejsce 13 października) wiedział doskonale, jakie będą ich wyniki. Uzyskać tę wiedzę wyprzedzającą bieg wydarzeń było nietrudno, bo podobnie jak Timoszenko, 9 dni przed nim Korniejczuk wypowiadał własnymi słowami jedynie wolę ludu, która dawała natarczywie znać o sobie poprzez rezolucje podejmowane na dziesiątkach zebraniach mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Białorusi ¹⁵. Cztery postulaty, odnotowuje *Prawda* w artykule opublikowanym na pierwszej stronie 11 października, powtarzają się wśród wysuwanych żądań – żeby ustanowić władzę sowiecką na zajętych terenach, żeby Zachodnią Ukrainę przyłączyć do Ukraińskiej SSR (artykuł na temat Zachodniej Białorusi wydrukowany został o dzień później), żeby skonfiskować majątki ziemskie i oddać ziemię chłopom, oraz żeby znacjonalizować banki i większe przedsiębiorstwa przemysłowe. Żądaniom tym w istocie stało się zadość, bo kiedy w dwa tygodnie później zbiorą się Zgromadzenia Narodowe we Lwowie i w Białymstoku, dokładnie taki właśnie czteropunktowy będzie porządek ich obrad.

Ale wielkie zebrania z przedstawicielami grup zawodowych ludności, o których piszą gazety, to tylko rzadkie ozdobniki kampanii przedwyborczej. Codzienna, żmudna praca propagandowa zorganizowana była inaczej – w małych grupach, przede wszystkim w miejscu zamieszkania i w pracy.

„Gdziekolwiek jesteś – wszystko jedno
przekonaj, dowiedz, pokaż
faktem i cyfrą
uderzaj w sedno
gestem i głosem proroka.
Agituj sobą – natchnioną fantazją
Słowem i pięścią – wraz
przemawiaj do tłumu
i do dziesięciu
Biją w nas serca mas.
Z trybun i ulic z placów przestrzennych

ludowi głos prawa ludu
i niechaj ci płomień tryska spod stóp
gdy wołasz: obalaj i buduj
w ścisku zbiegowisk gorącym szeptem
w twarz obojętnie spokojną
ciśnij wizją uroczną!
Aż spojrzą, uwierzą,
rozumieć poczną,
aż pojmą.
Powiedz, że trzeba, że można, że muszą
ruszyć masywy mitów
Bądź samą prawdą, w którą wierzysz
Agituj, agituj, agituj! ¹⁶

Bodaj najważniejsza informacja o tym, co się naprawdę wydarzyło podczas kampanii wyborczej, którą zręczny wierszyk Leona Pasternaka „Do Agitatora” zawiera, wyrażona jest w dwóch słowach: „do dziesięciu”.

W doświadczeniu niemal każdego mieszkańca terenów podbitych we wrześniu przez Armię Czerwoną kampania wyborcza tej pamiętnej jesieni składała się z serii spotkań, przeważnie w małym gronie, z tak zwanym agitatorem, zwanym niekiedy również „dziesiętnikiem”. Owo określenie „dziesiętnik”, stąd się brało, że ludność Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi podzielono na grupy obejmujące z grubsza biorąc dziesięć rodzin – na przykład dziesięć chałup na wsi, dziesięć mieszkań w większej kamienicy czynszowej, albo jedną stronę niewielkiej ulicy czy dom mieszkalny w mieście – i w tych grupach poddano ją propagandzie wyborczej ¹⁷. Ponieważ zebrania propagandowe odbywały się codziennie lub co drugi dzień, wymagało to nie lada organizacji i zaangażowania mnóstwa osób ¹⁸. Według sowieckiego historyka przy wyborach marcowych 1940 roku (zorganizowanych wedle dokładnie tego samego schematu), na Zachodniej Ukrainie pracowało „100 000” propagandystów ¹⁹. I choć informacji tej nie należy brać dosłownie (jak widać z cytowanych przeze mnie cyfr, osiągnięcia naukowego socjalizmu dają się tijać liczbowo tylko poprzez jedynki i zera), to jednak rząd wielkości, który ona oddaje, jest znaczący i prawdopodobny. Bo

rzeczywiście w pamięci ludzi, którzy październikowe wybory przeżyli „nasz powiat zalała nowa fala ludzi... jak się wyjaśniło – to byli politruki i politrabotniki z Mińska. Wszędzie ich było pełno”²⁰. „Zaroilo się tak w mieście jak na wsi. Moc agitatorów, przeważnie lejtnantów wojskowych czy NKWD. Wszyscy w skórzanych paltach lub kurtkach”²¹. I choć agitacją zajmowali się, jak to zaraz wyjaśnimy, nie tylko obywatele sowieccy, to oni właśnie najbardziej rzucali się w oczy.

Według relacji świadków najbardziej chyba uderzającym aspektem kampanii wyborczej była jej intensywność: to, że nie było można od niej uciec i że atakowała wszystkie zmysły. „Agitacja przedwyborcza odbywała się za pośrednictwem afiszów, mityngów, filmów propagandowych, pochodów i manifestacji”²², a także i za pomocą głośników zamontowanych na ulicach miast, przez które nadawano transmisje z wieców albo audycje propagandowe²³. „Agitacja była do tego stopnia rozwinięta, że dosłownie kroku nie można było zrobić, żeby się z nią nie spotkać”²⁴. W ramach kampanii wyborczej pokazy filmowe docierają wszędzie, nawet i na głuchą prowincję, zaś występy estradowe i inscenizacje²⁵ z reguły pokazywane są w zakładach pracy, gdzie i o salę łatwo i publiczność od razu jest na miejscu. „W fabrykach po pracy zamykali bramy, nie puszczając nikogo do domu”, opowiadał później blacharz z Drohobycza, „i zaczęli urządzać mityngi”²⁶. A na przykład w fabryce „Szapiro” w Budach koło Baranowicz pokazywano żywe obrazy w ten sposób, że „na scenie wywieszano zniekształconego orła z opuszczonymi skrzydłami, rysunek przedstawiający gen. Sikorskiego wchodzącego po drabinie i wołającego pomocy od «prostyutki» Francji – drugi rysunek przedstawiający łamiącą się drabinę i upadającego gen. Sikorskiego nie uzyskawszy pomocy. Rysunki te uzupełniane były i objaśniane odpowiednim doбором złośliwych i szyderczych słów. Z kolei wszedł na scenę działacz komunistyczny Szejko Stefan i dużą miotłą zmiotł orła, wywieszane na scenie portrety i flagę polską, a następnie wniesiono flagę sowiecką, portrety Stalina, Lenina i inne. Takie czy podobne mityngi”, informuje nas robotnik Józef Syćko, „urządzane przez działaczy komunistycznych pod kierownictwem NKWD, były dość często pokazywane w ośrodkach fabrycznych”²⁷.

Tak więc od propagandy wyborczej nie było ucieczki. W pracy podczas przerwy obiadowej albo po godzinach zmuszano ludzi, żeby chodzili na zebrania, po wyjściu doganiał ich głos agitatora z głośnika ulicznego, ze ścian i płotów kokietowały plakaty i odezwy ilustrujące niedolę dotychczasowego życia i zapowiadające lepszą przyszłość, stojących w kolejce przed sklepem zgarniała niejednokrotnie milicja i pędziła na rynek, aby wysłuchali mówcy, zmęczonych pasażerów w zatłoczonym pociągu wyrwać mógł z drzemki propagandzista, idący z wagonu do wagonu i powtarzający swoją kwestię ²⁸.

Czasami ściągano ludzi na zebrania podstępem – na przykład w Janowej Dolinie rozgłaszając, że o pewnej godzinie będą w sklepie sprzedawane buty czy artykuły spożywcze, których brakowało już od jakiegoś czasu. W Zicniewiczach, Bobrowiczach, Nowosiadach i Borunach zbierano chłopów pod pretekstem podziału ziemi albo bydła ²⁹. „Agitację prowadzono na zebraniach nie wspólnego z głosowaniem nie mających” ³⁰. Czasami, jak to pewien uczeń z Dubna zapisał, „mityngi i zebrania przedwyborcze nie tylko były przymusowe, ale z trikiem, gdy mityng się udał, dobrze był przeprowadzony, kooperatywy otwierano i można było kupić zapalki, wodę kolońską, sznurowadła i zabawki dziecięce” ³¹. Podobnie sprawa się miała w wielu innych miejscowościach, gdzie lokalne tak zwane kooperatywy, albo sklepiki fabryczne, otwierano dopiero po zakończonym pomyślnie zebraniu ³². Ale wykorzystywanie bodźców materialnych też bardziej przypominało podstęp niż przekupstwo, bo przedmioty udostępnione przy tej okazji, które się nie nadawały do natychmiastowego spożycia, wkrótce zostały miejscowej ludności odebrane ³³. Także z nadziału ziemi i zwierząt gospodarskich po pewnym czasie zaczęto mieszkańców stopniowo wywłaszczać.

Natarczywość kampanii wyborczej, która wdzierala się w życie mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi na wszystkie sposoby, podstępem i przemocą, za pośrednictwem dźwięków, słów albo obrazów, wyraża może najdosadniej postać dobosza idącego z hębniem przez wieś i powoli, rytmicznie, nawołującego ludzi do stawienia się o oznaczonej godzinie w wyznaczonym miejscu. W Laskowcach „każdego dnia pokoleji powski chodził zbębniem męszczyzna lub kobieta zbębniem powski

i bębnił muwil nate godziny każdy musowo iść", zaś w Łyścu „policjant z dużym bębniem przechodził przez miasto zatrzymując się na każdej ulicy. Uderzając w bęben zwracał na siebie uwagę wszystkich mieszkańców a następnie zapowiadał, że dziś wieczorem o godzinie tej i tej odbędzie się miting, na który obowiązani są wszyscy przybyć”³⁴. Nic, żadne mury, żadne drzwi nie chroniły mieszkańców przed głosem nowych czasów.

Prędko się zresztą okazało, że nie ma dokąd uciec, że wszędzie gdzie są ludzie, dociera również obowiązek obywatelski, że cała przestrzeń, w której toczy się życie, otwarta jest i dostępna dla wspólnoty. Podczas kampanii wyborczej w październiku 1939 roku nastąpiło, po raz pierwszy w doświadczeniu miejscowej ludności, obalenie prywatności. Życie grupowe, cele publiczne narzucone przez państwo ustaliły swój bezwzględny priorytet nad intymnością życia prywatnego. Okazało się bowiem, że organizatorzy wyborów mogą zwoływać zebrania w mieszkaniach prywatnych i że każdy człowiek może zostać postawiony w roli propagandy. „Ogólnie przyjęty był następujący sposób”, wyjaśnia student uniwersytetu lwowskiego, „do kamienicy przychodził NKWDzista i oświadczał, że u pana XY w jego prywatnym mieszkaniu musi się odbyć zebranie przedwyborcze lokatorów tej kamienicy”³⁵, zaś urzędnik z Młynowa prostymi słowami opisał drugi nowatorski aspekt październikowej kampanii: „władza miejscowa zmuszała, aby jedna osoba z każdego trzeciego domu zajmowała się agitacją przedwyborczą”³⁶.

W ten sposób szczególnie odcięto ludziom możliwość ucieczki od nowej rzeczywistości. Nie można jej było nawet zignorować, bowiem ścigała mieszkańców wszędzie, także w ich własnych mieszkaniach, i jeśli nawet nie stawała się natychmiast treścią ich poglądów, to w każdym razie ludzie zmuszeni byli ją wypowiadać. „Agitacja przedwyborcza odbywała się w ten sposób, że w mieszkaniu jednego z lokatorów, zazwyczaj zarządcy domu względnie bloku odbywało się wieczorem zebranie lokatorów ściśle według listy, na którym agitator, zazwyczaj Rosjanin, referował «dobrodziejstwo» ustroju komunistycznego oraz zaznaczał zebranych z ordynacją wyborczą i odpowiednimi przepisami konstytucji stalinowskiej. Rozporządzał zazwyczaj całą masą agitacyjnych broszur, wykresów statystycznych, plakatów i

obrazów, które rozdzielał obecnym, z poleceniem przygotowania referatu na jedno z góry zaplanowanych posiedzeń”³⁷. Na następnych spotkaniach, jak z tego wynika, mowy propagandowe wygłaszali już sami mieszkańcy.

W teorii można było oczywiście próbować jakichś wykrętów: zgubić broszurkę, zachorować, nie przyjść na umówione zebranie; ale że sankcje za nieobecność na spotkaniu przedwyborczym były bardzo surowe, skoro człowiek raz się znalazł na liście mieszkańców przynależących do jakiejś grupy agitacyjnej, tylko kosztem wielkiego ryzyka osobistego mógł się od obowiązku uczestnictwa w tych spotkaniach salwować. Często zresztą nie było w ogóle czasu do namysłu: na wiecu w pracy można było ni stąd ni zowąd być zaproszonym do prezydium, gdzie wręczano człowiekowi karikę z gotowym już przemówieniem i wywoływano w pewnym momencie na mównicę³⁸. Albo po prostu „na takich zebraniach kazano któremuś z Polaków wystąpić i mówić jak on żył i w jakich warunkach pracował on w Polsce, jeżeli z mowy wynikało że mu się powodziło nieźle, to za parę dni został aresztowany”³⁹.

Tego rodzaju improwizacje nie były bez ryzyka dla organizatorów, ale na ogół ludzie starali się tak mówić, żeby uniknąć nieprzyjemności. Zresztą bieda i pogardliwe traktowanie przez polską przedwojenną administrację białoruskiej i ukraińskiej ludności chłopskiej były na tyle powszechne i dotkliwe, że autobiograficzne wystąpienia często świetnie komponowały się w scenariusz przedwyborczej agitacji.

Ale ponieważ chodziło o to, żeby skutecznie oddziaływać na publiczność spędzaną na wiece przedwyborcze, to nie zdecydowano się agitacji kompletnie, by tak rzec, „puścić na żywioł”. Starano się więc, aby wygłaszali przemówienia ludzie wpływowi, mający autorytet. I na przykład nauczyciele byli masowo na „agitatorów z urzędu” wyznaczani⁴⁰. Łatwo się domyślić, że sporo ludzi włączonych w ten sposób w budowę nowego ustroju wcale nie było jego zwolennikami⁴¹. I rzeczywiście wielu członków komisji wyborczych znajdzie się wkrótce na zesłaniu, a potem w gronie ewakuowanych z armią Andersa do Persji. Ich wspomnienia pozwolą odtworzyć technikę przeprowadzenia wyborów niejako od podszewki, ponieważ możemy dzięki nim ocenić prace komisji i rzetelność procedury podliczania głosów.

Zwróćmy uwagę, że jak z przytoczonych tu relacji wynika, objęcie stanowiska w administracji sowieckiej czy w aparacie propagandy nie było wyróżnieniem, o które trzeba zabiegać, nagrodą za specjalne zasługi czy dowodem zaufania, ale raczej domniemanym (przez organizatorów sowieckiej władzy) obowiązkiem każdego człowieka. Z jednej strony zachowywano się więc tak, jakby świeżo podbite społeczeństwo trzeba było dopiero przerebić, wychować na modłę *homo sovieticus*, z drugiej natomiast tak, jakby je już zaludniali ludzie radzieccy. W efekcie oznaczało to, że społeczeństwo zostało zaangażowane w proces sowietyzacji i częściowo, by tak rzec, samo zadawało sobie gwałt. Niejaki Stein wydrukował w *Czerwonym Sztandarze* z 15 października artykuł pod znaczącym tytułem „Obowiązek każdego”. Czytamy w nim między innymi: „Nie szkoleni agitatorzy, ale wszyscy, którzy czują się na siłach, niech idą między robotników, włościan i inteligentów pracujących i niech mówią z wszystkimi o konstytucji ZSRR... Wszyscy, którzy umieją mówić, niech mówią o krzywdzie, o dawnych niesprawiedliwych wyborach, o wszystkich dawnych kruczkach i machinacjach”.

Tak to już przy okazji wyborów październikowych ujawnił się aideologiczny charakter sowieckiego ustroju. Okazało się, że nie trzeba mieć (ani nawet sugerować, że się ma) żadnych kwalifikacji światopoglądowych, aby nadawać się na apologetę nowego reżymu. Bowiem sytuacja, w której postawiono obywatela, tak została skonstruowana, że po to, aby zostać „aktywistą” – i to właśnie na odcinku propagandy – wystarczyło być biernym, posłusznym i poddać się, by tak rzec, nakazowi chwili. I odwrotnie, po to, aby zachować dystans, neutralność (nie mówiąc już o manifestowaniu sprzeciwu wobec narzuconych porządków), trzeba się było uaktywnić i publicznie ujawnić z tą intencją. Aktywistą było się z definicji, stojąc w szeregu; zaś osobą neutralną jedynie na ochotnika, występując krok do przodu.

Może najlepiej oddaje to zjawisko powszechnie stosowany zabieg w późniejszej fazie kampanii, kiedy ustalano kandydatów na posłów do Zgromadzenia Narodowego. Otóż po przedstawieniu kandydata zebraniem (którzy musieli go jeszcze wybrać, aby oficjalnie status kandydata uzyskać) prowadzący spotkanie zadawał jedno tylko pytanie: „kto przeciw?”⁴² Dzięki tej pros-

tej formule milczenie i bezruch stawały się manifestacją poparcia dla nowego reżymu. W jednej chwili znaczenia, które doświadczenie i zdrowy rozsądek przypisywały dotychczas zachowaniom zbiorowym, odmienione zostały we własne przeciwieństwo. I jeżeli dostrzeżemy w tym zabiegu jedynie przebiegłość sowieckich organizatorów i zbędziemy wzruszeniem ramion, to przeoczymy tragiczność sytuacji, w jakiej stawiano przysłowiową milczącą większość. Bowiem w obliczu tych magicznych słów milczenie przestało być oznaką niezaangażowania i stawało się, na odwrót, sposobem uczestnictwa; przestawało sygnalizować rezerwę a stanowiło zachętę; nic nie robiąc, występował człowiek w roli zwolennika nowego reżymu i dawał mu poparcie; nie wyróżniając się niczym, gubiąc się w tłumie, było się „za”. I na odwrót: po to, aby zakomunikować otoczeniu, że nie chce się mieć z nowymi porządkami nic wspólnego, trzeba się było przedstawić, odmówić propozycji, złożyć autodenuncjację. Aby w pełni zrozumieć, na czym polegała specyfika inscenizacji zbiorowych, w których poniekąd rola widza i aktora została odwrócona (no bo przecież to nie zebrana publiczność przyglądała się organizatorom tych spotkań, tylko na odwrót), trzeba mieć w pamięci, że ludzi zmuszano do uczestnictwa w zebraniach przedwyborczych, że ich zapędzano na wiece, często pod strażą, że za nieobecność na spotkaniu groziły surowe kary.

Ponieważ zebrania odbywały się w małych grupach, przeważnie w mieszkaniach albo w miejscu pracy, na podstawie listy lokatorów albo pracowników, albo na zasadzie sąsiedzkiej znajomości bardzo łatwo było ustalić, kto powinien na nich być obecny. Zazwyczaj gospodarz zebrania – dozorca domu albo lokator, u którego w mieszkaniu odbywało się zebranie – musiał zrobić listę obecności i ją sprawdzać⁴³. W biurze, w fabryce, albo w urzędzie, przelożony odpowiedzialny był za swoich pracowników i u niego należało usprawiedliwiać każdą nieobecność. Niekiedy puszczano wśród zebranych do podpisania listę albo wprowadzono zasadę, że tylko zaświadczenie od lekarza usprawiedliwia absencję na wiecu⁴⁴. No a poza tym stosowano, można by rzec, przymus bezpośredni: zamykano wyjścia z fabryki po godzinach pracy, żeby pracowników zatrzymać na wiecu, aresztowano ludzi za nieobecność na zebraniach⁴⁵, zwalniano z

pracy⁴⁸, nakładano grzywny i bito⁴⁷. Wprowadzono też sporo wymyślnych, niestandardowych, szykan. „Tym, którzy nie przychodzili na zebrania przedwyborcze, lub będąc na nich nie okazywali zapału do prowadzonej akcji, wybijano z zasady szyby w oknach”⁴⁸. „Byłem naocznym świadkiem jak zabierano sąsiadowi memu Skoczylasowi krowę, za to że nie chodził na «mityngi». Wypadków takich było dużo”⁴⁹. „Jeden z Ukraińców za niestawienie się na zebranie otrzymał następującą karę: grzywnę w wysokości 1 rubla spłacaną po 2 kopiejki dziennie. Do miejsca wypłaty (miasto powiatowe) było 7 km drogi”⁵⁰. Zakazywano ludziom wychodzenia z domu (areszt domowy), zamykano im sklepy, odbierano kartki żywnościowe i odmawiano obsługi w lokalnej „kooperatywie”, albo ni stąd ni zowąd dzień po dniu zaczynała nachodzić ich milicja robiąc rewizje, po których cały dom wyrócony był do góry nogami – wszystko w ramach represji za nieprzychodzenie na zebrania przedwyborcze⁵¹. Represje były więc właściwie całkowicie arbitralne, a ich skala niczym nie ograniczona. „Miasteczko Szereszów powiatu prużańskiego, za nieprzychylny ustosunkowanie się do agitacji i nieprzychodzenie na zebrania i mityngi, zostało podpalone”⁵².

Ale że nie o to chodziło jednak, aby nieobecnych karać, tylko o to, żeby ludzi zebrać razem i włączyć w psychodramę wyborów, oprócz represji stosowano także środki prewencyjne. I tak na przykład w Baranowiczach, w powiecie Kosów Poleski, sprawdzano obecność według spisu na samym początku spotkania i „w razie niezgłoszenia się na zebranie agitator przychodził kilkakrotnie do mieszkania z osobistym rozkazem przewodniczącego zebrania na kartce. Kartkę tę wzywany musiał podpisać i potwierdzić przyjęcie do wiadomości”⁵³. Zaś w gminie Poczajów w powiecie nowogródzkim, „w razie nieobecności natychmiast milicja wiejska siadała na konie i przyjeżdżała po nas i wyganiała z domu i pędziła przed sobą nieraz bijąc i znęcając się”⁵⁴. A z kolei rolnik z osady Krzywczaki w powiecie krzemienieckim takie zachował wspomnienie z październikowej kampanii: „W dniu, w którym miało odbyć się zebranie przedwyborcze, NKWD wysyłało na wieś kilkunastu łapaczy-konfidentów. Każdy łapacz musiał przyprowadzić minimum 10 ludzi na zebranie. Obławę za wyborcami robili w godzinach obiado-

wych, by jak najwięcej wyborców nakryć przy obiedzie, co im się też udawało”⁵⁶.

Przyszłych wyborców doprowadzano na zebrania grupowo, pod strażą, albo też gospodarzy domów czy dziesiętników zobowiązywano pod groźbą osobistej odpowiedzialności, żeby dostarczali powierzonych ich pieczy obywateli na wyznaczone miejsca, najlepiej w grupie zwartej⁵⁶. Poza tym bezustannie wyrażano ludziom straszac wywózką, aresztowaniem, zwolnieniem z pracy i tym, że zostaną wpisani „na czarną listę”. A że nie były to czcze pogroźki, łatwo się było przekonać, obserwując los niepokornych sąsiadów. Ponieważ agitację przedwyborczą prowadzono w małych grupach, oprócz pogroźek pod adresem ogółu zebranych dość było czasu i okazji do indywidualnych rozmów, po których nie podporządkowanie się instrukcjom organizatorów byłoby już jawną manifestacją oporu⁵⁷. Zważywszy więc na okoliczności, w jakich się odbywały, i częstotliwość zebrań przedwyborczych nie powinno zdziwić zniecierpliwienie miejscowej ludności, o którym pisze rolnik z Wawelówki: „Te mitingi tak ludziom obrzydły, że mówili już ludzie między sobą: na śniadanie chleb i woda, na obiad swoboda, na kolację miting”⁵⁸.

Co się działo podczas kampanii wyborczej i o czym mówiono na zebraniach? Przede wszystkim w celu przygotowania wyborów robiono spisy wyborców. Właściwie już od pierwszych dni okupacji nowe władze zajęły się gromadzeniem informacji, ogłaszając co kilka dni różnego rodzaju „rejestracje” mieszkańców. I w tym sensie spisy wyborcze nie były niczym nowym. Tyle tylko, że tym razem rejestracja nie obejmowała wydzielonej kategorii osób (np. oficerów albo lekarzy), ale wszystkich. Co więcej, informacje zbierane przy tej okazji niewątpliwie wybiegały poza zasięg zainteresowań komisji wyborczej, która przecież oprócz ustalenia miejsca zamieszkania przyszłego wyborcy mogła jeszcze co najwyżej chcieć wiedzieć, czy dana osoba spełnia census wieku ogłoszony w ustawie o wyborach. Tymczasem, jak wynika z relacji nauczycieli, których masowo zatrudniano przy sporządzaniu spisów, polecono im, aby chodzili od domu do domu „spisując wszystko i wszystkich”⁵⁹. Czasami bardziej to wyglądało na przesłuchanie niż przygotowywanie listy wyborczej, ale ponieważ wszystkie informacje zbierane oficjalnie kumulowały

się w ręku władzy, która mogła z nich zrobić dowolny użytek, więc w pewnym sensie nie było między rozmowami prowadzonymi pod różnymi pretekstami zbyt wielkiej różnicy. „Człowiek, gdy szedł na spis to żegnał się z rodziną, bo nie zawsze już wracał do domu”⁶⁰.

Podstawą akcji spisowej była dokumentacja polskich władz komunalnych, a w szczególności księgi meldunkowe i rejestry podatkowe. Abstrahując nawet od większego niż zwykle bałaganu w aktach, były to źródła niedoskonałe, ponieważ wydarzenia minionych dwóch miesięcy spowodowały migrację ludności. I tak wiele osób nie żyjących już od jakiegoś czasu albo po prostu nieobecnych figurowało w spisach i w rezultacie znalazło się na listach wyborczych⁶¹. A ponieważ podejrzewano ludzi, że się będą starali wykręcić od obowiązku głosowania, kiedy już czyjeś nazwisko znalazło się na liście, usunąć je z niej było niepokłobieństwem. W rezultacie, podczas październikowych wyborów „nawet i tacy musieli oddawać głos, którzy rok przedtym umarli”⁶².

Ale ważniejszym jeszcze feletem niż niedokładność spowodowana nadwyżką nazwisk w przedwojennych spisach był brak na nich nowo przybyłych uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski. Żeby więc uzyskać ewidencję odzwierciedlającą choćby w przybliżeniu rzeczywisty stan ludności, trzeba było przejść od domu do domu z ołówkiem w ręku i wszystkich policzyć. A że z reguły spisy nie wróżyły ludności nic dobrego i były zapowiedzią jakichś restrykcji w niedalekiej przyszłości (np. aresztowań albo konfiskat majątkowych), patrzono z niechęcią na osoby biorące w nich udział i bynajmniej nie ułatwiano im pracy.

Czasami więc organizatorzy wyborów na szczeblu lokalnym stosowali podstępny, ogłaszając na przykład, że będą uchodzić za wydawać pozwolenie na powrót, albo że należy się zapisywać po kartki na drzewo opałowe⁶³. W ten sposób udawało im się zdobyć nazwisko i adres, którego inaczej być może nie potrafiliby ustalić. Zaś nauczyciele, których, jak wspominałem, przy spisach wyborczych nagminnie zatrudniano, musieli się z reguły czuć w tej roli bardzo nieswojo, mając świadomość, że działają w jakiś istotny sposób na szkodę społeczności lokalnej. „Do mnie”, wspominał krawiec Hieronim Wierzbicki, „przyszło spisywać na-

uczycielka szkoły 7-o oddziałowej w Krewie, Bondarowicz, która płakała u mnie, że ją zmuszają robić ten spis”⁶⁴. W każdym razie warto zapamiętać, że na listach wyborczych umieszczano nazwiska uciekinierów, którzy znaleźli się na tych terenach tylko czasowo, jak również obywateli sowieckich, którzy tu dopiero co przybyli⁶⁵.

Analizując treść wystąpień na wiecach przedwyborczych, można z grubsza podzielić poruszane tematy na dwie grupy: po pierwsze omawiano warunki życia w Polsce przedwojennej, stając się wykazać, że były nie do wytrzymania i, po drugie, opisywano ustroj sowiecki i los człowieka w Kraju Rad dowodząc, że powodzi się tam wszystkim wyśmienicie. W ten sposób używano obrazu kontrastujący to, co było z tym, co dopiero będzie. I znowu, żeby nie popaść w łatwą ironię musimy pamiętać, że te wątki propagandowe (a w szczególności ponura wersja międzywojennej historii Polski) miały pokrycie w doświadczeniu publiczności spędzonej na niejeden wiec. Na razie jeszcze nikt dobrze nie wiedział, na czym polega życie w ustroju sowieckim i słowa wypowiedane przez agitatorów konfrontowane były przede wszystkim z pamięcią o tym, jak się słuchaczom powodziło w Polsce, rzadko kiedy z domniemaniem czy zatartą już trochę wiedzą zdobytą dwadzieścia lat wcześniej na temat tego, co przynosi prostemu człowiekowi zwycięstwo rewolucji bolszewickiej. I choć wśród propagandystów przeważali ignoranci, którzy nie wiedzieli o Polsce przedwojennej ani o tym, na czym polegały upokorzenia i prześladowania ludności ukraińskiej, białoruskiej, albo żydowskiej, to przecież bywali wśród nich również ludzie inteligentni i dobrze poinformowani, bo miejscowi: pewna liczba byłych komunistów na przykład. Wliczając do tej grupy młodzież KZMP-owską, „życiowców”, na pewno dałoby się zebrać parę tysięcy osób podnieconych i w gruncie rzeczy szczęśliwych, że mogą otwarcie, i z pewnością bardzo przekonująco, mówić o krzywdach w ustroju kapitalistycznym i o prześladowaniach mniejszości narodowych w Polsce międzywojennej. Również trochę młodzieży żydowskiej i ukraińskiej (choć ci ostatni bardziej angażowali się w milicji niż w propagandzie), i to niekoniernie powiązanej przed wojną z lewicą (Ukraińcy wchodzący w siatkę tworzącej się sowieckiej admini-

stracji robili to najczęściej na polecenie organizacyjne OUN) aktywnie włączyło się w życie publiczne, występując na wiecach i spotkaniach domowych⁶⁶. W sumie to, co mieli do powiedzenia, nie bardzo irzymano się kupy i było, jak myślę, nie do zaakceptowania dla miejscowej ludności. Przekonamy się zresztą, że ludzie mieli w rezultacie tej kampanii wyborczej niesamowity balagan w głowach i rzeczywiście nie wiedzieli o co chodzi, to znaczy kogo właściwie wybierają i po co. Ale że niejednokrotnie między mową a publicznością tworzyła się więź sympatii, nie należało wątpić. Wanda Wasilewska, na przykład, opowiadała później znajomemu jeszcze z przedwojennych krakowsko-pepesowskich czasów, jak ją po wiecu otoczyły zwartym kołem zadowolone słuchaczki i jak jedna z nich, wyrażając ogólnie, najwyraźniej, podzielaną opinię, odezwała się w te słowa: „Paniusia bardzo nam się podoba i my wszystkie będziemy na paniusię glosować. O jedno tylko paniusię bardzo błagamy: niech paniusia broni nas przed tymi bolszewikami”⁶⁷.

Musimy więc umieć dostrzec, że czasami w wystąpieniach niektórych agitatorów pojawiały się wątki, które znajdowały odzew wśród zebranej publiczności. Wnioski, do których dochodzili zebrani, niekoniecznie musiały pokrywać się z intencją mówcy, co nie przeszkadzało bynajmniej temu, że wytwarzała się między nimi nić porozumienia. Kiedy na przykład do zebranej na wiecu ludności przeważnie żydowskiej „politruk” powiedział, że jak „nie będą glosować na Stalina to będzie Ukraina Petlurowska i powtórzą się znowu pogromy”, to chociaż był to „tryk”, jak słusznie zauważył Mojżesz Tkacz biuralista z Równego, jednak argument przecież pasował do nastroju chwili⁶⁸. Bowiemy w przeżyciu mniejszości narodowych zamieszkujących te tereny wejście Armii Czerwonej we wrześnie 1939 wiązało się z równouprawnieniem. O doświadczeniach mniejszości narodowych (z pewnym wahaniem używam tego określenia, bowiem „mniejszości” były na Zachodnie, Ukrainie i Zachodniej Białorusi w większości, co zresztą samo przez się wytwarzało specyficzną atmosferę w kontekście sowieckiej okupacji) napiszę obszerniej w innym miejscu, tutaj pragnę tylko zaznaczyć, że rozpadnięcie się polskiej administracji oznaczało dla tych grup ludności natychmiastową emancypację. Z dnia na dzień Ukraińcy,

Żydzi i Białorusini przestali być obywatelami drugiej kategorii i doświadczenie to, szczególnie dla młodzieży, było oszalamiające. A że przestali być obywatelami w ogóle i że nastąpiło zrównanie w dół wszystkich, dowiedzieli się dopiero stopniowo, w ciągu paru miesięcy, podczas których sowiecka administracja krzepła i dawała się coraz lepiej poznać. Na początku października panowała jeszcze euforia i chyba dopiero wybory i kampania wyborcza były pierwszym ocknięciem się w rzeczywistości sowieckiej. Do października przeżywano raczej zniknięcie Polski (co dla wielu, ze zrozumiałych przyczyn, było bardzo przyjemne) niż nadejście Sowietów.

Zastanawiając się nad treścią propagandowych wystąpień i reakcją ówczesnej publiczności, musimy odnotować przede wszystkim zmęczenie, znużenie i nudę. Życie większości ludzi było kompletnie chaotyczne. Ukrywano się, poszukiwano zagubionych członków rodziny, mieszkania, środków do życia. Usiłowano zorientować się, co wolno a czego nie i komu. I nagle do tych ważnych, męczących i pracochłonnych zajęć dorzucono ludziom jeszcze jedno, zupełnie bezsensowne: a mianowicie codzienny obowiązek, bezwzględnie egzekwowany, uczęszczania na wielogodzinne nieraz zebrania. „Podczas tych zebrań”, opowiadał później naoczny świadek, „60% rolników-słuchaczy spało, zmęczeni całodzienną pracą oraz znużeni mową, której nie rozumieli”⁶⁹. Bo nierzadko agitatorzy odwalali po prostu swoją robotę. „Agitację wyborczą”, wspomina urzędnik zarządu miejskiego ze Lwowa, „zaczęto prowadzić od nauki konstytucji, która odbywała się w ten sposób, że po zajęciach służbowych zbierano wszystkich pracowników w jednym lokalu, wchodził jakiś żołnierz sowiecki i czytał poszczególne ustępy konstytucji w języku ukraińskim, od czasu do czasu pytając «poniali», obecni kiwali głowami”⁷⁰. Przemówienia, czy też raczej lektura broszurek propagandowych (zazwyczaj czytano konstytucję albo historię WKP(b)), w języku niezrozumiałym dla zebranej publiczności były na porządku dziennym⁷¹. Czasami prelegent nie władający językiem polskim przyprowadzał ze sobą tłumacza i wtedy zebranie przeciągało się w nieskończoność. Wobec monumentalnej nudy zięjącej z tego rodzaju wieczorynek na pewno z wdzięcznością muszą wspominać swego naczelnika pracownicy

poczty nr 1 w Stanisławowie za to, że im po prostu rozdał broszurkę z tekstem konstytucji, kazał się jej nauczyć na pamięć i obiecał podwyżkę wszystkim, którzy dobrze później zdadzą u niego egzamin⁷².

Przychodził wreszcie taki moment, kiedy mówcy występujący na zebraniach wyborczych zabierali się do porównań, w których zalety sowieckiego ustroju przeciwstawiane były skandalicznym porządkom panującym w Polsce międzywojennej. Zasłona nudy unosiła się wtedy na chwilę i publiczność albo wpadała w osłupienie, albo wybuchała śmiechem. I tak, na przykład, prelegent omawiający na spotkaniu w Bielgosprojekcie (dawne Biuro Planu Regionalnego w Białymstoku) konstytucję stalinowską i sowieckie prawo wyborcze wyjaśniał, że teraz każdy głos będzie się równo liczył, podczas gdy w Polsce jeszcze do niedawna ten, kto miał więcej dolarów, mógł złożyć więcej głosów niż wyborca, który dolarów nie posiadał⁷³. Tego rodzaju bzdurne wypowiedzi zawałowały robotę propagandową, co zresztą jeden z pracowników obecny na zebraniu w Bielgosprojekcie (nota bene, sympatyk nowego ustroju) od razu zauważył. To skandal, oburzał się ów inżynier, żeby podobnych nieuków posyłano do instytucji, w której każdy pracownik ma co najmniej średnie wykształcenie!

Na marginesie trzeba zauważyć, że praca propagandy w społeczeństwie, które dopiero zaczynało uczyć się, na czym polega rola publiczności i opinii publicznej w ustroju sowieckim, była trudna i niepozabawiona gorzkich doświadczeń. W miejscowości Stary Dwór, na przykład, „przydzielono dwóch agitatorów z NKWD na 10 dni, gdyż poprzedni zostali wyśmiani”⁷⁴. We wsi Bogusze kobiety zwymyślały niejakiego Gryhajedowa, który przyjechał z Mińska („precz łachmanie”) i ludzie rozeszli się do domów⁷⁵. W Złotkowicach, wspomina młynarz Władysław Buczkowski, „byłem świadkiem charakterystycznego zdarzenia na mityngu. Gdy jeden z miejscowych mówców rozpoczął przemawiać wychwalając ZSRR, obecna na mityngu żona jego wyrwała kołek z obok stojącego płotu i pobiła dotkliwie męża”⁷⁶. Wprawdzie aresztowano później tę krewką kobietę, podobnie zresztą jak i wiele innych osób, które w pierwszej fazie kampanii wyborczej na serio brały zachęty prelegentów, żeby zadawać py-

tania podczas zebrań, ale zleceńodawcy nie umiejących sobie dać rady agitatorów najpewniej i w stosunku do nich wyciągali surowe konsekwencje. Niejednokrotnie więc zdarzały się przy okazji zebrań przedwyborczych awantury i, w rezultacie, aresztowania ⁷⁷.

Świadomi zapewne uprzedzeń, które burżuazyjna propaganda musiała przez 20 lat zaszczepić miejscowej ludności agitatorzy usiłowali początkowo uspokajać słuchaczy: „tłumaczono, że dzisiejsi bolszewicy różnią się od bolszewików z czasów rewolucji rosyjskiej. Głoszono, że dziś nie ma samowoli, na wszystko są ustawy, praca idzie planowo” ⁷⁸; „mówiono..., że będzie tak jak było, tylko będzie pod ich protektoratem” ⁷⁹. Kiedy indziej znowu odwoływano się do mechanizmu konieczności historycznej i apelowano o pogodzenie się z losem, przeciwko któremu zebrani i tak nic nie mogą. Zapewniano ich, że Polska już nigdy nie powstanie i żeby na pomoc nikąd nie liczyć, bo władza sowiecków wkrótce zapanuje już w Anglii, w Ameryce, w Niemczech nawet, i w ogóle na całym świecie ⁸⁰. „Komisarz w pierwszych słowach oświadczył, że w tym dniu pamiętnym i historycznym wszyscy zostajecie obywatelami ZSRR i miejcie to na uwadze, że gdy raz bolszewicka noga stanęła to już nic się nie odmieni. Zwrócono się do miejscowej ludności o wygłoszenie mowy. Wystąpił Dymon, mieszkaniec okolicznej wsi, który wręczył komisarzowi listę. Gdy ten spytał co to, oświadczył, że jest to spis szkodliwych ludzi, których jako patriotów polskich należy usunąć. Komisarz przyjął listę i po długim namyśle oświadczył, że skoro było Państwo, to musieli być i patrioci” ⁸¹.

No i dlaczego takiemu sprawiedliwemu człowiekowi nie zaufać? Tym bardziej, że nowa epoka historyczna, wedle tego co mówili, nie była pozbawiona dobrych stron. W ZSRR, na przykład, nie płaci się podatków ⁸². „Związek Sowiecki jest najbogatszy na świecie, mają miliony fabryk, samochodów, armat, traktorów, tanków i 665 tysięcy kombajnów. Twierdził, że robotnicy sowieccy są panami, na urlop wyjeżdżają co roku do uzdrowisk... Twierdził, że 65 letni robotnicy otrzymują emeryturę, i że nieprawdą jest, że są używani na mydło, jak to złośliwi kontrrewolucjoniści głoszą. Starzy u nich cieszą się wielką opieką. Bezrobocia lub żebraków wcale u nich nie ma, kolchoźnicy po-

siadają meble, krowy, nawet maszyny do szycia i patefony”⁸³. Mówili, że u nich kino jest bezpłatne i że wszystko mają, nawet kopalnie cukru („myślał że polacy ciemny naród nic nie wiedzo że cukier wyrabia się w fabryce”) ⁸⁴. „Obiecywali przytem, że przywożą cukier, sól, cukierki, naftę, skórę, wódkę i odzież. A kiedy ludność dopytywała się, dlaczego jeszcze nie przywieźli odpowiadali, że muszą poszerzyć tory”⁸⁵. Czasami dawali po prostu kurs praktyczny sowieckiego parlamentaryzmu: „Uczyli ludność na mityngach w jaki sposób należy głosować, na przykład agitator wymieniał nazwisko kandydata i pytał się tłumy kto jest za nim, a kto przeciw, podnosząc równocześnie rękę do góry krzyżąc «wsie» albo «nikto». Tłum rozbawiony zawsze takim mityngiem krzyżał razem z nim «wsie» albo «nikto»”⁸⁶. W ostateczności jednak na pytania zasadnicze umieli odpowiedzieć poważnie: „gdy pytano poco to głosowanie, odpowiadali że waszego rządu nie ma musicie przyłączyć się do sowieckiego sojuza i musicie wybrać deputatów w wierchowny sowiet przyzapytaniu czy my wybierzem swoich kandydatów, odpowiedzieli was to nie nie obchodzi my sami wyznaczmy, a wy musicie na nich głosować; wtenczas my mówimy że wten sposób nie będziemy głosować; na to odpowiedzieli kto niebędzie głosował to unas dla takich odpowiednie miejsce jest”⁸⁷.

W miarę upływu czasu, im bardziej zbliżał się dzień wyborów, atmosfera gęstniała, coraz mniej było ludziom do śmiechu, coraz rzadziej kpili sobie z prelegentów, pogrożki i represje stopniowo wywierały zamierzony efekt: ludzie zaczęli się bać. W Andrzejewie „na dwa tygodnie przed wyborami nie można było pójść wieczorem do domu drugiego sąsiada, jeżeli kogokolwiek złapano wieczorem nie w swoim domu to zaraz aresztowali i zarzucali agitację przeciw wyborczą”⁸⁸.

Cytując obszernie nonsensowne fragmenty wystąpień mówców sprzed pół wieku nie po to bynajmniej, żeby czytelnika rozbawić (choć świadkowie wydarzeń nieraz, z pewnością, pokładali się ze śmiechu), ale raczej aby wyrazić grozę tych czasów. Bo oto mieszkańcy Zachodniej Ukrainy i Białorusi, w miarę upływających dni kampanii wyborczej, musieli zacząć sobie zdawać sprawę, choćby nawet nie werbalizując od razu tego doświadczenia, że znaleźli się w domenie władzy absolutnej. Całkowita dowolność

środków dyscyplinarnych, które stosowano wobec nich, aby wymusić obecność na zebraniach i całkowita dowolność tekstów, które do nich wygłaszano w ramach propagandy wyborczej, wyrażały dosadnie nowy status, który im przypadł w udziale: od woli, od widzimisię nowej władzy nie było odwołania, nawet do zdrowego rozsądku.

Zwróćmy wreszcie uwagę na jeszcze jeden bardzo ciekawy aspekt październikowych wyborów. Najwięcej uchwycił to zjawisko pewien rolnik z Głębokiego, mówiąc o wyborach, że „nikt nie wiedział do czego i po co”⁸⁹. Nie możemy wątpić, że tak rzeczywiście było, bowiem relacje z całego obszaru okupacji powtarzają monotonicznie, że mieszkańcom Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi cel wyborów był nieznany⁹⁰. Wiadomo było, mniej więcej, że chodzi o wybranie delegata do jakiegoś Zgromadzenia Narodowego, ale czym to zgromadzenie miałoby się zajmować, już nie było oczywiste. „Głosowano na jakieś nazwiska”, powiedział rozsądnie pewien gospodarz z Kupisk-Nowych, „nie na przynależność”⁹¹. Wielu myślało, że to są jakieś „tymczasowe” wybory, tylko na czas wojny, dlatego zapewne, że siatka administracji lokalnej ustanowiona przez Sowietów miała w nazwie słowo „tymczasowe”⁹². Nielicznym wydawało się, że z tego wszystkiego ma powstać „wolna” Białoruś albo Ukraina⁹³.

W miastach bardziej niż na wsi wiedziano o tym, jaki, formalnie rzecz biorąc, jest cel wyborów. Niejasność o co idzie w kampanii wyborczej, która z jednej strony była przecież najzupełniej ogólnikowa (czytawano konstytucję ZSRR, historię WKP(b), opowiadano o życiu w kolchozach, itp.) potęgowana była przez czas przeszły dokonany, w którym mówiono o Polsce. Więc jeśli już ktoś uważał, że Sowietci przyszli, aby zostać, to uznawał to po prostu za fakt dokonany. „Przyłączenie północno-wschodnich obszarów Polski do ZSRR było faktem dokonany i nikt z oficjalnych czynników ZSRR nigdy nie mówił, że wybory to plebiscyt”⁹⁴.

Tryb czasownikowy i treść propagandy, kiedy mówiono o przyłączeniu Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do ZSRR, nie pozwalały wątpić, że sprawa jest przesądzona. Na przykład w przeddzień wyborów *Czerwony Sztandar* zamieścił

na pierwszej stronie artykuł zatytułowany tłustym drukiem: „Przyłączenie do Związku Radzieckiego, oto woła narodów Zachodniej Ukrainy”. Uważniejsi czytelnicy pisma, których interesowały nie tylko nagłówki z pierwszej strony, od dawna już zresztą wiedzieli, co ma się stać. Cytowani wcześniej przeze mnie Timoszenko i Korniejczuk nie używali przecież trybu przypuszczającego tylko oznajmujący, opisując przyszłość Zachodniej Ukrainy we wspólnej radzieckiej ojczyźnie. Zaś na przykład artykuł z 15 października 1939, pod tytułem „Nasze granice są nienaruszalne” (napisany wedle autora w celu uspokojenia dezorientowanej opinii publicznej) przedstawiał niedwuznacznie oficjalne stanowisko władz sowieckich: „W ciągu ostatnich dni wrogowie pracujących uporczywie rozprzestrzeniają kłamliwe i jawnie prowokacyjne pogłoski o tem, jakoby oddziały Czerwonej Armii zamierzały porzucić zajęte terytorjum Zachodniej Ukrainy. Wrogowie przytaczają jako przykład fakt oddania przez Rząd Radziecki Wilna i obwodu wileńskiego Litwie. Propagandyści i agitatorzy powinni wyjaśnić miejscowej ludności, że te i tym podobne prowokacyjne i oszczercze pogłoski nie mają nic wspólnego z rzeczywistością... Granice ZSRR ustalone na zachodzie na podstawie paktu z Niemcami, są trwale i nienaruszalne”. Wątpliwe, czy ten cyniczny komunikat uspokoił opinię publiczną, natomiast z pewnością utwierdził czytelników w przekonaniu, że planowane na za tydzień wybory to fikcja, czyli że nie wiadomo właściwie, o co w nich chodzi, bo o tym, jakie ziemie przyłączyć i do czego – Wilno do Litwy, Lwów do Kijowa, czy Białystok do Mińska – to władze sowieckie świetnie potrafią decydować same. A że w dodatku krążyły plotki o audycjach z Londynu, w których rzekomo mówiono „aby wszyscy byli powolni i głosowali tak jak chcą bolszewicy, gdyż takie głosowanie nie ma żadnego znaczenia”⁹⁵, nikt już zapewne nic nie rozumiał i tylko świeża wątpliwość i niejasne przeczucie, że skoro tak zupełnie nie wiadomo, o co chodzi i skoro wszystko jest tak zupełnie bez sensu, to musi w tym jednak być jakiś plan i cel ukryty. Tylko jaki?

PRZYPISY

Cytowane materiały archiwalne składają się przeważnie z odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez Samodzielny Referat Historyczny Armii Polskiej na Wschodzie (tzw. Armii Andersa) wśród żołnierzy i rodzin wojskowych ewakuowanych z ZSRR w 1942 roku do Persji. Ankieta, składająca się z siedmiu pytań, dotyczyła wyborów październikowych z 1939 roku i pierwszego okresu okupacji sowieckiej. Oprócz odpowiedzi na pytania respondenci podają również swoje nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania przed wojną oraz zawód. Kwestionariusze oznakowane są zazwyczaj numerami. Dokumenty te znajdują się obecnie w Instytucie Hoovera (HI) w Kalifornii. W odnośnikach podają nazwę kolekcji: Polish Government Collection (PGC); Anders Collection (AC) lub Poland; Ambasada USSR Collection; numer pudła (w odniesieniu do kolekcji PGC, w której kwestionariusze nie są uporządkowane wedle rosnących numerów) oraz numer przyporządkowany cytowanemu kwestionariuszowi (np. AC, 1515; albo PGC, Pudło 53, 2455). Jeśli kwestionariusz nie jest oznakowany numerem, podaje nazwisko respondenta (np. Poland, Ambasada USSR Collection, Jadwiga Majewska). W Ośrodku Studiów, kierowanym przez profesora Wiktora Sukiennickiego, z części tych kwestionariuszy zostały porobione w 1944 roku wyciągi. Opracowania te, spisane na maszynie, grupują wypowiedzi według powiatów. W Instytucie Hoovera zdeponowane są w Polish Government Collection. Cytując te wyciągi, podaje nazwę powiatu (która jest zarazem tytułem opracowania) i stronę. Niektóre powiaty opracowane były wstępnie w grupach i dopiero później opisane w osobnych opracowaniach. Można więc, dajmy na to, spotkać dwa maszynopisy zawierające relacje z powiatu krzemienieckiego. Hlekoć cytując opracowania grupujące kilka powiatów, odnośnik opatrzony jest gwizdkiem.

¹ Sekwencja wyborów na Wileńszczyźnie, początkowo wraz z Wilnem przyłączonej do Litwy, była trochę inna i przebiegała zgodnie z rytmem wchłaniania przez ZSSR krajów bałtyckich – Litwy, Łotwy i Estonii.

² *Czerwony Sztandar*, gazeta lwowska ukazująca się od pierwszych dni sowieckiej okupacji (początkowo jako pismo Zarządu Politycznego Frontu Ukraińskiego, później zaś jako oficjalny organ Komitetu Ohwodowego partii), określa też powstałe wówczas ciało przedstawicielskie mianem Ukraińskiego Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy. Spotkać się też można od czasu do czasu z nazwą Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe Zachodniej Ukrainy lub Zachodniej Białorusi. W praktyce nowej administracji nazewnictwo było początkowo dość płynne, choć zagadnienia językowe w ogóle stanowiły ważny problem ideologiczny i poddawane były uważnej analizie.

³ Public Record Office, FO, 371/23103.

⁴ Delegacja litewska, według szeregowej relacji ówczesnego dyrektora departamentu politycznego litewskiego MSZ, pojechała na rozmowy do Moskwy 3 października. W zamian za rzeczenie się Wilna i okolic Sowieci domagali się zgody na zakwaterowanie garnizonów Armii Czerwonej w całym kraju. Litwini początkowo nie chcieli się zgodzić na tę transakcję i delegacja dwukrotnie obracała między Kownem a Moskwą zanim wreszcie, 9 października, podpisała traktat ze Związkiem Sowieckim. Stąd, należy się domyślać, niepewność, czy i w Wilnie przyjdzie organizować wybory w październiku, czy też raczej miasto i okolica zostaną postruktowane zgodnie z terminarzem planowanego na później „wyzwolenia” Litwy.

Eduard Turauskas, „Communist Diplomacy Exposed”, Bulletin no. 2, *Lithuanian Information Service*, Nowy Jork, luty 1941.

⁵ *Czerwony Sztandar*, 6 X 1939.

⁶ HI, AC, 7624.

⁷ *Czerwony Sztandar*, 14 X 1939.

⁸ *Czerwony Sztandar*, 8 X 1939.

⁹ Andrzej Wyszyński, *The Law of the Soviet State*, Macmillan, Nowy Jork 1948, str. 695 – tłum. z rosyjskiego wydania z 1938 roku.

¹⁰ *Czerwony Sztandar*, 8 X 1939.

¹¹ Weźmy na przykład kandydaturę Adama Polewki, pisarza krakowskiego pochodzącego z proletariackiej rodziny. Na początku października, opowiadał później Polewka Michałowi Borwiczowi, złożyło mu we Lwowie wizytę trzech enkawudystów. Polewka był przekonany, że niezapowiedzeni goście przyszli go aresztować, jako że miny mieli poważne i nie tracąc czasu zaczęli go wypytywać o dane biograficzne, sprawdzając zgodność odpowiedzi z zapisem w kartotece, którą ze sobą przynieśli. Nagle, w konkluzji tej denerwującej rozmowy, prowadzący przesłuchanie Soviet wstał, naciśnął Polewce rękę i oświadczył: „Tak, wy będziecie deputat do Wierchownej Rady”. No i rzeczywiście, „wybrano” wkrótce Polewkę, który dopiero w parę miesięcy później uciekł do Generalnej Guberni. (Michał Borwicz, „Inżynierowie dusz”, *Zeszyty Historyczne*, 1963, str. 141; porównaj również HI, PGC, relacje 2965, 3036).

¹² Pińsk, 33; Jaworów, 19; Kalusz, 30; Luniniec, 25; Równie, 58; HI, Poland, Ambasada USSR, Pudło 47, Adela Jaworska.

¹³ *Czerwony Sztandar*, 15 X 1939; *Prawda*, 14 X 1939.

¹⁴ *Czerwony Sztandar*, 15 X 1939.

¹⁵ *Gazeta Lwowska* donosi już 6 października o licznych zebraniach w miasteczkach i wsiach Zachodniej Ukrainy. „Jesteśmy pewni – brzmi na przykład rezolucja uchwalona na wiecu mieszkańców wsi Zaskowice – że nasze myśli i dążenia zgodne są z dążeniami całego ludu Zachodniej Ukrainy i prosimy o przyjęcie nas do wielkiej rodziny narodów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”.

¹⁶ *Czerwony Sztandar*, 14 X 1939.

¹⁷ Łomża, 41a; Wilejka, 24; Nieśwież, 38; Mołodeczno, III.4; Drohobycz, 25, 26; Zdobnow, 56; Białostocki, 21; Szczuczyn, 17; Nieśwież, 39; Sambor, 24; Rudki, 13; Nowogródzki, 29; Pińsk, 33; Prużana, 17; Lida, 17.

¹⁸ I. Ia. Kosharnyi, *U suziři sotsialistичnoi kulturi*, Lwiv 1975, Wydawnictwo pri Lwiskomu Derzawnomu Uniwersiteti, str. 39.

¹⁹ HI, Poland, Ambasada USSR, Pudło 48, Maria Saja.

²⁰ Nieśwież, 39

²¹ Równie, 22.

²² Wilejka, 23; Chodorów, 7; Bóbrka, 16; Jaworów, 19; Kowel, 33; Skalat, 23.

²³ HI, PGC, Pudło 95, 9738.

²⁴ Artykuł w *Prawdzie* (16 X 1939) informuje o pociągu agitacyjnym, który wyruszył z Kijowa 15 października na trasę Sarny-Zdobnow-Lwów; w składzie pociągu 10 wagonów: wagon-muzeum im. Szewczenki, wagon kul.owy z aparaturą filmową, wagon-redakcja, artyści zespołu taneczno-muzycznego kolei i agitatorzy. Patrz także, Łomża, 41a; Ostrołęka, 7; Wilejka, 24; Dobromil, 13; Drohobycz, 25; Pińsk, 33; Rudki, 13; Prużana, 17; Mościska, 18.

²⁵ Drohobycz, 24. Patrz także, HI, PGC, Pudło 234, 1401; Dzisiaj, 22; Pińsk, 33; Krzemieniec, 56; Białostocki, 34.

- 27 HI, PGC, Pudło 102, 2960.
- 28 Sokolski, 28; HI, PGC, Pudło 99, 6589.
- 29 Lida, 20; Kostopol^o, 13; Oszmiana, 65; Kosów Poleski, 20; Luboml^o, 8; Wilejka, 25; Łomża, 39.
- 30 Brasławski, 15.
- 31 Dubno^o, 19.
- 32 Białystok, 35; Mościska, 18; Białostockie, 21; Kołomyja, 39; Włodzimierz Wołyński, 20.
- 33 Jak to opisał gajowy z Sosnowik, Józef Podbielski, chociaż „w okresie przedwyborczym zezwolono z lasów państwowych bez żadnego ograniczenia i bezpłatnie wywozić materiał budowlany i opałowy, ...jednakowoż bezpośrednio po wyborach nakazano zabrane drzewo pod groźbą odpowiedzialności sądowej zawieźć do tartaku”. III, PGC, Pudło 101, 2982.
- 34 III, PGC, Pudło 97, 7227; Pudło 98, 2246.
- 36 HI, PGC, Pudło 10, 1698.
- 36 Dubno, 58.
- 37 Sambor, 23.
- 36 Przemyśl, 39; Luck, 41; Mołodeczno, III.3; wywiad z Lwem Wasylem, Nowy Jork, wiosna 1981.
- 36 III, PGC, Pudło 95, 6130.
- 40 HI, PGC, Pudło 105, 7997. Porównaj także Pińsk, 34; PGC, Pudło 95, 8449; Poland, Ambasada USSR, Pudło 46, Stefan Ogrodnik.
- 41 „W pierwszych dniach października – wspomina nauczyciel z Girewicz, Franciszek Syzdał – przyjechał lejtnant z jakimś cywilem, jak się okazało był to inżynier z Moskwy będący w służbie politrabotnika. Oznajmili mi, że chcą urządzić miting, a ponieważ mam wpływ na miejscową ludność powinienem przemawiać na mitingu i to w języku rosyjskim. Na pytanie dlaczego w rosyjskim a nie polskim, oświadczyli że nie wszyscy będą mnie rozumieć, to znaczy oni jako strona kontrolująca. Wy-mawiałem się nieznaną dla nich mową, na to jednak byli przygotowani, mowa była już przygotowana i napisana, należało tylko odczytać. W owej chwili nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji odmówienia wzięcia udziału w mitingu a jednak odmówilem... Nic na tym nie straciłem ponieważ, jak się później okazało, aresztowano i tych którzy w pierwszej chwili na skutek słabości charakteru wyparli się swoich zasad”. III, PGC, Pudło 96, 7579.
- 42 Łomża, 41; Lida, 23; Kobryń, 30; Prużana, 23; Luck, 49; Horochów, 27; Krzemieniec^o, 237 Równe^o, 26.
- 43 Wilejka, 25; Mołodeczno, III.5; Nowogródzki, 29; Szcuczyn, 17; Pińsk, 33; Drohobycz, 25; Gródek Jagielloński, 15.
- 44 Mościska, 18; Kobyń, 25; Równe^o, 24; Oszmiana, 65.
- 46 Sambor, 23; Bóbrka, 16; Luck, 43; Horochów, 21; Nadworna, 31.
- 46 Drohobycz, 24; Kostopol, 56; Krzemieniec^o, 20; Równe, 56; Zolobunów, 18; III, PGC, Pudło 100, 3294.
- 47 Sambor, 23; Gródek Jagielloński, 16; Zolobunów, 56; III, PGC, Pudło 101, 6814.
- 48 III, PGC, Pudło 97, 7325.
- 48 III, PGC, Pudło 95, 1025.
- 50 Skalat, 24.
- 51 Horochów, 19; Mołodeczno, III.6; Dolina, 37.
- 52 Prużana, 17.

- ⁵³ Kosów Poleski, 20.
- ⁵⁴ Nowogródzki, 29.
- ⁵⁵ Krzemieniec*, 19.
- ⁵⁶ Kobryń, 25; Przemyśl, 38; Kowel, 35; Śniatyń, 28; Białostocki, 22.
- ⁵⁷ „Bo kto z odważniejszych nie poszedł na miting ten był notowany i następnego dnia do niego szedł do mieszkania sam komunista z zapytaniem: poczem ty towarzyszu nie był na mitingu? Czo tiebie nie nrawitsia sowieckaja właść? Pomnij kto nie z nami ten protiv nam. My takich wrogow sowieckiego sojuza unlcztożajem. Po tych groźbach, czy kto chciał czy nie chciał na mityng iść musiał”. Oszmiański, bez strony.
- ⁵⁸ Skalał, 23, 24.
- ⁵⁹ Dolina, 39. Patrz także HI, PGC, Pudło 104, 2318; Pudło 102, 6581; Pudło 98, 4887.
- ⁶⁰ Ow gajowy z Terawy Solnej, w powiecie sanockim, do spisu chodził „w nocy o godz. 23, 2 młc, przy sporządzaniu spisu spisali cały mój życiorys. Każdy człowiek musiał pod przymusem iść na spis i to przeważnie na oznaczoną godzinę”. S-nok, 16.
- ⁶¹ Żydaczow, 17; Prużana, 30; Przemyśl, 43; Zdołbunów, 64; Równe, 64; Sambor, 26; Drohobycz, 28.
- ⁶² Jaworów, 22.
- ⁶³ Przemyśl, 61; Horochów, 27; Białystok, 39; HI, PGC, Pudło 10, 7047.
- ⁶⁴ HI, PGC, Pudło 104, 2318.
- ⁶⁵ Lubaczów, 21; Drohobycz, 30; Przemyśl, 43; Zdołbunów, 64; Gródek Jagielloński, 18; Wilejka, 29; Lida, 22; Sambor, 27; Brasławski, 17.
- ⁶⁶ Porównaj, na przykład, Anna Jędrzychowska, *Zygazkiem i po prostu*, Warszawa, Czytelnik, 1965, str. 291 i następne; Marian Naszkowski, *Lata próby*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1965, str. 115, 116, 121; Maria Turlejska, *Prawdy i fikcje*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1968, str. 275; Rozmowa z Włodzimierzem Brussem, Oxford, lato 1980.
- ⁶⁷ Michał Borwicz, „Inżynierowie Dusz”, *Zeszyty Historyczne*, Paryż, 1963, str. 141.
- ⁶⁸ HI, PGC, Pudło 100, 2212.
- ⁶⁹ HI, PGC, Pudło 95, 6590.
- ⁷⁰ HI, PGC, Pudło 234, 2594.
- ⁷¹ Drohobycz, 24; Łomża, 41; Białystok, 32; Nieśwież, 39; HI, PGC, Pudło 10, 5146, 4450.
- ⁷² HI, PGC, Pudło 98, 7743.
- ⁷³ HI, PGC, 4796.
- ⁷⁴ HI, PGC, Pudło 96, 11074.
- ⁷⁵ Sokolski, 29.
- ⁷⁶ HI, PGC, Pudło 99, 2224.
- ⁷⁷ Białostockie, 21; Nieśwież, 38; HI, PGC, Pudło 101, 2181; Pudło 10, 3458; Pudło 103, 2198.
- ⁷⁸ HI, PGC, Pudło 102, 898.
- ⁷⁹ HI, PGC, Pudło 97, 6026.
- ⁸⁰ Łomża, 39; Wilejka, 23, 24; Pińsk, 30; Kobryń, 25; Lida, 19; Łuniniec, 26; HI, PGC, Pudło 97, 10268; Pudło 98, 2828.
- ⁸¹ Postawski, 20.
- ⁸² HI, PGC, Pudło 100, 10097.

- ⁶³ Nieśwież, 39.
⁶⁴ HI, PGC, Pudło 101, 8107.
⁶⁵ Lida, 20.
⁶⁶ HI, PGC, Pudło 97, 3098.
⁶⁷ HI, PGC, Pudło 96, 993.
⁶⁸ Ostrów, 12.
⁶⁹ Szczuczyn, 30.
⁷⁰ Łomża, 56, 71; Białystok, 55, 56; Ostrów, 43; Sokolski, 41; Postawski, 32; Wilejka, 40; Dzisna, 36, 37; Brasław, 13, 14; Nowogródzki, 39, 40; Lida, 16, 17; Nieśwież, 53; Sambor, 36, 37; Pińsk, 29, 30; Łuniniec, 39; Dobromil, 22; Bóbrka, 17; Skalań, 31; Przemysł, 62, 63.
⁷¹ Łomża, 71.
⁷² Nieśwież, 53; Bóbrka, 17; Luck, 59; Włodzimierz Wołyński, 31.
⁷³ Kosów Poleski, 17; Dubno, 52; Równe*, 22.
⁷⁴ Brasławski, 14.
⁷⁵ HI, PGC, Pudło 96, 859. Patrz także Pudło 97, 3944; Pudło 100, 5877.

KWARTALNIK
POLITYCZNY

krytyka

WYDAWANY POZA CENZURĄ W POLSCE

W nr. 18: Prawo „stanu powojennego” – opracowanie prawników (II) *WOKÓŁ IDEOLOGII*: M. Komar: Gra o terror: M. Sobołewski: Ustroje demokratyczne i niedemokratyczne; S. Żelazny; Lewica – kryzys tożsamości. *HISTORIA NAJNOWSZA*: Powstanie KKP (posiedzenie delegacji MKZ – 17 IX 1980 w Gdańsku). *O PARTII*: M. Jagiełło: Kilka refleksji o aparacie partyjnym 1980-1981; Próba (rozmowa z Edwardem Skrzypczakiem). *SOCIOLOGIA BEZ DEBITU*: I. Bialecki: Co myśleli Polacy w roku 1981? (na marginesie badań „Polacy '81”). *ROZMOWY KRYTYKI*: Rozmowa z André Glucksmannem. *U INNYCH – NOWI „REALIŚCI”*: Od redakcji; Trzy wystąpienia. A. Celiński: Wokół czego dialog? *POLEMIKI*: J. Surdykowski: Miejsce spotkania; D. Kałbarczyk: Królestwo Boże nie jest z tego świata. *Z GALERII PISARZY PRL*: J. Wał: Roman Bratny, czyli cena obecności; A. Płatek: Pultrament nieznan, czyli ucłowieczenie komunizmu. *NAD KSIĄŻKAMI*: S-ki: W poszukiwaniu prawdy o czasach wojny; M. Górka: Podróż niemiecka; P.M.K.: „Solidarność” czyzma Brytyjczyka. *WIDZIANE INACZEJ*: Zey: Przeciw lamentom i realizmowi na kacu. *PUBLIKACJE NADESLANE*.

Dostępne są wszystkie dotychczas wydane numery w cenie:

nr 1-2, 10-11, 13-14, 15, 16, 17, 18 — £ 4,00, \$ 11,00

nr 3, 4, 9 — £ 2,00, \$ 5,00

nr 5, 6, 7, 8, 12 — £ 3,00, \$ 7,50

Zamówienia wraz z wpłatą należy przesyłać na adres:

Aneks, 61 Dorset Rd. London W5 4HX, England
załączając czeki lub przekazy pieniężne wystawione na Aneks.

polska gospodarka

Waldemar Kuczyński

O DŁUGACH OD KUCHNI

W związku ze swym zadłużeniem Polska prowadzi od wielu lat rozmowy z wierzycielami, które co jakiś czas kończą się kolejnym porozumieniem o odłożeniu i restrukturalizacji naszych zobowiązań, ponieważ nie ma wystarczającej ilości pieniędzy na ich zapłacenie. Obecnie jesteśmy w drugiej rundzie, to znaczy odkładane są długi już poprzednio odłożone. Rozmowy trwają bez przerwy z bankami prywatnymi, natomiast rozmowy z państwami, u których jesteśmy zadłużeni, zostały wznowione jakiś czas temu po kilkuletniej przerwie spowodowanej stanem wojennym. Oprócz tego istnieją kontakty z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Bankiem Światowym, które nasiliły się po przyjęciu Polski do tych organizacji w czerwcu 1986 roku. Komunikaty ze spotkań są zwykle krótkie i mało mówiące lub nie ma ich w ogóle. Mówi się zaś na tych spotkaniach o sprawach, które w ostatecznym rachunku dotyczą w Polsce wszystkich. Od trzeciego do piątego grudnia ubiegłego roku na przykład w Warszawie przebywała grupa ekonomicznych ekspertów reprezentująca kilka wielkich banków zachodnich, których jesteśmy dłużnikami*.

* Reprezentowane były, z tego co wiemy: Dresdner Bank AG, Bank of Tokyo, Bank of America, Banca Commerciale Italiana, Société Générale, Bankers Trust Company, Swiss Bank International, Lloyds Bank International.

Chcieli się oni zorientować, jakie są widoki wykonania przez Polskę zobowiązań podjętych w porozumieniach o przełożeniu płatności długów. W tym celu odbyli szereg spotkań. Rozmawiali w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, w Komisji Planowania, w Ministerstwie Finansów i w Instytucie Handlu Zagranicznego. Ze strony polskiej uczestniczyli między innymi: wiceminister handlu zagranicznego Janusz Kaczurba, wiceminister finansów Andrzej Dorosz, Janusz Zajchowski wiceprzewodniczącą Komisji Planowania, prof. Józef Soldaczuk i inni. Żadna wiadomość o tej wizycie nie została podana, prawdopodobnie ze względu na jej czysto informacyjny charakter. Od jednego z zachodnich uczestników rozmowy udało się nam dowiedzieć, o czym była mowa i jakie stanowiska zajmowały strony. Zdobyliśmy też trochę liczb, które nie są podawane do wiadomości publicznej, a pozwalają precyzyjniej ocenić sytuację płatniczą Polski, niż to jest możliwe w oparciu o Rocznik Statystyczny. Przekazujemy te wiadomości, ponieważ uważamy, że nie ma powodu, by publiczność polska wiedziała o swych w końcu sprawach mniej niż zachodni bankierzy.

1. Sytuacja płatnicza kraju

Sytuację płatniczą kraju określa się przez zestawienie wszystkich jego przychodów i wydatków, inaczej mówiąc, przez sporządzenie bilansu płatniczego. Główną częścią tego bilansu jest zestawienie przychodów z eksportu towarów i wydatków na import towarów. Nazywa się ono bilansem handlowym. Oprócz bilansu handlowego w bilansie płatniczym są różne przychody i wydatki nietowarowe. Wśród nich zaś pozycje związane z regulowaniem zadłużenia wobec zagranicy. Do tych pozycji należą z jednej strony raty i odsetki kredytowe, które muszą być w danym okresie zapłacone, a z drugiej strony środki na pokrycie tych zobowiązań. Dalej mowa będzie o tej tylko, dłużniczej części bilansu płatniczego w roku ubiegłym i w roku bieżącym.

ROK 1986

Wedle tego, co podano przedstawicielom banków zachodnich w Warszawie, początkowe zobowiązania przypadające do zapła-

cenia w roku 1986 wynosiły 5,8 miliarda dolarów, czyli nieco tylko mniej niż zarobiliśmy na eksporcie towarów do krajów zachodnich (6,5 mld dol.). Wskutek jednak porozumień podpisanych w trakcie roku z rządami i bankami zachodnimi, przesunięto na dalsze lata obowiązek zapłacenia 2,7 mld dolarów. Pozostały więc nieco ponad 3 mld, z czego półtora miliarda należało się państwu zachodnim, około 600 mln bankom, około 300 mln krajom socjalistycznym, a reszta (600 mln dol.) przypadała na jakieś różne zobowiązania o niesprecyzowanej naturze. Tak wyglądał rachunek do zapłacenia.

Jak wyglądała sytuacja w portfelu? Po pierwsze znalazło się w nim 1,08 mld dolarów nadwyżki między dochodami z eksportu towarów i wydatkami na import. Tyle wypracowała na regulację zadłużenia gospodarka narodowa. Do tego doszła 900 mln dolarów, które wypracowała ludność we własnym zakresie*. Jest to różnica pomiędzy pieniędzmi, które w 1986 roku wpłynęły na prywatne rachunki dewizowe w Banku PKO a tymi, które zostały z nich podjęte. Do tego trzeba dodać jeszcze różne drobne kwoty, co dało w sumie około 2 mld dolarów na regulację zobowiązań dłużniczych.

Z jednej więc strony rachunek na ponad trzy miliardy dolarów, a z drugiej strony portfel z dwoma miliardami. Rok ubiegły zamknęła więc Polska, jeśli tak można powiedzieć, dziurą w „dłużniczym budżecie” w wysokości ponad 1 mld dolarów, który przeszedł na rok bieżący. Są to wszystko sumy, które nie zostały zapłacone zachodnim rządów, uznanym widać przez władze polskie za wierzyciela najbardziej wyrozumiałego. Pokryto natomiast zobowiązania na rzecz banków prywatnych, krajów socjalistycznych i na rzecz tych różnych, nieco tajemniczych wierzycieli, którym należało się 600 mln dolarów.

* Liczba ta pochodzi z Raportu Konsultacyjnej Rady Gospodarczej – „Gospodarka w roku 1986” (*Życie Gospodarcze* 22.2.1987), natomiast liczba poprzednia z „Komunikatu GUS o sytuacji społeczno-gospodarczej kraju w roku 1986”, *Rzeczpospolita* 3.2.1987. Cyfry podane ekspertami zachodnimi były nieco niższe i oparte o przewidywania na podstawie rezultatów 10 miesięcy ub. r.

ROK 1987

Sytuacja płatnicza w tym roku będzie trudniejsza niż w roku poprzednim. Gdyby policzyć wszystko, co normalnie należałoby zapłacić, to wypadło by tego jakieś 7,2 mld dolarów. Na mocy jednak porozumienia podpisanego w ubiegłym roku z bankami prywatnymi odłożono nam na później 1,2 mld należności, które powinniśmy uregulować w tym roku. Pozostaje więc do zapłacenia około 6 mld dolarów, w tym ponad jeden miliard zaległości z roku ubiegłego na rzecz rządów zachodnich. Pozostałe 5 mld dolarów to ponad trzy miliardy na rzecz rządów zachodnich, około 600 mld dla banków prywatnych, około 250 mln na rzecz krajów socjalistycznych i znów ta nie wyjaśniona kwota prawie 600 mln dolarów różnych innych zobowiązań.

Stan portfela, wedle oceny Ministerstwa Finansów w Warszawie, zapowiada się gorzej niż w roku ubiegłym. Przewiduje on nadwyżkę eksportu nad importem w wysokości 1 mld dolarów. Do tego dojdzie nadwyżka wkładów dewizowych ludności, którą szacuje się w tym roku na 650 mln dolarów. Na pokrycie zobowiązań przypadających do regulacji w tym roku nie da się więc zgromadzić nawet tyle pieniędzy, co w roku ubiegłym.

Zróbmy proste zestawienie rachunków do zapłacenia i zawartości portfela dla dwu omówionych lat:

	1986	1987
a) Początkowe zobowiązania dłużnicze (mld dol.)	5,8	7,2
b) Zobowiązania po odroczeniu płatności (mld dol.)	3,0	(?)
c) Środki na regulację zobowiązań (mld dol.)	2,0	1,6
d) Stosunek c:a (w procentach)	34,0	23,0

Polska oczywiście nie zapłaci ponad siedmiu miliardów dolarów w tym roku, bo to jest niemożliwe materialnie. Na pewno odbędą się zróznowienia z wierzycielami, po których część należności zostanie odroczone. Kwoty, jaka pozostanie do zapłacenia, na razie nie znamy. Została więc ona oznaczona w tabeli znakiem zapytania. Z tabeli widać, że zdolność płatnicza naszego kraju, jako dłużnika, jest niewielka i szybko maleje. Pokazuje to szczególnie wskaźnik (d) mówiący o tym, jaką część należności byłaby w stanie Polska zapłacić, gdyby nie stosowano wobec niej różnych odroczeń kredytowych, które są tak czy owak

formą sztucznego podtrzymania dłużnika niezdołnego stać na własnych nogach. Wskaźnik ten maleje z dwu przyczyn. Po pierwsze dlatego, że maszynę długu powiększający się ciągle o nie płacone procenty sprawia, iż powiększają się co,ocznie kwoty przypadające do zapłacenia, nawet mimo wcześniejszych odroczeń. Po drugie dlatego, że ilość pieniędzy przeznaczonych na regulację zobowiązań nie rośnie, lecz raczej maleje, co z jednej strony wynika z ciągle bardzo słabej zdolności eksportowej gospodarki, a z drugiej strony z pewnej zmiany polityki, która nastąpiła jakieś dwa lata temu.

2. Stanowisko strony polskiej

Wierzycieli interesuje w gospodarce dłużnika jedna właściwie kwestia: czy i kiedy potrafi on zrównoważyć przynajmniej bilans płatniczy, aby mógł płacić odsetki od długu w obowiązującej na rynku międzynarodowym wysokości. Jeżeli odsetki są regularnie płacone, to zwrot samego pożyczonego kapitału ma mniejsze znaczenie. Główną drogą do zrównoważenia bilansu płatniczego jest zwykle systematyczne powiększanie nadwyżki eksportu nad importem, czyli jak to się mówi fachowo, powiększanie dodatniego salda bilansu handlowego. Goście zachodni, jakżeśmy się dowiedzieli, poprosili więc przede wszystkim o informacje na ten temat i dalsza dyskusja w zasadzie wokół niego się obracała. To zaś, czego się dowiedzieli, wzbudziło ich zdziwienie i niepokój. Po pierwsze powiedziano im, że nie ma żadnych przewidywań, gdy chodzi o bilans płatniczy w najbliższych latach dlatego, że jego zrównoważenie nie jest celem planu pięcioletniego. Przewidywania zaś w tej sprawie są bardzo trudne ze względu na tak podstawowe niewiadome, jak szansa uzyskania dodatkowych kredytów z Zachodu. Plan pięcioletni – mówili polscy rozmówcy – został zresztą skonstruowany przy założeniu, że z tej strony nie będzie do końca dekady liczącego się dopływu kredytów. Pewne nadzieje dotyczą Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Światowego Banku Rozwoju, ale odnoszą się one raczej do lat 90-ych ze względu na bardzo czasochłonne procedury obowiązujące w tych organizacjach. Polska w najbliższych pięciu latach będzie więc polegała głównie na własnych

możliwościach i dotyczy to również regulowania zobowiązań dłużniczych. Krótko mówiąc Polacy zajmowali następujące stanowisko: nie liczymy specjalnie na Was, ale nie licząc też specjalnie na nas. Widać to wyraźnie z danych dotyczących planowanej do roku 1990 nadwyżki bilansu handlowego, która ma rosnąć raczej symbolicznie z jednego miliarda dolarów w roku 1986 do niecałego miliarda trzystu milionów dolarów w roku 1990. Łącznie w obecnym pięćcioleciu ma być wypracowane na rzecz obsługi długu nieco ponad 6 mld dolarów różnicy między eksportem i importem, czyli 1,2 mld średnio rocznie. Jest to o trzysta milionów dolarów mniej, niż uzyskano w rekordowym z tego punktu widzenia roku 1984.

Strona polska, zapytana, dlaczego skonstruowano plan nie uwzględniający zupełnie punktu widzenia wierzycieli i mogący jedynie zniechęcić ich do prób dopomożenia Polsce, odpowiedziała, że o planie przesądziły wewnętrzne konieczności gospodarcze. Na krótką metę są one ważniejsze niż płacenie długów, a na dłuższą metę mogą temu dopomóc. Na początku lat 80-ych, mówili gospodarze, musieliśmy, mimo załamania produkcji, podtrzymać konsumpcję po to, by ratować stabilizację polityczną. Po wprowadzeniu stanu wojennego udało się szybko odbudować wydobyć surowców, głównie węgla kamiennego, podczas gdy produkcja przemysłu przetwórczego, przez załamanie importu, była ciągle niska, a więc niższe było też zapotrzebowanie na surowce. Dzięki temu w latach 1982-1984 eksport rósł szybko, a import o wiele wolniej, co pozwoliło na spektakularną poprawę bilansu handlowego, który w 1984 roku zanotował rekordową nadwyżkę ponad 1,5 mld dolarów [w roku 1981 występował deficyt bilansu handlowego w wysokości 600 mln dolarów. - W. K.]. Nie jest to jednak dalej możliwe. Po pierwsze dlatego, że wzrost produkcji przemysłu przetwórczego podnosi wewnętrzne zapotrzebowanie na surowce, co utrudnia ich eksport. Po drugie dlatego, że kilkuletnia polityka podtrzymywania konsumpcji z powodów politycznych i zarazem blokady importu spowodowała załamanie procesu inwestycyjnego, groźne dla przyszłości kraju. W najbliższych zatem latach import musi wzrastać, aby powstrzymać proces starzenia się (dekapitalizacji) istniejącego aparatu produkcyjnego. Trzeba też dokoń-

czyć stare inwestycje, w które włożono już tyle pieniędzy, że nie można ich spisać na straty.

Goście w zasadzie nie kwestionowali tego rozumowania, próbowali natomiast wykazać stronie polskiej, że powinna szukać rozwiązań bardziej zrównoważonych, które by uwzględniały interesy dwóch stron. Dwóch a nawet trzech, bo w pewnym momencie pojawił się temat radziecki. Wysłannicy banków zauważyli, że Polska poważniej traktuje swą rolę jako dłużnika w stosunku do krajów socjalistycznych, a głównie do ZSRR, niż w stosunku do Zachodu. Tymczasem rozmiary zadłużenia sugerowałyby coś zupełnie odwrotnego. Polski dług na Zachodzie jest kilkakrotnie większy niż dług wobec ZSRR. Natomiast plan pięcioletni większe znaczenie przywiązuje do zobowiązań wobec Związku Radzieckiego. Podczas gdy w handlu z Zachodem nadwyżka eksportu nad importem prawie się nie zmienia, w handlu ze wschodnim sąsiadem widać wyraźne dążenie do systematycznej poprawy bilansu handlowego. Wskazywałoby na to również zwiększenie eksportu polskiego węgla do ZSRR i równoczesny spadek tego eksportu na Zachód. Czy nie jest więc przypadkiem tak – pytali eksperci bankowi – że nastawiacie się na poprawę swego położenia w stosunku do Rosji, kosztem w kalkulowanego pogorszenia sytuacji wobec wierzycieli zachodnich? Polacy zaprzeczyli temu twierdząc, na przykład, że na wzrost eksportu węgla do Związku Radzieckiego składają się nadwyżki, których nie udało się wywieźć na Zachód. Ogólnie jednak argumentacja ich nie była przekonująca i w istocie wyszło z niej, że powiększające się długi wobec Rosji są mniej szkodliwe, bo wynikają one z dodatkowych kredytów, za którymi stoją towary przychodzące do kraju. Tymczasem wzrost długów w stosunku do Zachodu pochodzi obecnie wyłącznie z dopisywania nie płaconych procentów, za którymi nie stoi nic.

Strona zachodnia próbowała następnie wysondować, jak dalece wchodziłoby w grę zmniejszenie konsumpcji po to, aby wygospodarować dodatkowe środki na poprawę bilansu handlowego. Rozmówcy polscy odpowiedzieli, że zarówno banki, jak i Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie doceniają politycznych konsekwencji obniżenia konsumpcji. Dziś jej ochrona nie jest kwestią tak bardzo pierwszorzędą, jak była jeszcze parę lat te-

mu. Gdyby w toku wykonywania planu 5-letniego zagrożone zostały poważnie jego strategiczne założenia dotyczące inwestycji, to może wchodzić w grę ich obrona kosztem konsumpcji. Byłyby to jednak decyzje bardzo trudne, póki co nie są przewidywane, przeciwnie, konsumpcja ma nieco wzrosnąć. W sumie jest to nadal kwestia politycznie wrażliwa, tym bardziej że Zachód popiera opozycję, która w swej walce z władzami – zdaniem jej przedstawicieli – posługuje się ekonomiczną demagogią. Niebezpieczna jest właśnie ta demagogia, a nie sam fakt istnienia opozycji, z którą można by współżyć, gdyby była konstruktywna, powiadali polscy rozmówcy.

Goście zachodni pytali wreszcie, dlaczego plan pięcioletni cechuje wyraźnie defensywną postawą, jeśli chodzi o generalną poprawę efektywności gospodarczej, która mogłaby wyrazić się w oszczędnościach surowców i materiałów importowanych, a przez to wpłynąć na wzrost nadwyżki w bilansie handlowym. W związku z tym poruszona była też sprawa tak zwanego drugiego etapu reformy. Polacy odpowiadali, że gdy chodzi o zadania w zakresie poprawy efektywności, plan jest istotnie bardzo ostrożny, może nawet konserwatywny, ale za to realistyczny, uwzględniający możliwą dziś do przewidzenia skalę jakościowych przekształceń gospodarki. Tym właśnie różni się on od planów z czasów gierkowskich, które częściej przypominały wyborczą platformę. W planie pięcioletnim na przykład nie są wkalkulowane żadne oczekiwania co do drugiego etapu reformy – kontynuowali Polacy – ponieważ jest on dopiero opracowywany. Trudno wobec tego mówić o przyszłych rezultatach.

3. Uwagi

Wyżej starałem się przekazać wiernie zdobyte przez nas wiadomości. Jeżeli pominąć dane dotyczące zobowiązań płatniczych Polski w roku 1986 i 1987, które nie były ogłoszone, to żadnej rewelacji zachodnim ekspertom bankowym nie podano. Przedstawione w paragrafie drugim stanowisko strony polskiej nieco wyraźniej tylko powtarza to, co można wyczytać z różnych oficjalnych wystąpień i z treści planu pięcioletniego. Na rewelację mogłoby wyglądać, że polskie władze gospodarcze nie mają

przewidywać odnośnie bilansu płatniczego w najbliższym pięcioletciu. Osobiście zupełnie w to nie wierzę. Jestem przekonany, że takie szacunki zrobiono, lecz nie zostały pokazane, bo tak czy owak krępowałyby swobodę strony polskiej w stosunkach z wierzycielami. Jeżeli są – z punktu widzenia wierzycieli – równie złe jak bilans handlowy, to ich podanie pogarszałoby dodatkowo obraz Polski jako dłużnika. Jeżeli zaś są lepsze, niż by to wynikało z bilansu handlowego to, ujawnione, stałyby się siłą rzeczy swoistym zobowiązaniem.

Mówiąc ogólnie, zarówno z tego, co wyżej relacjonowaliśmy jak i z innych zupełnie jawnych źródeł wynika, że odnośnie zadłużenia władze prowadzą, jeżeli tak można powiedzieć, politykę centrową. Z jednej strony nie chcą wytworzyć wrażenia, że Polska dołącza się do krajów ogarniętych pokusą niepłacenia (Peru, Brazylia itp.). Z drugiej strony dają do zrozumienia, że płaciły będą nie tyle, ile się należy, lecz tyle, ile mogą. Możliwości płatnicze ograniczone są przez potrzeby wewnętrzne, to znaczy powstrzymywanie dekapitalizacji i utrzymywanie stabilizacji politycznej. To są zmienne niezależne. Zmienną zależną są rozmiary ewentualnej pomocy z zewnątrz. Jeżeli będzie ona większa, to możliwości wywiązania się Polski z zobowiązań będą większe.

Postawa taka jest słuszna tylko częściowo. Wierzycielskie kraje i banki, w miarę jak zadłużenie światowe narasta, mają coraz mniejsze możliwości wywierania na dłużników skutecznego nacisku, by zmusić ich do regulacji zobowiązań według normalnych wymagań międzynarodowego rynku finansowego. Już dziś po ekonomicznych stronach gazet zachodnich wałęsa się informacja, że banki po cichu spisały na straty połowę swoich należności (ok. 300 mld dolarów) w krajach dłużniczych. Od naszego rozmówcy wiemy, że dotyczy to także Polski. To ciche umorzenie prędzej czy później stanie się jawne. W tej sprawie ogólna sytuacja w dziedzinie zadłużenia działa na korzyść naszego kraju. Drugą sprawą jest szansa na dodatkową pomoc. Tutaj ta sama ogólna sytuacja działa przeciwko Polsce. Po nauczce, jaką wierzyciele dostali za swą politykę kredytową lat 70-ych, nie są dziś oni chętni do angażowania się w różne operacje ratunkowe. Aby ich tym zainteresować, trzeba mieć bardzo dobrze uzasad-

nioną koncepcję poprawy swej sytuacji finansowej. Otóż władze polskie nie mają takiej koncepcji. Wynika to zarówno z oceny ekspertów bankowych po omówionej wyżej wizycie, jak i z oceny ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego zrobionej we wrześniu ubiegłego roku. W obydwu opiniach dostrzega się pozytywne elementy w ewolucji sytuacji gospodarczej i w zamierzeniach władz, ale równocześnie podkreśla się bardzo mocno, że nie tworzą całościowej i dostatecznie daleko idącej koncepcji, która by rokowała nadzieje i uzasadniała efektywniejszą współpracę z Polską. Jak wiadomo, głównym atutem władz w ostatnim czasie jest tak zwany drugi etap reformy. Lepiej być może byłoby go nazwać drugim rozpoczęciem reformy, bo ma się w nim robić to, co należało zrobić parę lat wcześniej i co – dodajmy – parę lat wcześniej byłoby łatwiej zrobić. Ma się więc rozluźnić administracyjną kontrolę cen przez ponowne rozszerzenie zakresu cen umownych. W rezultacie ceny w tym roku wzrosną wyżej niż w latach poprzednich, a przyjęty w planie wskaźnik 15% trzeba przyjmować jako wielkość minimalną, a nie maksymalną. Zapowiada się zarazem ostrzejszą kontrolę dochodów i płac, między innymi przez wysokie opodatkowanie funduszu płac przedsiębiorstw. Gdyby te zamiary były wykonane, to rok 1987 będzie dla budżetów domowych trudniejszy niż poprzednie. Może to być natomiast rok większej poprawy, gdy chodzi o dostępność towarów na rynku. Przedsiębiorstwom władze obiecują tak zwane twarde finansowanie, zmniejszenie dotacji i przymus ekonomiczny, przy patrzeniu jednak na ręce odnośnie cen. Gdyby się to udało, to być może istotnie zaczęto by w przedsiębiorstwach rozglądać się bardziej za poprawą własnej gospodarki. Te elementy „drugiego etapu” są dobrze widziane przez wierzycieli, jeżeli chodzi o ocenę kierunku. Natomiast uważają oni, że zaciśnięcie pasa, które się za nimi kryje, powinno być mocniejsze.

Drugi etap ma jednak ogromny słaby punkt, na który zwracają uwagę również eksperci zachodni. Nie przewiduje on mianowicie – jak dotąd – zlikwidowania sztucznej monopolizacji gospodarki przez rozwiązanie różnych zbędnych zrzeszeń, związków spółdzielczych, ministerstw branżowych i tak dalej. Otóż dopóki istniał będzie ten aparat – ogromny i wpływowy – do-

póty nie da się wprowadzić prawidłowych cen, zlikwidować dotacji ani zastosować tak zwanego twardego finansowania i przymusu ekonomicznego. Nie da się tego zrobić, ponieważ ów aparat nie pozwoli na coś takiego, bo w ten sposób straciłby rację bytu. Biurokracja gospodarcza (na przykład do rozdzielania dotacji) nie dlatego istnieje, bo nie ma prawidłowych cen i wobec tego potrzebne są dotacje. Przeciwnie: muszą istnieć niewłaściwe ceny, aby trzeba było jednym odbierać, a drugim wyrównywać bo tym właśnie zajmuje się owa biurokracja. Mówiąc bardziej teoretycznie: cały układ parametrów rynkowych nie może stać się prawidłowy, ponieważ jest on wypaczony przez sam fakt istnienia w mechanizmie gospodarczym wielkiej struktury organizacyjnej. Ta struktura jednak nie wzięła się z nikąd po to, by istnieć tylko dla siebie. Została ona stworzona, aby samemu szczytowi władzy politycznej zapewnić możliwość dowolnej integracji gospodarczej w dowolnym miejscu i czasie. I to jest właśnie ów węgielny kamień systemu i najważniejsze źródło jego niesprawności. Dopóki elita władzy nie zrozumie, że reforma, która ma szansę ożywić gospodarkę, musi rozpocząć się od rezygnacji tejże elity z prawa do nieograniczonego grzebania w organizmie ekonomicznym, dopóki tego nie zrozumie albo nie zostanie zmuszona do rezygnacji, dopóty skuteczne zmiany w działaniu gospodarki nie nastąpią. Za „Solidarności” dlatego były największe szanse na reformę, bo istniała siła, która władzę do tego zmuszała. Dziś los reformy wiąże się bardziej z tym, czy wewnątrz samej rządzącej warstwy weźmie górę zrozumienie tego podstawowego warunku naprawy gospodarczej. Warunku polegającego na rezygnacji z roli naczelnego dyrektora przedsiębiorstwa zwanego „Polska Gospodarka Narodowa” po to, by dyrektorzy przedsiębiorstw mieli szansę stać się przedsiębiorcami. Jak długo to zrozumienie nie weźmie góry, a na razie tego nie widać, tak długo Polska będzie pogrążona w niemożności, z której nie wyrwą jej żadne dodatkowe kredyty zagraniczne.

Waldemar Kuczyński

o autorach

MARCEL GAUCHET – filozof, redaktor naczelny francuskiego dwumiesięcznika *Le Débat*. Autor (wraz z Gladys Swain): *La pratique de l'esprit humain. Institution asilaire et la révolution démocratique* (1980) oraz *Le désenchantement du monde. Une histoire politique de la religion* (1985).

JAN T. GROSS – ur. w 1947 r. Profesor socjologii na Uniwersytecie Emory w Atlancie (USA). Autor książek. *Polish Society Under German Occupation* (1977). *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...* (wraz z Ireną Grudzińską-Gross, 1984). Najnowsza książka *Revolution From Abroad. Sovietization of Western Ukraine and Western Bielorussia. 1939-1941* ukaże się wkrótce nakładem Princeton University Press. Ostatnio opublikował w *Aneksie* szkic „Ten jest z ojczyzny mojej, ale... go nie lubię” (nr 41-42).

PIERRE HASSNER – ur. w 1933 r. Profesor nauk politycznych w Fondation Nationale des Sciences Politiques w Paryżu. Autor wielu prac na temat stosunków Wschód-Zachód, problemów strategicznych i kontroli zbrojeń. Publikował w *Aneksie* nr 3, 27, 33, 37.

MARCIN KRÓL – ur. w 1944 r. Historyk myśli politycznej i publicysta. Członek redakcji *Tygodnika Powszechnego*. W ostatnich latach opublikował: *Słownik demokracji* (1983), *Ład utajony* (1983), *Konserwatyści a niepodległość. Studia nad polską myślą konserwatywną XIX wieku* (1985), *Podróż romantyczna* (1986).

PAWEŁ KUCZYŃSKI – ur. w 1951 r. Socjolog. Pracuje w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Autor prac z dziedziny socjologii organizacji, socjologii ruchów społecznych i socjologii wiedzy. Ostatnio pisał na temat świadomości politycznej robotników w zbiorach pod red. W. Morawskiego *Demokracja i gospodarka* (Warszawa 1983) oraz *Spoleczeństwo i demokracja* (Warszawa 1986).

WALDEMAR KUCZYŃSKI – ur. w 1939 r. Ekonomista i publicysta. Pracownik naukowy w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu. Autor książek: *Po wielkim skoku* (1980) i *Obóz* (1983). W 1981 roku zastępca redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność*.

PIERRE MANENT – ur. w 1947 r. Profesor w Collège de France. Współredaguje kwartalnik *Commentaire*. Autor książek: *Naissance de la politique moderne: Machiavel, Hobbes, Rousseau* (1977), *Tocqueville et la nature de la démocratie* (1982), *L'histoire intellectuelle du libéralisme* (1987).

SIMON NORA – ekonomista, wysoki urzędnik państwowy. Przez wiele lat rektor elitarnej Ecole Nationale d'Administration. Wraz z Alain Minc współautor książki – raportu dla rządu francuskiego na temat perspektyw komputeryzacji.

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
 Ukazuje się
 w Berlinie Zachodnim
 od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ **WYWIADY** ■ **RECENZJE**
 ■ **KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W**
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ **PRZEDRUKI Z POD-**
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM4,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji – „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/762 93 84.

ZESZYTY LITERACKIE

W numerze 17 (ZIMA 1987): PROZA I POEZJA: ADAM ZAGAJEWSKI, Nowe wiersze; ZBIGNIEW KRUSZYŃSKI, Tam i sam; GYÖRGY GÖMÖRI, Abda; JÜRGEN FUCHS, Wiersze; EUROPA ŚRODKA: TIMOTHY GARTON ASH, Czy Europa Środkowa istnieje? SYLWETKI: JACEK WOŹNIAKOWSKI, Gadanina w pracowni; PREZENTACJE: WOJCIECH KARPIŃSKI, Hofmannsthal i lord Chandos; HUGO VON HOFMANNSTHAL, List lorda Chandosa do Franciszka Bacona; INTERPRETACJE: TADEUSZ NYCZEK, Obrona tradycji (z lektury sztuk Mrożka); JULIAN KORNGHAUSER, Życie wewnętrzne; ZBIGNIEW KRUSZYŃSKI, Chwył nieuchwytnego; ŚWIADECTWA: STANISŁAW ROSIEK, Iga magnetyczna — powtórnie; ANDRZEJ KIJOWSKI, Rozmowa; O KSIĄŻKACH: TOMAS VENCLOVA, Jedyne tabu; RENATA GORCZYŃSKA, Czytanie Świrszczyńskiej po angielsku; WSPOMNIENIA: JACEK KUROŃ, Edward Lipiński (1888-1986); NOTATKI. NOWE PUBLIKACJE. NOTY O AUTORACH. ZESZYTY LITERACKIE 1986. Wykaz publikacji.

Numer 17 Zeszytów Literackich ukazał się w styczniu 1987.

Do nabycia w redakcji:

CAHIERS LITTÉRAIRES, 44, rue Tiquetonne, 75002 PARIS

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką — 50 FF
(7,50 \$ USA); pocztą lotniczą 56 FF (8,50 \$ USA).

Prenumerata roczna — 170 FF (25 \$ USA); pocztą lotniczą 210 FF
(30 \$ USA).

ADAM ZAGAJEWSKI

Solidarność i samotność

Do nabycia w redakcji *Zeszytów Literackich* i w księgarniach

Cena: 60,00 FF

cena zł 350,-